

- ◆ Zbigniew Nienacki o ekshibicjonizmie literackim – str. 9
- ◆ Skąd się biorą „białe plamy”? – str. 4
- ◆ W londyńskim Klubie 606 – str. 13
- ◆ Anatolij Rybakow „Dzieci Arbatu” – str. 10

Głos w sprawie godnego życia i godnej śmierci!

## Najpiękniejsza ulica świata

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(2)



1.

Jest niewątpliwie kobietą wykształconą, a kiedyś, jak była zdrowa, musiała odznaczać się pogodą ducha i tą pogodą emanuje z niej do dzisiaj. Zapomina chwilami o swoim złowieszcym losie, podnieca się, eksytuje, z pasją opowiada historię kamienicy.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową zbudował ją znany łódzki fabrykant Stejnert jako wiano dla swojej córki Melanii. Ale Melania nigdy tu nie mieszkała. Długie lata dom stał pusty, gdyż komorne było tak wysokie, iż nie mogli sobie na nie pozwolić nawet ludzie majątni. Potem jedno z piętér najął doktor Polakowski ginekolog, zięć fabrykanta Buhlego, a na innym zagnieździła się łoża masonska. Stary, nieżyjący już od ćwierć wieku dozorca, pamiętał masonów ścigających co parę tygodni do swego sekretnego, budzącego trwogę siedliska. Komnaty wylizane były ponoć czarną farbą, w kątach straszły trupie czaszki. Konie masonów i karoco odpoczywały w wozowni na środkowym podwórzu, za bramą, której strzegły dwa wyrwane teraz z ziemi i walające się pod ścianą pacholki.

Fronton, należący obecnie do instytucji odpowiedzialnej za budownictwo mieszkaniowe w województwie, pozostawał niegdyś w gestii innego możnego organu wykonawczego. W trakcie remontu pokradziono okucia i klamki, rozebrano kominki i piec niewysłowionej urody, zrobiono, krótko mówiąc, wielkie odejnowanie. Reporter nie był tym specjalnie zdziwiony. W jego stuletnim domu też nie pozostała ani jedna stara klamka. Spokradka je za to można na bazarach i we wnętrzach wielu podmiejskich dacy.

Co się tyczy lokalu, który chora zajmuje od ponad trzydziestu lat, wie o nim tylko tyle, że w okresie międzywojennym rezydował tu pewien okulista, zamożny, ale nie nazbyt biegły w zawodzie — leczyl niedowidzącą kobietę tak skutecznie, że zupełnie straciła wzrok. Dał jej na otarcie lez pięćdziesiąt złotych.

2.

Chora zgodziła się, aby opublikować jej prawdziwe, dwu-

członowe nazwisko, reporter postanowił jednak z tego prawa nie korzystać.

Silną rzeczy nasuwało się pytanie, czemu osoba w tak krytycznej sytuacji nie weźmie kogoś do domu na stałe — poszukującej mieszkania studentki, dziewczyny ze wsi, która chciałaby trochę popracować w przemyśle, bądź też samarytańskiej pielęgniarki bez perspektyw lokalowych.

Owszem, rozważała taką możliwość. Nie była wszelako i od tego, żeby przenieść się do domu starców. Złożyła nawet w tej kwestii podanie — wycofała je, lecz wciąż o tym myśli. Dalsi krewni zawiedli ją — zabrali co było do zabrania, cenniejsze książki i meble, i zaczęli od niej stronić, podobnie jak stronią od najbliższych rodziny w szpitalu onkologicznym. Rakiem niby trudno się zarazić, ale kto go tam wie. Z lekarzami nie utrzymuje żadnych stosunków poza pewną niemłodą już internistką i pewną pediatryczką. Wpadają od czasu do czasu — trochę wspomnień, kilka słów pocieszenia. Każdy ma swoje problemy i wcześniej czy później musi do nich wrócić. Pozostaje jej pieś.

Filip, czarny wiejski kundlel, jakby wiedział, że o nim mowa, wstał i przejechał gorącym, szorstkim językiem po reporterskiej ręce. Pisz, przyjacielu, pisz! Niech i po mnie coś zostanie. Wsiok za mnie zwykły, ale zapytaj pani, czy znajdziesz w mieście mądrzejszego czworonoga.

— Jest nadzwyczajny.

— Filip?

— Filip. Sam wychodzi, żeby zrobić siusiu, sam wraca. Jezdnie przekracza tylko przy zleonym świetle, nieraz przeprowadza ślepców i dzieci. Kiedy czuje się gorzej i jestem sam, potrafi zorganizować sobie pożywienie. Kiedy znowu nie jestem sam, wysyłam go do różnych sklepów, a on ustawia się w kolejkach i czeka, dopóki nie pojawi się Ponia albo jakaś siostra. Jak dochodzi do lady i mu kolejka przepada, to wraca na jej koniec albo przepuszcza klienta po kliencie tak długo, aż przyjdzie ktoś znajomy, żeby dokonać dla mnie zakupów.

— Sama nie opuszcza już domu ponad rok, od momentu, kiedy straciła na ulicy przytomność. Nie wyjdzie już pewnie nigdy więcej. To jest blisko. Czeka na spsobną chwilę.

# Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 29 (1529) ROK XXX 18 LIPCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Opole 1987: Spełnione marzenia młodej dziewczyny.

## Jak tam naprawdę było?

APOLONIA ZADZIORNA

„Ogólna formuła artystyczna festiwalu „Opole 87” zakłada utrzymanie jego dotychczasowych celów, to znaczy:

— dokonanie dorocznego przeglądu dorobku w dziedzinie twórczości i wykonawstwa piosenki w jej różnorodnych odmianach i formach, łącznie z piosenką kabaretową;

— promowanie i poszukiwanie młodych utalentowanych wykonawców;

— inspirowanie nowej twórczości piosenkarskiej;

— dokumentowanie twórczości w dziedzinie piosenki na płytach, kasetach i w ośrodkach masowego przekazu.”

(Z regulaminu XXIV KFPP)

Zawsze marzyłam o tym, żeby jechać na festiwal piosenki. Nie było ważne czy do Zielonej Góry, Kołobrzegu, Sopotu, Opola, ale — jechać na prawdziwy festiwal. Takie imprezy znalazłam dotąd jedynie z przekazów telewizyjnych i radiowych. Słuchałam transmisji i oglądałam retransmisje, a później długo marzyłam, jak tam jest naprawdę...

I oto szczęście uśmiechnęło się do mnie. Przypadkiem w pociągu do stolicy poznałam starszego sympatycznego pana, który — jak się później okazało — jest jednym z szefów Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Zwierzyłam mu się ze swoich marzeń, a on — o dziwo — okazał zrozumienie. Od słowa do słowa stanęło na tym, że wypełnię odpowiedni druk i prześlę na konto festiwalu jedenaście tysięcy złotych na akredytację, a sympatyczny pan, który prosił jednak o dyskrecję, stąd nie podaje jego nazwiska, załatwi resztę, bym mogła mieć podczas tegorocznego opolskiego festiwalu status „obserwatora”.

Oczywiście, nie przyznałam się wówczas, że nie mam pojęcia, czy w ogóle uda mi się wyrwać na te dni z pracy... Podziękowałam tylko, umawiając się z sympatycznym panem na kawę w Opolu, do którego to spotkania wcale nie doszło, bowiem mój nowy znajomy był tam niestannie zajęty.

— To nie — pocieszałam mnie nową znajomą z „Czerwonego Sztandaru”. — Przyjdiesz drugi raz o innej porze roku. Wtedy łatwiej będzie zobaczyć i Swiętę, i Niemen...

Tak miało być w istocie. Ale na razie jeszcze nie wiedziałam czy uda mi się powtórzyć przyjazd. Postanowiłam jednak wybrać się do Grodna, co nie było trudne nawet zimą. W pewien szary, prawie ciemny poranek u schyłku stycznia znalazłam się w autobusie pomiędzy tłumem pasażerów, przeważnie kobiet. Autobus jechał do Grodna. Większość pasażerów wysiadła wcześniej w Raduniu i w Ejszyskach.

Wiedziałam, że tą samą drogą pisarka jeździła niegdyś do „Onwilu”, czyli Grodna. Nazwami fikcyjnymi, łatwymi do rozszyfrowania określała dwa prawdziwe miasta, z którymi

była mocno związana. Wilno odwiedzała często. W Grodnie od roku 1889 zamieszkała na stałe.

Przejechaliśmy rozległe lasy i oto już Grodno, w którym autobus zakończył bieg przed dworcem kolejowym. Przez chwilę zastanawiam się, które dy iść do dawnego dworku Orzeszkowej? Z dotychczasowych pisarki lektur wiedziałam, że mieszkała przy ulicy Murawiońskiej, dawniej nazywanej Sadową. W redakcji „Czerwonego Sztandaru” zapewniano mi, że wystarczy spytać o ten dom kogokolwiek. Każdy wskaże...

Uchyliłam pierwsze z brzo gu drzwi, prowadzące — jak się okazało — do małego warształu szewskiego. Jego właściciel, zapytany czy to ulica Sadowa, przyjrzał mi się z dezaprobatą i powiedział z naciskiem, że to było kiedyś. Teraz i zresztą



Gdy legenda zahacza o prawdę...

## Nad Niemnem

MONIKA WARNEŃSKA

1.

Pomysł wędrowki nad Niemnem oczywiście śladami Elizy Orzeszkowej, nawiedził mnie przed wielu laty, kiedy pierwszy raz przyjechałam do Wilna. Była zima, początek roku 1957, mroź trzaskający z redakcji „Czerwonego Sztandaru”, miejscowego dziennika

wydawanego w języku polskim, wracałam do hoteliku „Nartus”, gdzie kafłowy piec oddychał przyjemnym ciepłem. Układałam plany bliskich podróży, dla których „bazą wypadową” było Wilno i wzdychałam z żalem, że pora roku utrudnia mi dotarcie do wielu pięknych zakątków, gdzie prze trwała pamięć Mickiewicza, Słowackiego i Orzeszkowej.





# Ogłosy

Adres redakcji:  
90-113 Łódź, ul. Henryka  
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny  
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz  
Włodkowski.

Zastępca redaktora  
naczelnego: Edmund  
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:  
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu  
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:  
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,  
Dariusz Dorożyński,  
Eugeniusz Iwanicki, Teresa  
Jerzykowska, Andrzej  
Karoleczak, Roman Kubiak,  
Jerzy Kwieciński, Bogda  
Madej, Andrzej Makowiecki,  
Paweł Tomaszewski,  
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Bohdan Gadomski, Jacek

Głębski, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemieński,

Marek Mamos, Zenon

J. Michalski, Ryszard

Nakonieczny, Adam

Ochocki Jerzy Panaszewicz,

Karol J. Strykowski, Maciej

Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo  
Prasowe RSW „Prasa —  
Książka — Ruch” 91-103 Łódź  
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady  
Graficzne RSW „Prasa —  
Książka — Ruch” Łódź ul. Armii  
Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie  
zamówionych rekwizytów i  
zastępuje sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla  
instytucji i zakładów pracy —  
zlokalizowane w miastach  
wojewódzkich i pozostałych miastach  
w których znajdują się siedziby  
Oddziałów RSW „Prasa —  
Książka — Ruch” zamawiają  
prenumeratę w tych oddziałach

— Instytucje i zakłady pracy  
zlokalizowane w miejscowościach  
gdzie nie ma Oddziałów RSW  
„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach  
pocztowych i u doręczycieli 2  
Dla indywidualnych prenumera-  
torów — osoby fizyczne zamieszka-  
łe na wsi i w miejscowościach  
gdzie nie ma oddziałów RSW  
„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach  
pocztowych i u doręczycieli  
osoby fizyczne zamieszkałe  
w miastach — siedzibach  
Oddziałów RSW „Prasa —  
Książka — Ruch” opłacają  
prenumeratę w urzędach pocztowych

właściciel dla miejsca zamieszkania  
prenumeratora Wpłaty dokonuje  
się używając blankietu  
„wpłaty” na rachunek bankowy  
miejscowego Oddziału RSW  
„Prasa — Książka — Ruch” 3

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki  
za granicę przyjmuje RSW  
„Prasa — Książka — Ruch”  
Centrala Kolportażu Prasy i  
Wydawnictwa ul. Towarowa 28  
00-958 Warszawa konto NBP XV  
Oddział w Warszawie nr 1153-  
201045-139-11 Prenumeratę ze  
zleceniem wysyłki za granicę  
początku zwykłą jest droższa od  
prenumeraty krajowej o 50 proc.  
dla zleceniodawców indywidualnych  
i o 100 proc. dla zlecających  
Instytucji i zakładów pracy  
Terminy przyjmowania  
prenumeraty na kraj i za granicę  
— do dnia 10 listopada na I  
kwartał i półrocze roku następnego  
oraz cały rok następnego —  
do dnia 1 każdego miesiąca —  
poprzedzającego okres prenumera-  
ty roku bieżącego.

# Przegląd prasy

Ukazało się kolejne wydanie  
specjalne „RADY NARODOWEJ”  
(3), zawierające materiały z  
trzeciego posiedzenia Rady  
Konsultacyjnej przy przewodniczą-  
cym Rady Państwa, Zasadniczym  
przedmiotem dyskusji  
było opracowanie prof. Jana  
Szczepańskiego pt. „Od diagnozy  
do działań”.

Referat jest ambitną próbą  
całościowego spojrzenia na u-  
warunkowania polskiego kryzysu  
i rozwoju społecznego. Przy-  
jmuje założenie, że zorganizowa-  
ne siły polityczne są niewystar-  
czające dla przezwyciężenia na-  
szych trudności, że trzeba do-  
datkowo uruchomić naturalne  
siły społeczeństwa.

Obecnie kryzysem tłumaczy  
się każdy niedostatek i błąd.  
Kryzys jest mitem usprawiedli-  
wiającym beczynność, niedo-  
łęstwo, niedbalstwo, brak wy-  
obraźni i kompetencji. A tym-  
czasem Polska dysponuje naj-  
ważniejszymi czynnikami roz-  
woju. Ma wykształconych oby-  
wateli, duże zasoby surowcowe,  
silny przemysł, dostęp do morza,  
niemalą flotę, potężną sieć  
placówek badawczych, rozbu-  
dowany system szkolnictwa. Na-  
suwa się więc pytanie:

## DLACZEGO JEST TAK ZŁE?

Co powoduje, że mamy tak  
niską stopę wzrostu? Dlaczego  
ludzie się buntują? Jak to się  
dzieje, że inne kraje lepiej  
sobie radzą od nas? Najpierw  
musimy sobie uświadomić pewne  
fakty z historii:

„Każdy historycznie znany u-  
strój społeczny wytwarzał  
właściwe dla siebie postacie o-  
sobowości. Jest rzeczą oczywi-  
stą, że rycerz feudalny nie na-  
dawał się do kierowania przed-  
siębiorstwem kapitalistycznym,  
gdyż wymagało ono innej mo-  
tywacji, umiejętności, opierało  
się na uznaniu innych war-  
tości. Osobowość człowieka ka-  
pitalizmu kształtowała się w  
ciągu wieków i gdy krystalizowa-  
ła się przedsiębiorstwo ka-  
pitalistyczne, człowiek nim kie-  
rujący i w nim pracujący był  
do niego przystosowany.  
Przedsiębiorstwo socjalistyczne  
zostało stworzone aktem decy-  
zji politycznej po zwycięskiej  
rewolucji, a sposoby myślenia  
aspiracje, dążenia i cele ży-  
ciowe kierowników i pracowników,  
ich wyobrażenia o pracy i sen-  
sie pracy w gospodarce były  
ukształtowane przez poprzedni  
ustrój. Próby przystosowania  
obywateli do wymagań modelu  
ideologicznego ustroju zawodziły  
i kończyły się buntami. Mo-  
żemy powiedzieć, że przeciwko  
kapitalizmowi też się pracownicy  
buntowali, ale jest to słaba  
pociecha. Trzeba więc zmienić  
metody i biorąc ludzi takimi,  
jakimi oni są, wykorzystywać  
ich siły motoryczne dla osią-  
gnięcia celów społeczeństwa jako  
całości, przez harmonizowanie  
z nimi sposobów funkcjonowania  
ustroju”.

Jan Szczepański uważa, że  
reformowanie gospodarki i  
państwa należy rozpoczynać od  
partii. Albowiem w naszym u-  
stroju decyzje partyjne stano-  
wią podstawę decyzji wykona-  
wczych. W przeszłości partia  
brała na siebie więcej obowią-  
zków niż była w stanie spełnić.  
Nadludzkie działania usiłowała  
realizować za pomocą słów:  
narad, konferencji, odpraw,  
szkoleń, zebrań dyskusyjnych,  
uchwał, instrukcji. Model ten  
był zbyt idealistyczny, by mógł  
efektywnie funkcjonować.

W powojennej Polsce ukształ-  
tował się typ „społeczeństwa  
urzędniczego”. Jest to społe-  
czeństwo zorganizowane nie dla  
sprawnego działania, lecz dla  
urzędowania. Przy czym nikt  
w tym systemie nie ponosi od-  
powiedzialności — ani obywa-  
tel, ani urzędnik, ponieważ  
kompetencje są niejasne.

Znaczna część społeczeństwa  
wierzy, że najlepszą drogą do  
przywrócenia podmiotowości i  
odpowiedzialności jest samo-  
rzędność pracownika. Co na  
to prof. Szczepański?

## CZY SAMORZĄD NAS ZBAWI?

„Otoż znane mi postacie samor-  
ządów w przemyśle różnych  
krajów — czytamy — były ra-  
czej powoływane do rozwiązy-  
wania problemów społecznych  
przedsiębiorstwa, a nie proble-  
mów kierowania i zarządzania

produkcją. Ani w Japonii, ani  
w USA taki samorząd nie wy-  
stąpił i nie występuje. Samor-  
ządne związki zawodowe z  
natury rzeczy mogą rozwiązy-  
wać sprawy socjalne ludzi  
pracy, reprezentować ich roz-  
szczenia ekonomiczne, ale ich  
wpływ na produkcję jest ogra-  
niczony. (...) Związki zawodowe  
we wszystkich krajach wpływa-  
ją na politykę socjalną pań-  
stwa, ale nie na politykę gos-  
podarczą. Natomiast samorząd  
w sferze społecznej spełnia  
zupełnie inne funkcje. Przy-  
czym dla przekształcenia spo-  
łeczeństwa ważny jest samorząd  
w miejscu zamieszkania znacz-  
nie więcej niż w miejscu pra-  
cy”.

W celu przekształcenia spo-  
łeczeństwa urzędniczego w  
działające trzeba wprowadzić  
wzory sprawdzone już w in-  
nych krajach. Jan Szczepański  
opowiada się za rozwojem sto-  
warzeń i organizacji dobro-  
wolnych, które obejmowałyby  
swym zakresem coraz więcej  
dziedzin życia publicznego.

Często spotyka się tezę, że  
do przezwyciężenia wielu zja-  
wisk ujemnych mógłby przy-  
czynić się Kościół rzymskokat-  
olicki. Ta potężna instytucja  
ma jednak, zdaniem prof.  
Szczepańskiego, niewielki  
wpływ na postępowanie wier-  
nych w życiu codziennym, czyli  
poza nabożeństwami. „Nawet  
gdy Kościół zajmowałby naczelną  
pozycję w społeczeństwie pol-  
skim, gdy jego rola prawna w  
państwie była wysoka, nie  
miałby decydującego wpływu na  
moralność swoich wierzących.  
I dzisiaj także, mimo że wy-  
kształcenie — 18 proc., 10) wia-  
ra i praktyki religijne — 17  
proc., 11) pochodzenie społe-  
czne — 15 proc. Charakterysty-  
czne jest, że najmniej osób  
widzi przyczyny podziałów,  
niechęci i konfliktów w takich  
czynnikach jak pochodzenie  
społeczne, stosunek do religii,  
wykształcenie i różnice pokole-  
niowe.

W porównaniu do niezadowo-  
lenia na tle materialnym róż-  
nice polityczne mają znaczenie  
drugorzędne. „Niezdowolenie  
z położenia materialnego i sy-  
tuacji gospodarczej — pisze  
Stanisław Kwiatkowski — jest  
przeniesione na stosunek do  
ustroju, oceny sposobu sprawo-  
wania władzy oraz utrwalane  
w formie poglądów polity-  
cznych”. Paweł Ruskowski z  
kolei podkreśla, że niezadowo-  
lenie społeczne z powodów ma-  
terialnych wyraźnie narasta.

Czytając różne tygodniki od-  
noszę wrażenie, że źródłem an-  
tagonizmów w Polsce jest rów-  
nież

## TWÓRCZOŚĆ ZBIGNIEWA NIENACKIEGO

Antagonizuje w szczególności  
krytyków. Skończyły się dys-  
kusje o powieści „Raz w roku  
w Skroliawkach”, a zaczęły  
o „Wielkim lesie”. Na temat  
ostatniej książki wypowiadają  
się w „KULTURZE” (nr 27)  
Witold Nawrocki i Tadeusz  
Olszewski.

Według pierwszego z nich  
mamy do czynienia z utworem  
o inklinacjach „pornografi-  
cznych, sensacyjno-szpiegow-  
skich, psychologicznych, socjo-  
logicznych, ideologiczno-polity-  
cznych”. Powieść ma być po-  
rażką artystyczną autora.

Tadeusz Olszewski natomiast  
uważa, że książka Nienackiego  
jest wyzwaniem rzucanym cy-  
nizmowi i wołaniem o odro-  
dzenie człowieczeństwa. „Jest  
to powieść — czytamy —  
skonstruowana bardzo przemy-  
ślnie, z wielką dbałością o za-  
pewnienie jej sukcesu czytelnic-  
zego. Wbrew temu, co sugere-  
rował jej przedwcześnie kry-  
tycy, nie ogranicza się do sa-  
mej erotyki, ale zawiera rów-  
nież bardzo rozbudowany wą-  
tek sensacyjny, liczne partie li-  
ryczno-refleksyjne, niemal  
reportażowe obserwacje obycza-  
jowe i sekwencje wyraźnie  
socjologiczne”.

Witold Nawrocki przyznał  
jednak, że u Nienackiego ma-  
my piękne opisy przyrody —  
jak w Ernsta Wiecherta we  
„Frau Mahorin” (to samo miej-  
sce akcji). To zestawienie z  
Wiechertem jest interesujące.

Miłośnikom prozy Ernsta  
Wiecherta polecam artykuł Ta-  
deusza Swata zamieszczony w  
tygodniku „KIERUNKI” (nr 28)  
z okazji setnej rocznicy urodzin  
pisarza. „Nastrój w jego po-  
wiesiach — pisze autor —  
tworzy przede wszystkim przy-  
roda, a zwłaszcza las, we  
wszystkich jego książkach  
wzszedł”. Jest to las  
wielki i mroczny, lecz jedno-  
cześnie dobry.

wieństwa. Ludzie się nie smo-  
szą. Ludzie się zwalczają. To  
jest zły posiew. To nie jest s  
Eucharystii”.

Mówiąc o znaczeniu wolności  
w życiu ludzkim, Jan Paweł II  
zauważył, że Bóg uczynił czło-  
wieka wolnym nie dla swawoli.  
A dalej czytamy:

## CO DZIŚ DZIELI POLAKÓW?

Badania wykazują, że przede  
wszystkim sprawą natury ma-  
terialnej. Można o tym prze-  
czytać w artykułach Stanisława  
Kwiatkowskiego, Pawła Rus-  
kowskiego i Mirosławy Marody  
opublikowanych w ostatniej  
„POLITYCE” (nr 28).

Polacy dostrzegają kolejno  
następujące źródła antagoni-  
zmów społecznych: 1) płace,  
zarobki — 78 proc.; 2) stan  
majątkowy, stan posiadania —  
60 proc., 3) władza, stanowisko  
— 42 proc., 4) poglądy polity-  
czne — 42 proc., 5) przynależ-  
ność do PZPR — 33 proc., 6)  
podział na pracowników fizy-  
cznych i umysłowych — 29  
proc., 7) podział na mieszkań-  
ców miast i wsi — 27 proc.,  
8) podział na młodsze i starsze  
pokolenie — 23 proc., 9) wy-  
kształcenie — 18 proc., 10) wia-  
ra i praktyki religijne — 17  
proc., 11) pochodzenie społe-  
czne — 15 proc. Charakterysty-  
czne jest, że najmniej osób  
widzi przyczyny podziałów,  
niechęci i konfliktów w takich  
czynnikach jak pochodzenie  
społeczne, stosunek do religii,  
wykształcenie i różnice pokole-  
niowe.

W porównaniu do niezadowo-  
lenia na tle materialnym róż-  
nice polityczne mają znaczenie  
drugorzędne. „Niezdowolenie  
z położenia materialnego i sy-  
tuacji gospodarczej — pisze  
Stanisław Kwiatkowski — jest  
przenieszone na stosunek do  
ustroju, oceny sposobu sprawo-  
wania władzy oraz utrwalane  
w formie poglądów polity-  
cznych”. Paweł Ruskowski z  
kolei podkreśla, że niezadowo-  
lenie społeczne z powodów ma-  
terialnych wyraźnie narasta.

Czytając różne tygodniki od-  
noszę wrażenie, że źródłem an-  
tagonizmów w Polsce jest rów-  
nież

## W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „ODGŁOSÓW”

— Dawniej ci ze Starego Złotna to byli pańszczyźnia-  
ni, a ci z Nowego pracowali u Meyera. Dzisiaj za krań-  
cówką tramwajową kwitnie handel. Na ulicy Podchorą-  
żych kończą się chodniki i zaczyna wieś: stare szopy i  
nowe stodoły, kury na jezdni, stada owiec i krowy na  
wygonach, olchowe i brzoźowe zagaje. Ludzie żyją tu  
długo. Ale za tą sielskością kryją się różne dramaty...  
— reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Latem miasto funkcjonuje leniwie i ospale. Z po-  
wodu urlopów zamyka się sklepy, kioski, zakłady usłu-  
gowe, instytucje kulturalne. A co proponuje się tym,  
którzy wakacje spędzają w Łodzi? — odpowiada MAREK  
KOPROWSKI.

— Karnawał odbywa się nie tylko w Rio de Janeiro.  
Piękne kobiety, wspaniałe kostiumy, oszałamiający  
rytm. Centrum wszystkiego stanowi sambodrom. Co to  
takiego? — wyjaśnia LUDWIK GEBEL w koresponden-  
cji z Ameryki Południowej.

— Pociąg wtoczył się na potężny węzeł kolejowy.  
Przed wagonami stali szarozieloni żołnierze. Na furazer-  
kach widniały trupie czaszki... — tak zaczyna się nowy  
fragment wspomnień WŁODZIMIERZA SKOCZYŁASA.

— Skoro człowiek sam przyczynił się do zachwiania  
równowagi w przyrodzie, to musi również znaleźć spo-  
soby obrony przed negatywnymi skutkami. Nie należy  
głośić katastrofizm. Wizja piękna nikogo nie powstrzy-  
mała od czynienia grzechów — mówi prof. Henryk Ra-  
fański, z którym rozmawiają PAWEŁ TOMASZEWSKI  
i ROMAN KUBIAK.

E. L.



**P**aru publicystów zastanawiało się ostatecznie nad następującym problemem:

„Skoro reforma gospodarcza oznacza zdecydowane przeoranie struktur gospodarczo-administracyjnych, skoro rewolucjonizuje nasze życie tak w sferze majątkowej jak i w sferze stylu pracy i życia, to ta reforma musi mieć przeciwników. Komuś zagraża — albo odbiera wysokie zarobki, albo zmusza do bardziej pracowitego życia, albo odbiera wygodną pozycję i święty spokój. Kto to może być? Pewnikiem wrogami reformy powinni być przedstawiciele establishmentu, administracji średniego szczebla, dyrektorzy i kierownicy. Z drugiej strony do przeciwników reformy pewnie zaliczyć można znaczną część wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, tej swoistej „arystokracji robotniczej” naszych czasów: pracowników wielkich zakładów z branży wydobywczo-energetycznej, z przemysłu hutniczego, stoczniowego, elektronicznego, itp. Wielkość zakładów, w których ci ludzie pracują, potęga produkcyjna, jaka za nimi stoi i zawsze stała zapewni im, przynajmniej na pewien czas, wysokie zarobki, przywileje, „karty” itp.”

Tyle publicyści... Nie na podstawie badań opinii na przykład a na podstawie przypuszczeń, nie pozbawionych zresztą pewnej naukowej podstawy: wszak „był kształtuję świadomość”, zatem wystarczy przesłodzić, komu reforma pogorszy „był”, a już wiemy, co tam w jego „świadomości”!

Jedno wydaje się być pewne, jeśli się te wszystkie poszukiwania „wrogów reformy” na łamach prasy przeszedł — to mianowicie, że autorzy publikacji są gorącymi zwolennikami reformy. Jak cała zresztą żurnalistyka. Wszyscy dziennikarze polscy, zarówno ci z „Trybuny Ludu”, jak i ci z „Tygodnika Powszechnego” są nieugiętymi bojownikami o reformę!

Przez wrodzoną przekorę, ale także i z dużo poważniejszych powodów spróbuję oto przedstawić stanowisko przeciwnie: Mnie się, proszę państwa, ta reforma coraz mniej podoba. Albo prościej i ostrzej: Jestem przeciw takiej reformie!

W tym miejscu mój przewidywany i przewidziany adwersarz (zapewne nie jeden, nie jeden...) ma prawo zapytać: — co ci się mianowicie nie podoba? Pakiet ustaw, który otworzył drogę reformie? Reformatorska działalność rządu, komisji planowania, komisji ds. reformy? Czy może praktyka? Nieudolność, biurokratyczne bapery, inercja, która na różnych szczeblach opóźnia zreformowanie gospodarki?

Co ci się nie podoba: założenia reformy czy realizacja tych założeń?

Odpowiadam: nie jestem ekonomista. Natomiast — jak wielu rodaków — nie tylko z zainteresowaniem, ale wręcz w wielkim napięciu śledzę postępy reformy i wszystko, albo prawie wszystko, co się w gospodarce kraju dzieje. Pole obserwacji mam szerokie, choć punkt obserwacyjny nieco ograniczony: głównie śledzę to, co o zagadnieniach gospodarczych piszą w pismach (głównie tygodniowych) oraz wygłaszają w radiu i TV moi znakomici koledzy, publicyści ekonomiczni. Z lektury właśnie i „nastuchu” radiowo-telewizyjnego powstaje moja wiedza o reformie. Może to źle, ale innych punktów obserwacji nie mam. Na swoje usprawiedliwienie dodam tylko, że mas media są tak ostatecznie przeładowane tematyką ekonomiczną-jak nigdy, nawet za Jana Sztylika, który wymyślił „powszechną edukację ekonomiczną”.

## NIE ROZUMIEM ZAŁOŻEŃ

i może dlatego mam do nich szereg zastrzeżeń. Sprawa pierwsza i chyba kardynalna: ustawy, wprowadzające do praktyki gospodarczej zasady trzech „S”, omijają właściwie zasadniczą sprawę, sprawę własności uspołecznionych środków produkcji. Bo — tak to rozumiem — potraktowanie państwowych zakładów przemysłowych jako swego rodzaju „dzierzawę” (dzierzawcami byłoby załogi przedsiębiorstw), musiałoby pociągnąć za sobą następujące skutki, żeby ograniczyć się do dwóch najistotniejszych: opłacanie stałego (względnie stałego, powiedzmy) czynszu dzierzawnego i byłoby to główny sposób odprowadzania środków do kasy państwowej. Podatek, czy raczej różne podatki, też dość sztywne i raczej niezmiennie — co nie wyklucza ich progresywności — byłoby świadczeniem dodatkowym, świadczącym, które może podlegać ulgom, umorzeniom itp., a także zwiększaniem w określonych (z góry określonych!) sytuacjach.

Nic takiego się nie dzieje: zakłady placą tylko podatki tak, jakby były jakimś prywatnymi czy spółdzielczymi przedsiębiorstwami.

Druga konsekwencja „oddania w dzierzawę” zakładów polegałaby na zupełnie dowolnym doborze kadry kierowniczej. Krótko mówiąc dyrektor zakładu byłby zawodowym menedżerem, wynajmowanym przez załogę za godziwe pieniądze do prowadzenia zakładu. Mogłoby być z konkursu, mógłby być angażowany w inny sposób. Zawsze jednak jako kontraktowy, na określony czas wynajmowany ekspert.

Nic takiego się nie dzieje: dyrektorzy są mianowani przez organy założycielskie co implikuje w założeniu, że odpowiadają przed tymi organami, a nie przed załogą czy jej reprezentacją. Trzecia konsekwencja dzierzawy i placenia stałego czynszu dzierzawnego byłaby niezwykle znamienna w skutkach: otóż zakład (może ściślej — załoga zakładu?), w każdym razie — producent byłby właścicielem swego produktu! Sprawdźmy rzecz do absurdu, byłby właścicielem tak pełnoprawnym, że mógłby wyprodukowane przez siebie dobra zniszczyć, zmagazynować na czas nieokreślony czy sprzedać poniżej kosztów. To w sferze abstrakcji, ale konkretnie, to od woli producenta mogłoby zależeć czy towar sprzeda tu czy za granicą, dziś czy za kwartał itp.

Czy ja proponuję rynek producenta? Pozornie. Kto nie chce umierać z głodu, musi sprzedać co wyprodukował. Wówczas i tylko wówczas pojawiłby się chłysty handel, który musiałby towar jak najkorzystniej wydrzeć producentowi... Prawdziwy handel a nie jego atrapa, jaka są współczesne polskie organizacje handlowe, które wiedzą, że jakby co, to władza nakazuje producentowi sprzedać i jeszcze podyktuje cenę.

Brak jednoznacznej regulacji dotyczącej własności społecznych środków produkcji pociąga cały szereg innych jeszcze konsekwencji, a jedną z najważniejszych to bankructwo, czyli

## UPADŁOŚĆ PRZEDSIĘBIORSTWA

Biję się w piersi: byłem jednym z tych, którzy od bankructwa, całej serii bankructw, uzależniali wiarygodność reformy. Kilkanaście bankructw już było, szczykuje się co najmniej kilkadziesiąt dalszych. A ja właśnie teraz wycofuję się ze swego poglądu...

Cóż to bowiem jest bankructwo? Jest to sytuacja, w której właściciel przedsiębiorstwa, powtarzam: właściciel ma więcej długów niż forsy w kasie i dla pokrycia tych długów, w sytuacji kiedy wszyscy odmawiają mu kredytu, sprzedaje swój zakład. Czasem w formie sprzedaży przymusowej i bardzo niekorzystnej drogą licytacji...

Czy takie sytuacje zdarzają się wielkim kapitalistom, właścicielom wielu fabryk? Raczej nie. Rekin finansowy nie wystawi swej fabryki na licytację. Długi spłaci z dochodów innych swo-

Publicyści poszukują przeciwników reformy. Odkrywam przyłbicę: to ja jestem przeciwnikiem reformy! Jestem przeciwnikiem niekonsekwencji, kagańców i barier. Jestem przeciwnikiem takiej reformy, jaką widzę.

# Nie lubię reformy gospodarczej!

ANDRZEJ KAROLCZAK

ich przedsiębiorstw, produkcję utrzyma, jeśli uważa, że ma ona przyszłość. Albo sprzedaje korzystnie zakład — w żadnym razie nie zbankrutuje. A co zrobi, kiedy zbankrutuje jego dzierzawca? Wyrzuci go, poszuka sprytniejszego.

A co się dzieje u nas? Jedno państwowe przedsiębiorstwo traci moc kredytową, drugie wykupuje jego majątek trwały. To drugie też jest państwowe i to jest na mój chłopski rozum bez sensu. W sytuacji, kiedy obowiązywałaby „umowa dzierzawna” zakład albo zostałby zlikwidowany albo oddany w dzierzawę innemu dzierzawcy: załoga dostalaby wymówienia, przyjęto by do pracy tylko najlepszych, kadra kierownicza uległaby wymianie. Zmienić należałoby albo profil produkcji, albo usprawnić organizację, albo obydwie te rzeczy naraz i jeszcze parę przy okazji.

Czego zatem należy oczekiwać? Nie spektakularnych bankructw, a przemyślanej polityki likwidowania mało wydajnych, nierentownych, przestarzałych zakładów. Likwidowania z woli właściciela, czyli państwa...

Następna rzecz, która bardzo mi się w naszej reformie nie podoba jest tak banalna, że aż wstyd o tym pisać. Niemniej jednak jest to dla normalnego rynku rzecz elementarna. To główny motor prawidłowego ruchu cen, rozwoju produkcji i dynamizmu gospodarki. To

## KONKURENCJA

Przed trzema lub czterema laty ucieszyła mnie ogromnie wiadomość, że jakaś fabryka mebli sprzedaje proste mebleścianki po siedemdziesiąt tysięcy złotych. Ucieszyło mnie to dlatego, że przewidywałem następujący bieg wydarzeń: po pierwsze, nikt przy zdrowych zmysłach nie kupi mebleścianki za taką sumę. Po drugie, produkcja owej fabryki zalegać będzie magazyny, zysków nie będzie i premiów dla załogi także. Po trzecie, załoga na taczkach wywiezie dyrektora, jego zastępcę do spraw ekonomicznych, a może i przewodniczącego samorządu. Po czwarte — znacznie produkować taniej i wydłużyć swoje.

Jak się okazało, cieszyłem się przedwcześnie. Przypuszczam, że dobrowolne zrzeczenie producentów mebli, które zastąpiło poprzednie zjednoczenie, ale podobnie jak ono zresztą wszystkie zakłady w branży, ustaliło, że wszystkie zakłady w kraju nie sprzedadzą taniej mebleścianki niż owe 70 kafil. Jeśli nawet nie przyjęło oficjalnie takiej uchwały, bo praktyki monopolistyczne tego typu są prawnie zakazane, to i tak stosuje ono mniej lub bardziej zakamuflowaną politykę monopolistyczną. Wniosek? Proszę bardzo: nie ma dla mnie żadnej wiarygodności reformy, w której istnieje zrzeczenie przedsiębiorstw, w których istnieje scentralizowany rozdzielnik surowców i zmonopolizowany zbył. W których ceny nie są wynikiem konkurencji, a wynikiem księgowych kalkulacji, a następnie, jako „ceny umowne” są negocjowane między handlem i wytwórcą. W sytuacji, kiedy obydwie wysokie układające się strony są zainteresowane tym samym: wyrubowaniem ceny jest najwyższe, wszak i handel żyje z marży, obliczanej procentowo od hurtowej ceny produktu! Nie mogą być za taką reformą, jestem przeciw!

Dziennik telewizyjny donosi z triumfem: fabryka obuwia w N. wykonała w roku ubiegłym buty za ileś tam milionów złotych, o ileś tam więcej niż w roku poprzednim! A to dzięki wysokiej wydajności pracy zespołów gospodarczych. Gdyby zakłady dostawały więcej surowca, mogłyby wykonać jeszcze więcej!

Powyższa informacja jest klinicznym przykładem dziennikarskiej lekkomyślności, żywym przeniesieniem w nasze czasy z epoki Jerzego Łukasewicza: każde dziecko wie, że ceny rosły lawinowo i wyprodukowanie czegośkolwiek „za sumę wyższą od ubiegłorocznej” nie musi oznaczać rzeczywistego wzrostu produkcji, tej

produkcji mierzonej — w tym przypadku — ilością wyprodukowanych par obuwia. Można nawet zrobić mniej niż w roku poprzednim, a osiągnąć wyższą wartość produkcji. To po pierwsze.

Po drugie: jaka część tej produkcji powstała w dniach od poniedziałku do piątku, kiedy załoga pracowała „normalnie”, a jaka część w wolne soboty i niedziele, kiedy ta sama załoga pracowała lub jej część pracowała w systemie zespołu gospodarczego — z inną organizacją pracy i za większe pieniądze? Kto mnie zapewni, że część produkcji, albo może część surowca z „normalnych” dni nie zaszczydono na sobotę? A jeśli nawet nie, jeśli nadzór uniemożliwia takie machinacje, to nikt nie może stwierdzić, że członkowie zespołów nie pracowali przez tydzień „na pół gwizdka” i oszczędzali siły na sobotę?

Po trzecie: skoro zakład ma za mało surowca (co wynikało z informacji DTV) to po co w ogóle zwraca sobie głowę zespołami gospodarczymi? Albo jeszcze inaczej: skoro praca zespołów przynosi tak znakomite rezultaty, to dlaczego nie działają przez cały tydzień? Czemu tych stawek i tej organizacji nie przeniesie na stałe, nie „wmontować” w system produkcyjny?

Nie podobają mi się zespoły gospodarcze. Ale jeszcze bardziej nie podoba mi się, prezentowany przez mass media stosunek do siły roboczej. Jak ma być w reformie traktowany

## CZŁOWIEK PRACY

Nie zamierzam trąbić w wielką tubę ideologiczną. Chcę tylko przypomnieć pewne oczywiste fakty: osmiodziesięciodniowy dzień pracy jest zdobyczą klasy robotniczej. Dawno już stwierdzono, że zatrudnianie człowieka dłużej jest niehumanitarne, przynosi zagrożenie zdrowia fizycznego i psychicznego, odcina go od korzystania z dóbr wyższego rzędu, dehumanizuje. Redaktor Zygmunta Szeliga powie na to, że on obraża się wyłącznie wśród ludzi pracujących bardzo intensywnie, zdecydowanie powyżej osmiodziesięciodniowej normy i że tylko w taki sposób można się dorobić. Nie tylko u nas, na całym świecie. Redaktor Szeliga — człowiek ogromnej pracowitości, nie ma, zdaje się, w swym otoczeniu górników, hutników ani przadkę. Uprawa zawód, który daje pewien komfort psychiczny, sam sobie organizuje pracę itd. Nie będę złośliwy i nie przypomnę, że średnia wieku dziennikarza w Polsce oscyluje gdzieś około 55 lat, a więc red. Zygmunta Szeliga niedługo pozycje...

Mój antagonista wykrzyknie: to demagogia! Mam określić ustawą czas pracy, nikt, kto nie chce, nie jest zatrudniany w nadgodzinach czy w dniach wolnych od pracy! Słusznie. Tyle że presja ekonomiczna jest silna i wymusza (na przykład na pracownikach przed emeryturą lub na matkach wiodolodzielnych) podejmowanie pracy w wolne dni lub w tzw. nadgodzinach. Do tego dochodzi specyficzna presja propagandowa: oto głos radio i TV, a w otworze mu prasa, że Japończycy pracują po 12 godzin, że Węgrzy masowo dorabiają po południu itd. Natomiast normalnego rynku pracy, oferującego dodatkowe zajęcia nie ma... Rozumiem, że cała masa młodych ludzi „na dorobku”, zdrowych, silnych, tryskających energią, chce pracować więcej i więcej zarobić, chce, według Zygmunta Szeligi „dorobić się”. Ale nie wszyscy i — co bardzo ważne! — niekoniecznie w swoim stałym miejscu pracy i w swoim zawodzie! Dla urzędnika, siedzącego osiem godzin za biurkiem praca fizyczna, zwłaszcza na powietrzu, może być wręcz wyczerpującym, podobnie jak dla ciężko pracującego na budowie może być wyczerpującym wyplatanie kocyków, ale, jak mówi stare porzekadło: „listonosz nie chodził po pracy na spacer”...

W połowie lat siedemdziesiątych, przy okazji wprowadzania wolnych sobót, przeczytałem z zainteresowaniem w jakimś tygodniku artykuł o tym, że człowiek w przyszłości będzie pracował coraz krócej. Ze w obliczu powszechnego dobrobytu, który za kilka, kilkanaście lat nastąpi (sic!) trzeba pomyśleć o tych, którzy będą woleli ograniczyć swoje potrzeby materialne uzyskując ekwiwalent w postaci większej ilości wolnego czasu — na uczestnictwo w kulturze, na hobby, na naukę itp. Brzmi to dzisiaj jak dowcip, ale czy naprawdę tak nie jest i teraz, w dobie kryzysu? Kiedy wycieczka zagranicą, własny domek czy samochód przesuwa się poza granice realnej dostępności, kiedy M-3 bywa już szczytem marzeń, coraz większa liczba ludzi zaczyna myśleć takimi kategoriami: po co mi pieniądze w takich ilościach, jakie mogę osiągnąć? Kosztem wyczerpania, zdrowia, życia rodzinnego itd. Wystarczy, że mam co do garnka włożyć, mam cale portki i dach nad głową, wczas mi dofinansują z funduszu socjalnego, co ja się będę napinał? A mam czas pociągać, w karty zagrać, do kina iść... nie jak ten Kowalski, co tyra jak głupi na syrenkę i co ubiera, to samochody drożeją!

Nie sposób odmówić komukolwiek prawa do uprawiania takiej filozofii życiowej (ma ona piękne, długie tradycje!), zwłaszcza ludzkom

nie najmłodszym, którzy już nie muszą się „dorabiać”, a chcą pożyć, choćby skromnie, ale na luzie. Inna sprawa, że takie postawy notuje się coraz częściej wśród młodych ludzi, na przykład studentów, i to jest raczej niepokojące. Choć nie tylko niepokojące — powinno kogoś trzeba skłaniać do myślenia o statusie inteligencji — statusie materialnym, choć nie tylko...

Żeby nie ułatwiać zadania moim adwersarzom muszę dodać, że to, co powyżej napisałem o ludziach, którzy rezygnują z zarobków na rzecz czasu wolnego, nie dotyczy żadnych leni i bumelantów — chodzi o ludzi, którzy rzetelnie chcą wypełniać swoje obowiązki, ale nie zamierzają pracować w czasie ustawowo wolnym ani brać udziału w żadnych wyścigach. Dodam także, że pochwały godni są pracownicy, ofensywni, pazerni na robotę i na jej efekty. Oby ich jak najwięcej, ale dajmy i innym pożyć... A pożyć nie daje w wielu zakładach

## AKORD INDYWIDUALNY

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem tego sposobu organizowania i opłacania pracy. Poza najprymitywniejszymi zajęciami typu kopanie dołów. (O ile wiem, w naszym kraju kopie się doły na ogół „na dniówkę”...) W przypadku pracy bardziej skomplikowanej, przy produkcji zmechanizowanej, a nawet zautomatyzowanej akord indywidualny jest absurdem. I znów — nie nadymając wielkiej trąby ideologicznej — przypomnę tylko, że już klasycy do pracy i połączeniu z wielogodzinnym dniem pracy i paroma jeszcze niemilnymi zjawiskami, występującymi w wielkim przemyśle, traktowali jak sposób na odczłowieczenie człowieka i skuteczną metodę na produkcję trzydziestoparoletnich starców, czterdziestoletnich inwalidów i pięćdziesięcioletnich nieboszczyków.

Nie będę się na te argumenty powoływał, bo są w znacznym stopniu nieaktualne. Popatrzmy tylko trzeźwo i przypomnijmy sobie szkolny przykład: skoro dwóch robotników obsługuje automaty do zszywania rękawic, jeden zszywa prawe, a drugi lewe i ten pierwszy robi dziennie 50 sztuk, a drugi osiemdziesiąt, to ile par dziennie wytwarzają? Oczywiście, tylko pięćdziesiąt...

Jedynym sensownym sposobem stosowania akordu jest akord zbiorowy: dopiero po wytworzeniu gotowego produktu, najlepiej jeszcze — sprzedanego już produktu, następuje wypłata. Brygada, wydział czy cała fabryka zarabia, kiedy produkuje. Zarabia także każdy z pracowników — chyba, że obłok. Ale na takiego nie trzeba wcale kodeksu pracy — koledzy go przepędzą, gdzie pieprz rośnie...

A tymczasem wciąż się dowiadujemy, że tu i tam akordowe metody zdobywają kolejne zakłady i uszczęśliwiają pracowników. Do czasu... W 1987 roku obowiązuje już dwunastoprocentowe ograniczenie wzrostu funduszu płaci i to w sytuacji, kiedy cała masa zakładów stosuje zakładowe systemy płac, wiążące wzrost płac ze wzrostem produkcji. Położono tamę inflacji? Ejże, przecież jest to automatycznie sposób na ograniczenie produkcji! Nie mogę, no nie mogę być za taką reformą, w której każdy słuszny pomysł, każda mądra dyrektywa Biura Politycznego KC PZPR czy rządu zostaje przez urzędnika ministerialnego sprowadzona do absurdu, skarykaturowana i wykrecona na nicei. Przykłady można mnożyć, ograniczę się do dwóch — tylko, których autor,

## URZĘDNIK ZASŁUGUJE NA NOBLA

Na całym niemal świecie darowizny różnego rodzaju dają podstawę do zmniejszenia kwoty płaconego podatku. Niejeden burżuazji woli dać milion na szpital niż zapłacić dwa miliony podatku. Tymczasem, u nas obowiązuje sześćdziesięcioprocentowy podatek od darowizn! Jeśli jakieś przedsiębiorstwo zechce dać na dom dziecka 100 tysięcy złotych, musi zapłacić sześćdziesiąt pięć tysięcy podatku. Nobel z ekonomii!

Drugi przykład obiegł już prasę, TV i radio: jakiś zakład produkuje podszewkę i eksportuje ją po 50 centów za metr. Musi eksportować, bo potrzebne mu są dewizy, a słusznie założono, że zakład sam sobie musi dewizy zarobić, nie ma dojenia państwowej, chudej kasy dolarowej. Ale tej podszewki potrzebuje inny zakład, odzieżowy. Co robi? Odkupuje tę polską podszewkę dokładając znów czterdzieści centów (kwoty podaje z pamięci, mogę się mylić, ale nie w tym rzecz). Ciekaw jestem, czy ponosimy również koszty transportu za granicę i z powrotem? Logika nakazywałaby wozić podszewkę od producenta do fabryki odzieżowej, a tylko określoną nadwyżkę dołować wysyłką zagranicznemu pośrednikowi.

Każdy z czytelników mógłby podobne anegdotki przytaczać na kopy i to cytując wyłącznie krajowe i legalne źródła informacji. Dajmy temu pokój. Nie o to chodzi.

## CHODZI BOWIEM O DYSTANS

dystans wobec całego „reformacyjnego” szumu. Zamiast się hulaśliwie cieszyć z tego, że coś tam jednak wyprodukowano, coś tam wyeksportowano itp., itd., spróbujmy oddzielić ziarno od plew. W końcu co się zawsze produkuje, coś sprzedaje, coś ulepsza. Z reformą lub bez... Czekam niecierpliwie na takie informacje: zakład X przeprowadził „atestację”, w wyniku której wyrzucił brutalnie na bruk dwustu robotników nisko kwalifikowanych, zaangażował dwudziestu wysoko wyspecjalizowanych fachowców od informatyki i nowoczesnej technologii, zaciągnął dolarową pożyczkę i wprowadza absolutnie skomputeryzowaną linię nowoczesnej produkcji.

Zakład wygrał przetarg i będzie swoją produkcję eksportował w całości do krajów wysoko rozwiniętych. Cała załoga, od dyrektora do sprzątaczkii zadawała się zarobkami 15 tys. miesięcznie. Reszta placę w kwitach, do realizacji w przyszłym roku. Zaplanowane na przyszły rok zarobki: od 50 do 100 tys. miesięcznie...

A co, pomarzyć nie wolno?



O d dłuższego już czasu wiele mówi się o białych plamach w naszej historii. Redakcja „Polityki” ogłosiła wśród historyków ankietę na ten temat. Próbuje nawet definiować pojęcie białych plam, rozumiejąc pod nim te obszary przeszłości, które „były zaciemnione, nie odkryte, nie rozpoznane”. Odnosi to przede wszystkim do stosunków polsko-radzieckich, wyrażając nadzieję, że „rozmowy przywódców KPZR i PZPR dadzą nowy impuls poszukiwaniom dziejopisarstwu”. Chodzi oczywiście o wspólną deklarację z 21 kwietnia 1987 roku. Ale czy białe plamy występują tylko w dziejach stosunków polsko-radzieckich? Czy jest to twór współczesności, czy też może bardziej powszechna tendencja występująca w naukach historycznych?

Warto zadać sobie nieco trudu i poszukać odpowiedzi na powyższe pytania, gdyż często można odnieść wrażenie, że owe białe plamy to bardziej narzędzie w rękach polityka niż metoda postępowania historyka. Historyk bowiem pragnie dotrzeć do prawdy i tę prawdę przekazać ludziom. Taka jest jego rola, takie są jego zadania. Politykowi często ta prawda może być nie na rękę, może być niewygodna, a niekiedy wręcz szkodliwa. Polityk ma na ogół możliwość powstrzymania za rękę historyka, aby milczał, inny znów — dla celów politycznych — fakt tego hamowania chętnie ujawnia, aby zaatakować przeciwnika.

W niedalekiej przeszłości, bo 43 lata temu, historyk związany z obozem piłsudczyńskim, Władysław Pobóg-Malinowski miał smutną przygodę, gdy ujawnił publicznie, że

### JÓZEF PIŁSUDSKI PRZEZ 17 LAT BYŁ PROTESTANTEM

A było to tak. 15 lipca 1899 roku w Paproci Dużej, leżącej w guberni łomżyńskiej Józef Piłsudski wziął ślub z Marią z Koplewskich Juszkiewiczową — siołą z wielkiej urody. Ponieważ obłubienica Józefa Piłsudskiego była rozwódką trzeba było wówczas zmienić wiarę, aby móc zawrzeć nowy związek małżeński. Oboje, Maria i Józef „obracali się” — jak piszą w książce „Józef Piłsudski — legendy i fakty” Daria i Tomasz Nałęczowie — w środowisku, w którym indyferentnym religijny był wręcz postawą ateistyczną stanowiły praktykę dnia codziennego, nie przywiązywali do tego większego znaczenia. I tak minęło 17 lat, przez które Józef Piłsudski był protestantem. Na łono Kościoła katolickiego wrócił w lutym 1916 roku, też zresztą z określonych pobudek. Był to przecież okres walk legionowych, a brygadier marzył o buławie. Jak tu w katolickiej Polsce sięgać po buławę protestantów? Opozycja natychmiast fakt ten wyciągnęła.

Józef Piłsudski od najwcześniejszych lat wytrwale i konsekwentnie budował swoją legendę. W 1920 roku ukazała się w Zamociu antologia, poprzedzona wstępem Apolinarego Krupińskiego, zatytułowana „Pieśń o Józefie Piłsudskim”. Było to trzecie wydanie tej antologii. Czwarte również w Zamociu ukazało się w 9 lat później, zostało uzupełnione, a wstęp napisał Zygmunt Branicki. Gdyby tak pogrzać w życiorysach polskich poetów, to może się okazać, że pisali oni zarówno pieśni o Józefie Piłsudskim, jak i o Józefie Stalinie. W antologiach zebrano wiersze i poematy pisane w okresie przed powstaniem niepodległej Polski, w okresie walk legionowych, a w wydaniu czwartym już w Polsce niepodległej. W zbiorach tych jest między innymi wiersz Franciszki Arnsztajnowej zatytułowany: „O, Wodzu!”. Oto jego fragment.

„O, Wodzu!... Imię Twoje i postać legendą  
Za życia już oplota sława niespozita,  
Wnuki kiedyś zardzość oczom naszym będą,  
Ze patrzyły na Ciebie...”

I jak tu teraz „Zywej legendzie” wypominać fakt porzucenia katolicyzmu, 17 lat protestantyzmu i powrót na łono Kościoła katolickiego, który mógł wynikać z potrzeby serca, ale któremu nie trudno było przypisać motywy koniunkturalne, polityczne tylko. Pamiętajmy, że w kręgach Narodowej Demokracji Józef Piłsudski był zaciekle zwalczany, krytykowany i wręcz znienawidzony. Zaciągnięto nad tym faktem kurtynę. Powstała — jak byśmy dziś powiedzieli — biała plama. „Ponieważ rzecz cała — piszą Daria i Tomasz Nałęczowie — znana była niewielkiej liczbie osób, dość długo udawano się ją utrzymać w tajemnicy”.

Niestety. Na swoje nieszczęście dotarł do tej tajemnicy Władysław Pobóg-Malinowski. Doszedł on do wniosku, że „żaden z czynów bohaterów nie może go hańbić”, zatem tajemnicę uczynił powszechnie znaną, czyli fakt ten opublikował. „Wywołał sensację — piszą Daria i Tomasz Nałęczowie — a na swoją głowę ściągnął gromy potępienia ciskane przez polityków, kierujących się zupełnie innymi niż historyk zasadami”.

Ot, może powiedzieć ktoś — drobnostka. Ale właśnie z takich drobnostek składają się niekiedy owe białe plamy, a mnie chodzi o przesłanie mechanizmu ich powstawania. Można tu zatem wykryć już pierwszą prawidłowość: brak zgodności między doraźnymi intencjami polityków a przyszłością historykom zasadą szukania prawdy, nawet jeśli byłaby ona dla doraźnej polityki dość przykra czy wręcz niebezpieczna. W tej sprzeczności interesów wygrywa w zasadzie politycy. I to wcale nie tylko dziś.

Historia zna wiele takich przykładów. Weźmy choćby Jana Długosza. Był on pod przemożnym wpływem Zygmunta Oleśnickiego. W swoich kronikach dał wizerunek Władysława Jagiełły i wielkiego księcia Witolda taki, jaki był wygodny biskupowi Zygmuntovi Oleśnickiemu, a nie taki, jaki był w Istocie. Jagiełłę starał się pokazać możliwie negatywnie, jako człowieka prymitywnego, Witolda zaś jako wielkiego polityka. Co w drugim przypadku była prawdą bezsporną, to w pierwszym z prawdą się mijają.

Nie ulega wątpliwości, że historycy każdej epoki mają prawo do właściwego poglądom tej epoki interpretowania minionych wydarzeń. Jedni je będą pomniejszali, inni powiększali ich znaczenie. Ale nie może się to nigdy dziać wbrew faktom. Poglądy polityczne, filozoficzne, doktryny społeczne mogą mieć wpływ na interpretację faktów, ale nie na ich zakrywanie.

### 4 ODGŁOSY

Niestety, coś takiego działo się już wielokrotnie i nie tylko w naszych czasach.

Stefan Kieniewicz w bardzo interesującej książce „Historia a świadomość narodowa”, kiedy określa

### ROLE I MIEJSCE HISTORII

w kształtowaniu świadomości narodowej, pisze, że „nie tylko uczeni, ale również sternicy narodu i państwa zawsze byli i dziś jeszcze bywają zainteresowani znaczeniem nauki historycznej dla kształtowania się świadomości obywateli”.

Mało kto odważyłby się zaprzeczyć znaczeniu i roli historii w kształtowaniu świadomości narodowej, gdyż bez znajomości przeszłości ta świadomość byłaby kulawa i niezdolna do rozumienia ani teraźniejszości, ani też do udziału w kształtowaniu przyszłości. To pewnik.

Jerzy Topolski w książce „Świat bez historii” tak to ujmując:

„Wszystkie nauki społeczne pracują między innymi nad odpowiedzią na pytanie: „Gdzie jesteśmy? Nauki historyczne jednak rozszerzają to pytanie, dodając doń dodatkowe: Jak doszliśmy do tego miejsca, gdzie jesteśmy? „Owa wiedza... jest niezbędna dla wyjaśnienia obrazu świata, w którym żyjemy. Bez niej musielibyśmy uciekać się do myślenia magicznego, charakterystycznego dla świata bez historii”.

Co innego przyznawać w teorii i deklaracjach wielkie znaczenie w kształtowaniu świadomości narodowej nauce historycznej, a co innego podejmować decyzje w konkretnych sprawach. Czasem polityk — który przecież w końcu decyduje — woli jakiś fakt przemilczeć, albo go przeinaczyć. Znana jest na przykład Inna „drob-

ność” z dziejów najnowszych Polski. Józef Piłsudski — jak powinno być wiadomo — powrócił z więzienia w Magdeburgu 10 listopada 1918 roku. Powitano go na Dworcu Głównym w Warszawie. Moment ten został też uwieczniony na fotografii. Jest to fotografia powszechnie znana. Ale jest to fotografia... fałszywa. Znalazła się ona nawet w monumentalnej „Historii Polski” wydanej pod redakcją PAN. Faktycznie jest to zdjęcie z powitania Józefa Piłsudskiego w Warszawie na tymże Dworcu Głównym, ale sprzed 2 lat, dokładnie 12 grudnia 1916 roku. Ukazało się ono 16 grudnia 1916 roku w numerze 51 „Tygodnika Ilustrowanego”.

Znów ktoś może powiedzieć, że to drobnostka. Taki niewiny kamufaż. Otóż nieprawda. „Za-

go powiedział między innymi, że „nas powinna jednoczyć świadomość i wola, aby z naszej rodzinnej tragedii, która się rozegrała w Poznaniu, nie pozwolić wyciągnąć zysków rzeczywistym wrogom Polski Ludowej” — rozumiano to jednoznacznie, jako zaciągnięcie kurtyny nad tymi wydarzeniami. Zaniechano badań historycznych. W 20 ich rocznicę — jak przypomniał niedawno w „Kulturze” Piotr Grochmalcki w rozmowie z Andrzejem Choniałką i Edmundem Markowskim — „akta tzw. procesów poznańskich, przechowywane w Sądzie Wojewódzkim, uznane zostały za materiały niehistoryczne” i zniszczone ze szkoda dla historii właśnie.

Otóż z faktu, że o czymś nie będziemy mówili, że ludzie do tego powołani i przygotowani nie przedstawiają właściwego przebiegu wydarzeń, wcale nie wynika, że w świadomości narodowej wydarzenia te nie funkcjonują i że nie kształtuje się ich fałszywy obraz. Jest to bardziej szkodliwe od prawdy.

„Historia — pisze Stefan Kieniewicz — spreparowana w sposób nadmiernie jaskrawy przestaje być wiarygodną. Młody czytelnik, który nie znajdzie w podręczniku niektórych ważnych faktów, o których składają doskonale wie, przestaje wierzyć i tym bezsprzecznie prawdziwym, które się w podręczniku znajdują. (...) Jednostronny obraz przeszłości, akceptowany przez czytelnika, może przynieść więcej szkody niż pożytku. Czarno-białe schematy i naruszenia proporcji przyczyniają się do umocnienia w świadomości społecznej wszelkiego rodzaju fobii, szowinizmów i megalomanii narodowej — wówczas, gdy celem naszym powinno być przygotowanie następnego pokolenia do tej przyszłości, w jakiej mu żyć wypadnie...”

Jaki to działa mechanizm? Sądzę, że ten sam, który leży u podstaw każdego biurokratyzmu. Anatolij Butienko opublikował na łamach gazety „Sowietskaja Kultura” artykuł pt. „Oblicza biurokracji”, w którym zawarł taką myśl:

„Jest to zjawisko społeczne, co oznacza, że ma ono całkowicie konkretne przejawy w realnej praktyce społecznej, w działaniu konkretnych ludzi, którzy zastępują interesy całego społeczeństwa, całego narodu interesami jakichś „cełowości” zrodzonej we wnętrzu tego czy innego

resorts, a tak naprawdę będącą wyдуманą rzeczywistością, ignorującą prawdziwe życie i jego komplikacjami i sprzecznościami”.

I dalej: „To właśnie wówczas, w latach kultu osoby Stalina, pojawiło się i upowszechniło wśród części aparatu zarządzania czysto biurokratyczne podejście do ludzi jako śrubek i trybików w anonimowej maszynie państwowej”.

Taka filozofia pozwoliła biurokratom — może to brzmi nieco schematycznie, ale taka jest istota tego zjawiska — wyznawać zasadę, że oni wiedzą najlepiej, co ludziom potrzeba do szczęścia i ludzie powinni być im za to wdzięczni. W chwilach konfliktowych dziwią się, że tak nie jest. Przecież on — z racji zajmowanej pozycji i stanowiska — nie tylko nakazuje lub zakazuje, ale czyni to jako sprawny i wierny realizator linii partii i państwa. Partia politykę określa, a on ją w trudzie realizuje. Na ogół w myśl zasady, że o sprawach trudnych, skomplikowanych, różnorodnych w swojej istocie, najlepiej nie mówić. A jeżeli już, to półprawdę, albo jej niewielką część.

### COŻ DAJĄ PÓLPRAWDY

Wielu Polaków było przekonanych na przykład, że wprowadził Francja w 1939 roku nie była zdecydowana walczyć „o Gdańsk” — jak to się wówczas mówiło — ale po jej kapitulacji i zajęciu przez wojska niemieckie stanęła do walki w ruchu oporu. I oto we wtorkowy wieczór, 7 lipca 1987 roku na ekranie telewizora oglądamy Francję kolaborującą, widzę szanowanych i poważanych po wojnie artystów francuskich, którzy w najlepszej występują w Niemczech, dla Niemców będących ich okupantami, słyszę wypowiedzi usprawiedliwiające tamto

Nie tylko Stefan Kieniewicz uważa, że „narod nasz dojrzał do tego, aby z nim rozmawiać otwarcie”.

## Skąd w historii biorą się białe plamy?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

nostka” z dziejów najnowszych Polski.

Józef Piłsudski — jak powinno być wiadomo — powrócił z więzienia w Magdeburgu 10 listopada 1918 roku. Powitano go na Dworcu Głównym w Warszawie. Moment ten został też uwieczniony na fotografii. Jest to fotografia powszechnie znana. Ale jest to fotografia... fałszywa. Znalazła się ona nawet w monumentalnej „Historii Polski” wydanej pod redakcją PAN. Faktycznie jest to zdjęcie z powitania Józefa Piłsudskiego w Warszawie na tymże Dworcu Głównym, ale sprzed 2 lat, dokładnie 12 grudnia 1916 roku. Ukazało się ono 16 grudnia 1916 roku w numerze 51 „Tygodnika Ilustrowanego”.

Znów ktoś może powiedzieć, że to drobnostka. Taki niewiny kamufaż. Otóż nieprawda. „Za-



Reprodukowane powyżej zdjęcie zrobione było 12 grudnia 1916 roku, ale do dziś uchodzi jako zdjęcie z 10 listopada 1918 roku, z powrotu Józefa Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu.

dziwiająca i pouczająca jest częstotliwość — piszą Daria i Tomasz Nałęczowie — z jaką kolejni autorzy powielali i nadal powielają tę pomyłkę. Na pierwszy rzut oka trudno zrozumieć genezę tego zjawiska. (...) Wszystkiemu bowiem winna jest legenda przesłaniająca rzeczywiste wymiary historycznych wydarzeń. W tym przypadku zasieg jej oddziaływania dodatkowo pomnażał fakt, że owo nieprawdziwe zdjęcie nadzwyczaj odpowiadało społecznemu zapotrzebowaniu”. Dokonano zatem z pozoru niewinnego fałszerstwa, którego skutki trwają do dziś.

A ileż to dokonano retuszy historycznych zdjęć? Nie tak dawno „Sztandar Młodych” opublikował niemal całą kolumnę zdjęć historycznych z okresu walk partyzanckich i tych samych po retuszu. Albo kogoś niewygodnego wyretuszowywano ze zdjęcia, albo komuś... dodawano chwały i bardzo pożądanego towarzystwa. I takie zdjęcia do dziś ilustrują poważne książki, a niekiedy i podręczniki szkolne.

### POLITYK WYRAŻA OPINIĘ

często podyktowana doraźnymi racjami, często nieprzemyślana, pochopna, powierzchowna, a tyśiące różnych „podwykonawców” czynią z niej wykładnię, „linię” postępowania i politycznego myślenia. W ZSRR ukazały się wspomnienia Ilji Erenburga z roku 1956, które nie mogły



od dawna, ta ulica nosi imię Orzeszkowej. A domek pisarki jest całkowicie niedaleko — obok szkoły.

Jako dziecko i dorastająca dziewczynka Eliza czyli Zuzanna, wówczas jeszcze Pawłowska, mieszkała gdzieś indziej, na ulicy Brygidzkiej, naprzeciw kościoła Bernardynów. Stąd, jako szesnastoletnia mężatka wyjechała po ślubie ze znacznie starszym od niej Piotrem Orzeszko do majątku męża — Ludwinowa. Kiedy po kilku latach małżeństwo z nim rozchwiało się i uległo całkowitemu zerwaniu, wróciła do Grodna, gdzie zajmowała kolejno kilka różnych mieszkań. Ostatnim z nich był parterowy staroświecki dom, przostawiony dawnej dworek, z facjatą i balkonem od frontu, ze ścianami malowanymi na kolor szaroniebieski.

Na bramie dawnego dworku — wtedy widziałam go po raz pierwszy — widniał napis, informujący, że znajduje się w nim grodziska stacja krwiodawstwa. Pierwsza osoba, jaką napotkałam, młodzianka pielęgniarka, potwierdziła od razu: — Tak, ten dom należał niegdyś do polskiej pisarki Elizy Orzeszkowej.

Pojawilo się kilka naraz pracownic stacji krwiodawstwa zaciekawionych przybyciem nieoczekiwanego gościa z Warszawy. I nagle role odwróciły się: ja, która przyjechałam do Grodna pierwszy raz w życiu, musiałam odpowiadać na kolejne pytania: jak wyglądało wnętrze dworku dawniej, za życia Orzeszkowej? Gdzie pracowała? Gdzie odpoczywała? Jakie książki napisała... Wspomnienia współczesnych pisarki, zwłaszcza zaprzyjaźnionego z jej domem Franciszka Godlewskiego, dostarczyły mi licznych wiadomości, utrwalały w notatkach. Dzięki nim mogłam na te pytania odpowiedzieć, określając przeznaczenie poszczególnych pokoi — choć nigdy przedtem w nich nie byłam.

A więc — przez sionkę i przedpokój wchodziło się do „mieszkalnej” części domu; na wprost wejścia znajdowała się jadalnia, a przed nią kryty ganek. Stąd kilka stopni prowadziło do ogródka, gdzie nieliczne kasztany, rosłate lipy i stary klon ocieniały rabatkę pełną kwiatów. Niektóre z tych drzew dotrwały do naszych czasów. Na lewo, za małym salonikiem była sypialnia Orzeszkowej i jej gabinet — ciemny, ciasny. Główny sprzęt w nim stanowiło biurko, zarzucone mnóstwem książek i papierów. Dworek był obszerny, przestronny i gościnny. Odwiedzało go wielu znajomych i przyjaciół pisarki. I wielu przetrwało się w nim ludzie, którzy u pani Elizy szukali rady, opieki, pomocy.

Jedną z młodych pielęgniarek mówi, że stary miejscowy rzemieślnik murarz czy stolarz — jaka szkoda, że nie zapamiętano jego nazwiska! — pracując po wojnie przy renowacji dworku, opowiadał, że gdy pisarka umierała, sąsiedzi samorzutnie wysycili całą ulicę w pobliżu jej domu grubymi warstwami słomy, aby turkot i hałas pojazdów nie zakłócał tak bardzo potrzebnego chorej spokoju...

Myszę o tym, co czytam, później o ludziach, rzeczach, których mnóstwo przepływało przed moimi oczami i znikało; znane te i znikłe twarze, postacie, wypadki, charaktery, rozmowy, zaczynają układać się w obrazy, w sceny, widzę tła z mieszkań lub z krajobrazów, ruchy, gesty, grę rysów, słyszę głosy, pustka zmienia się w ścisła, cisza w gwar, porywa mnie chęć opowiadania, opisywania tego, co widzę i słyszę, zrywam się... zapalam na biurku światło... i piszę. Pisząc czuję, że przekształcam rzeczywistość, dodaję, ujmuję, wymyślam... już noc głucha, ciemny dom podobny do grobu, jednak we mnie panuje dziwna radość, beznamiętna, spokojna, ale tak wielka, że nazywam ją szczęściem.

Takie uczucia nuriowały panią Elizę, gdy wróciła po latach do Grodna, przeżywała wiele wahań, namysłów, niepewności zanim podjęła próbę pracy literackiej. Swoich literackich pierwocin nie drukowała, uznając je za niedojrzałe. Lecz liczne pomysły, wątki, postacie, jakie w nich naszkicowała wróciły później w udoskonalonej formie na kartach jej dojrzałych opowiadań i powieści.

Po nocach pełnych gorączkowej pracy, początkująca pisarka spotykała nowy dzień

rzeźwa, wesola, wezbrana radością życia i pełnią nadziei nieokreślonych, żadnym słowem nie sformułowanych, lecz żywym strumieniem wytryskających z piękności natury i z mojej młodości, myśli i pracy. Debiutem jej stał się „Obrządek z lat głodowych”, ogłoszony drukiem na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” w roku 1886. Utwór nieznanego niemu autorki spotkał się z zycielwym przyjęciem zarówno ze strony krytyki, jak i czytelników. Pani Eliza, potwierdzona w swoich planach i zamiarach twórczych, pisała wówczas:

Do brzegu mego podpłynęła łódka, na której miałam płynąć nad odmetami i otchłaniami rzeki zowiącej się życiem. Nad samotną głową moją Bóg zawieszal tarczę i zapalał gwiazdę.

2.

Kiedy przed trzydziestu laty wędrowałam śladami pisarki, żyli jeszcze ludzie, którzy odwieźli ją niegdyś w grodziskim domu — i którzy ten dom zapamiętali. Był on urządony bez przepychu, ale dostatnie i w dobrym stylu. Przepadły dawne, piękne, stylowe meble, jakie niegdyś posiadała pani Eliza, niektóre spłonęły w jednym z poprzednich mieszkań pisarki po jej przeprowadzce do Grodna, podczas wielkiego pożaru w tym mieście, razem z częścią bogatej biblioteki. Umeblowanie dworku uzupełniały obrazy, kilka sztychów, miniatury i fotografie. W małym saloniku, położonym na lewo od sieni, nad marmurowym kominkiem wisiało piękne lustro, na innej ścianie obraz A. Kamińskiego — Anastazja. Był tu również piękny portret pani Franciszki Pawłowskiej-Widackiej, z córką, małą Elizą — pędzla jednego z bliskich krewnych, stryja Jana Pawłowskiego.

Gabinet pisarki ciasny, ciemny zawsze był najskromniejszy chyba ze wszystkich pokoi w dworku.

Wojna rozproszyła skromne zasoby dawnego muzeum Orzeszkowej, które w latach międzywojennych urządzono w jej dawnej siedzibie. Podczas okupacji niemieckiej uratowało się tylko to, co zdołał przyprządkiem ocalić mieszkaniec Grodna. Nieliczne eksponaty przeniesiono wówczas do muzeum historycznego na zamku grodziskim.

Przetrwał również pomnik pisarki — popiersie dłuta Leonarda Zerycha. Niemcy zrzucili je z postumentu, nie zdążyli jednak go zniszczyć. Popiersie zrekonstruowano w dawnej postaci.

W muzeum znalazły się ocalałe pamiątki po pisarce. Wśród nich rzeźby Zerycha, Kuny, Makowskiego. Ponadto fotografie rodzinne, zdjęcia wnętrza domu pisarki, jej wizerunki na łożu śmierci. Nieliczna liczba autografów — odpisy niektórych listów Orzeszkowej, prawdopodobnie sporządzone przez współczesnych pisarki. Z dawnego urzędzenia jej domu ocalili i trafił do muzeum tylko stół. Wszystko inne zabrała wojna.

Znalazłam jednak jeszcze jedną pamiątkę, staroświecką, a zarazem szczególnie wzruszającą: zielenik pani Elizy. Do jej najulubieńszych rozrywek należało zbieranie i zasuszanie roślin, z których układała zieleniki, czyli „herbaria”, komponując przy tym wymyślne wiązanki, bukiety, wieńce zasuszonych kwiatów. Niezręcznie obdarzała nimi swoich najbliższych. Przyroda rodzinnych okolic zawsze pasjonowała Orzeszkową. O jej zainteresowaniach botanicznych świadczą studium: „Ludzie i kwiaty nad Niemnem”, jakie zamieściła w czasopiśmie etnograficznym „Wisła”, redagowanym przez Jana Karłowicza. Znany ten uczyony należał do przyjaciół i byłalców grodziskiego dworku.

Stojąc na zamkowej górze, patrzyłam nad Niemnem. Na wielokrotnie przez Elizę Orzeszkową opisywaną rzekę — gościniec wieczny, którym w przeszłość bezpowrotną przez wieki wędrują fale, nigdy powrócić nie mające...

3.

Na cmentarzu miejscowym odwiedziłam mogile pisarki, pochowanej obok drugiego jej męża, Stanisława Nahorskiego. We wsł Milkowszczyzna, „krajnie lat dziecinnych” przyszej pisarki, na dawnym opuszczonym cmentarzystu przydworskim, znalazłam za-

rosnięte i zaniedbane groby, o których pisała Orzeszkowa w swoich wspomnieniach. Dwa z nich, bez napisów, które od dawna zniknęły — zachowały się jednak na nich pomniki — kryły prochy ojca pisarki, Benedykta Pawłowskiego i jej stryja, utalentowanego malarza-amatora Jana Pawłowskiego. Na sąsiedniej mogile „nie-duży żelazny pomniczek” nosił napis:

D.O. M.S.P. KLEMEN-TYNYE PAWŁOWSKIEJ NIE-POCIESZONE PA JEJ STRA-CIE MATKA, BĄBKA, I SIOSTRA TĘ SMUTNĄ PA-MIĄTKĘ NA JEJ GROBIE SKŁADAJA...

Tu spoczywała jedyna siostra Elizy, starsza od niej o trzy lata „Klemonia”.

Czy choćby ślad z tych mogił pozostał jeszcze do dziś?...

4.

Pani Eliza lubila jeździć do okolicznych zakątków: Rumlów-ki, Sekretu, Pyszek i nieco dalej — do Lososnej, gdzie rozsiływały się w ruinie resztki

## Nad Niemnem

dawnej tyzenhauzowskiej fabryki.

Latem pisarka spędzała zwykle na wsi. Lubila Miniewiczze, niedaleki majątek sybraków, państwa Kamińskich, którzy powrócili z wygnania z głębi Rosji. Pobliskie „okolice”, czyli zaścianki szlacheckie, gdzie przechowywały się staroświeckie tradycje, obyczaje, formy towarzyskie — stanowiły dla pisarki niewyczerpane źródło

Krajobraz po drodze — jak w „Nad Niemnem”:

Równinę przerywały drogi białe i trochę zieleniejące od rzadka porastającej je trawy, ku nim, niby strumienie — kryły prochy ojca pisarki, Benedykta Pawłowskiego i jej stryja, utalentowanego malarza-amatora Jana Pawłowskiego. Na sąsiedniej mogile „nie-duży żelazny pomniczek” nosił napis:

„Nad Niemnem” powstało w roku 1886. Poprzedziły je długie namysły, rozważania i „przymiarki” pani Elizy do zamierzonego dzieła. Powieść pierwotnie miała nazywać się „Mezallians”. Marian Gawałewicz, literat i dziennikarz, redaktor ukazującego się w Warszawie „Tygodnika Powszechnego” zaproponował Orzeszkowej napisanie obszernej powieści na ten stosunek starszego pokolenia u nas z młodymi i wpływów tak szkolnych, jak społecznych, działających na usposobienie dzisiejszej młodzieży. Już pod koniec roku 1885 „Tygodnik Powszechny” zapowiedział druk nowej powieści na tle życia obywateli wiejskich i szlachty zagrodowej pt. „Mezallians” Elizy Orzeszkowej.

Tytuł, jak się potem okazało, pozostał w treści. Powieść otrzymała jednak inną nazwę. Latem roku 1886 pisarka zabrała się na dobre do pracy nad zamierzonym dziełem. Jeden z głównych jego wątków — wyjście panny z tak zwanego „towarzystwa” za mąż za chłopca lub zagrodowego szlachcica — wydawała się współczesnym tak śmiały, tak dalece łamiący wszelkie przyjęte



tematów, postaci, modeli literackich; stąd również obficie czerpała opowieści, przysłowia, piosenki. Najczęściej wraz z domownikami wyjeżdżała do odległego od Grodna o kilkanaście kilometrów Pontemunia. Tu i w Miniewiczach powstało „Nad Niemnem”.

„Jechałam do Wilna z „Ongrodu” w ów mroźny dzień styczniowy z mocnym postanowieniem, że powrócę na trop ścieżek Orzeszkowej o bar-dziej sprzyjającym czasie, kiedy można będzie obejrzeć nadniemeńskie okolice w całej ich urodzie — i zobaczyć miejsca, gdzie powstawało „Nad Niemnem”.

Spełniłam ten zamiar w pół-tora roku później...

5.

Jest początek lipca, pełnia lata, najpiękniejszy czas dla podróży po nadniemeńskich szlakach. Jadę „ekwipażem” nieoporniejszym niż karoca pani Elizy przed stu laty, używając mi przez władze miejskie Grodna, Klerunek — Bohatrowicze. Bohatrowicze, które istnieją naprawdę. Istnieją — tak jak Ejrągola, Pacunele, Klejdany...

konwenanse, że niektórzy przyjaciele Orzeszkowej wątpili w powodzenie jej literackiego zamiaru ze względu na ów temat. Ale pani Eliza pracowała z energią i zapalem. 11 sierpnia 1886 roku pisze do jednego z przyjaciół, Leopolda Meyeta:

Na wsi już jestem od dwóch miesięcy. Z początku nie robiłam nic prócz oddychania pełną pierśią piękną pogodą letnią i wiejską ciszą. Od kilku jednak tygodni zabrałam się do pisania wielkiej, dwutomowej powieści, która będzie miała tytuł „Nad Niemnem” i w której, wielkie, choć może zwodnicze pokładam nadzieje.

W sierpniu roku 1887 Orzeszkowa ukończyła tom trzeci i ostatni „Nad Niemnem”. Pierwszą część powieści drukowana była tymczasem na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”, gdyż „Tygodnik Powszechny”, dla którego pierwotnie przeznaczona była powieść, przestał wychodzić.

Zacząłam dopiero tom drugi — donosiła Orzeszkowa Meyetowi w liście z 4 października 1886 roku. — Powieść jest trudną, trzeba pilnie trzymać

się natury, aby nie popaść w sielankę i osiągnąć cel, którym jest scharakteryzowanie szlachty zagrodowej i głównych tu-tejszych obywatelskich typów.

Dwór w Miniewiczach — pierwowzór Korczyny, nie istnieje już od bardzo wielu lat. Powieściowcy jego właściciel, Benedykt, otrzymał imię ojca pisarki. W latach międzywojennych jeszcze żywe było nad Niemnem wspomnienie powieściowego wątku, który stał się rzeczywistością; dziedziczka Miniewicz, przyjaciółka Orzeszkowej, Stanisława Kamińska, poślubiła Klemensa Strzałkowskiego, wywodzącego się z zaścianka, z drobnej szlachty. W liście do Meyeta z 8 grudnia 1887 roku pani Eliza opisała „demokratyczne wesele wiejskie”, którego była uczestniczką; służąca jej wyszła za mąż „za jednego z mieszkańców Bohatrowicz, tej okolicy tuż przy naszym domu w Miniewiczach”. Pisarka wiozła do ślubu pannę młodą, a potem przez półtora dnia podejmowała u siebie gości weselnych. To był jeszcze jeden przyczynek do realiów powieści „Nad Niemnem”.

Rozglądałam się za nim. Gdzieś znikł, choć jeszcze przed chwilą był widoczny, błyskał światłem słonecznym zanurzającym się w wodzie. Coraz bliżej do wsi. Ciasno skupione dachy, zielone bukiety drzew w sadach. Słychać brzęczenie pszczoł, Bohatrowicze? Tak.

Przedstawiciel władz miejskich w Grodnie, który mi towarzyszy, patrzy wyczekująco. Chciałam widzieć Bohatrowicze? Jesteśmy w nich. Którędy dalej? Jak szukać miejsc związanych z powieścią Orzeszkowej? Czy po upływie kilku dziesiątków lat i po dwóch wojnach cośkolwiek z nich pozostało?

Podchodzę do kobieciny, która schyłona nad zagonem piele chwasty.

— Powiedzcie... zaczynam z wahaniem — czy jest tutaj krzyż?

Kobieta dźwiga się, rozprostowuje plecy, ociera pot z czoła i mruczy oczy z zaskanowaniem.

— Jaki krzyż?

— Nad Niemnem. Na lewym brzegu, równien byc pod nim kamien — dorzucam z nikią nadzieją, że może jednak...

Rozmawczynie, wcale nie zdziwiona, kiwa potakująco głową.

— Jest taki krzyż. Bardzo stary, ładnie przez wieś, tam wam pokażę drogę.

Chaty bohatorywickie są puste, wyudmione. Lato, wszyscy pracują na polach, i ogródków bije mocna woń nagrzanej słoneczną zieleni. Drzewa szeroko rozrosłe, choć niskie gną się pod ciężarem wczesnych dojrzewających owoców. Którędy przychodziła tu Justyna, ociekając do bohatorywickiego zaścianka z dusznej atmosfery dworu w Korczynie? Jakimi ścieżkami chodził stary Anzelm Bohatrowicz? Gdzie droga, która prowadziła rybaków nad Niemnem?

Zabudowania gospodarskie kończono też, prawie puste. Ale słychać głosy. Kilka dziewczęć mierzy oczyma ciekawym spojrzeniem.

— Chcemy iść nad Niemen — wyjaśniam. — Na brzeg, na wzgórze. Tam, gdzie stoi krzyż. Stary krzyż, a pod nim kamień...

Najmłodsza, smagła piętnastoletka wstaje. — Ja was zaprowadzę.

Za pasem sadów błyska Niemen. Ścieżka stromo opada w dół. Jeszcze chwila — i odsłania się wysoki brzeg Nienua piaszczystą ścianą wyrastającą z zieleności ziemi, a koroną ciemnego boru oderznęty od błękitnego nieba.

Rzeka ukazuje się w malowniczym, urwistym zatamaniu brzegów. Spadzisty brzeg zwisa nad falami. Po drugiej stronie Nienua, który zatacza ostry łuk, sosnowy las schodzi niemal do wody. Z jego mroczną zielenią kontrastuje wąska smuga złotawego piasku na brzegu. Rozglądam się uważnie. — Jest!

Na stromej wyniosłości stoi krzyż opisany przez panią Elizę — stary, pochylony, wyszczerbiony. Pod nim kamienie. Są dwa, zgodnie z relacją moich poprzedników, którzy to miejsce odwiedzili w latach międzywojennych: Gabrieli Pauszer-Klonowskiej i Tadeusza Łopalewskiego. Przylekłam, usiłując w wyżłobieniach siwych od porostów w omszanych bruzdach rozszyfrować, a raczej odgadnąć sens napisu, który wyryla przed wiekami nieznaną ręką. Ale na próżno. Zbyt długo leżały te kamienie nad Niemnem. Zbyt długo prażyło je słońce, szlifował wiatr i deszcz. Zatarły się

litery wylute przed wiekami. Można tylko znowu u Orzeszkowej znaleźć jeszcze odczytać nadniemeńską legendę o Janie i Cecylii. Legendę, której początki sięgały podobno aż w szesnaste stulecie.

Rozglądam się wokół — tu, gdzie „przeszło trzy wieki patrzyły na przepaść zieloną z warcząca w głębi krynica, na olbrzymi i cały w mchach siwych i wiankacz leżący kamień, na wielki trójkąj Nienua, odsłonięty tu przez wyginające się w tył przepaście i stojący w tej cichej pogodzie szybą błękitu i srebra”.

Bohatrowicze. Wieś utrwalaona na kartach „Nad Niemnem”. Niejedną szczegół tej powieści może nam obecnie wydawać się anachronizmem. Lecz jeśli uprzytomnimy sobie czas jej powstania, ówczesny układ stosunków społecznych, kulturalnych, obyczajowych — wówczas postępową jej treść ujawni się w całej pełni.

W latach międzywojennych żył jeszcze Jan Bohatrowicz, sędziwy imieniem jednego z bohaterów „Nad Niemnem”. Teraz chyba po dawnych mieszkańcach zaścianka, który wszedł do powieści, nie zostało nawet wspomnienie...

Pytam naszą młodzianką przewodniczkę, jak ma na imię.

— Żuła — brzmi odpowiedź.

— A nazwisko?

— Bohatrowicz.

Więc jednak...

— Dużo we wsi jest Bohatrowiczów?

Dziewczyna liczy na palcach. — Więcej niż dziesięciu... Legenda zahacza więc o prawdę...

6.

Zatrzymano mnie wtedy na dzień następny w Grodnie. Przypadek zrzucił, że właśnie miała być odsłonięta pamiątkowa tablica na dawnym domu Orzeszkowej. Stację krwiodawstwa przeniesiono gdzie indziej. Dom pisarki zamieniono w muzeum. Trafily do niego ocalałe pamiątki po niej, przechowywane poprzednio w muzeum miejskim.

Kilkanaście lat wcześniej hitlerowscy wydarli ze ściany domu pisarki i zniszczyli dawną tablicę. Bardzo uroczyste, w obecności przedstawicieli władz dokonano odsłonięcia nowej tablicy z napisem:

„TU OD MAJA 1870 ROKU DO MAJA 1910 ROKU ŻYŁA WYBITNA POLSKA PISARKA DEMOKRATYCZNA, ELIZA ORZESZKOWA”.

7.

Minęło wiele lat. Na ekrany kin trafiła filmowa wersja „Nad Niemnem”. Pierwsza — jeśli nie liczyć poprzedniej, zrealizowanej w latach międzywojennych, która nie zdążyła pojawić się w kinach.

Mówiono w kawiarniach i w kręgach snobistyczno-krytycznych: „Kto pójdzie na takie starocie?” Krzywiono się lekceważąco nawet mimo doniesień z festiwalu w Gdańsku, że „Nad Niemnem” zdobyło wielkie uznanie.

Tymczasem publiczność „głosuje nogami”. Podczas wielu filmów, nad którymi rozprawy się recenzenci, sale świecą pustkami, bilety zaś kupić nietrudno. Tam, gdzie wyświetlana jest „Nad Niemnem”, przed kasami stoją długie koleje. Nie zrażają widzące nawet nie dograne lub całkiem zimne sale kinowe. Z trywkułów rozmów można się dowiedzieć, że przychodzą nawet ci, którzy stronili od kina, którzy nie byli w nim od dawna. W bibliotekach publicznych nagle zrobiły się trudności z wypożyczeniem „Nad Niemnem”...

Prawie wszyscy bohaterowie filmu wydali mi się zgodni z tch powieściowymi pierwowzorami. I raz jeszcze przeżyłam nie zapomnianą przygodę sprzed wielu lat. Wędrowkę do Grodna i do Bohatrowicz, śladami Jana i Justyny. Śladami Elizy Orzeszkowej — nad Niemnem.

MONIKA WARNENSKA

(Kontrasty 4/87)



Udało mi się uprosić dyrektora o dwa dni bezpłatnego urlopu i autobusem PKS pojechać do stolicy polskiej piosenek. Był czwartek, pierwszy dzień festiwalu i — mówiąc szczerze — w festiwalowej recepcji zapomniałam języka w gębie. Był tłok, jakieś zamieszanie, reklamacje zakwaterowań w akademiku... W tym czasie obok nas przemarszerował majestatycznie artysta Smoleń i zniknął w głębi hali. Przez chwilę zwątpiłam: miałam ochotę chwycić neseser i pójść z powrotem na dworzec, ale żał mi się zrobiło tych jedenaście tysięcy, które pożyczycyłam z kupki oszczędności przeznaczonych na prakę automatyczną. „Niech się dzieje, co chce. Zostaje.” — pomyślałam sobie.

Nagle, najzupełniej niespodziewanie, spotkałam swoją dawną koleżankę jeszcze z ławy szkolnej, z którą nie widziałam się chyba z dziesięć lat. Wyciągnęłyśmy się z nią nie wzdużając jednak żadnego zainteresowania. Okazało się, że Dorota wyszła za mąż za jednego z czołowych polskich instrumentalistów i z tej racji od paru lat jeździ po rozmaitych festiwalach i innych tego typu imprezach. Zna masę ludzi z tzw. branży i jest per Wojtek nawet z Wojciechem Trzcińskim, który już po raz drugi został szefem festiwalu w Sopocie.

ten Adam Patoch, co komponuje im wszystkie piosenki, to nie żaden Patoch tylko Sławomir Wesołowski, realizator dźwięku z Polskiego Radia. Utwory są nagrywane dosłownie takt po takcie, a później tenże Wesołowski przygotowuje brzmienie grupy wokalnoinstrumentalnej. Nieraz siedzi nad tym dwa i trzy tygodnie. Ot, i cała tajemnica, tyle, że sama nie wiem, czy w to wierzyć.

Bardzo się ucieszyłam z faktu zobaczenia na żywo konferansjerów koncertu „Od Opola do Opola”: Anny Szulc, którą bardzo lubię z telewizyjnego okienka, i Jerzego Rowińskiego, którego sympatyczny głos jest mi od lat znany z radiowych audycji. Zdziwiłam się więc, gdy zamiast nich pokazał się najpierw niebawem wystrójony ten sam gość, (niestety, nigdy nie mogę pamiętać jego nazwiska), który zawsze przeszkadzał im w telewizyjnych edycjach „Od Opola do Opola”. Na szczęście nie miał wiele do powiedzenia i już więcej się nie pojawił: może w międzyczasie dostrzeżono u niego wady wymowy?

Kolejne zdziwienie spotkało mnie w czasie koncertu „Mikrofon i ekran”. Wcześniej, zarówno w telewizyjnych audycjach, jak i w koncercie „Od Opola do Opola”, twierdzono, że dokonuje się wyboru dwóch piosenek, a tu niespodziewanie następuje zapowiedź: „trzęcie miejsce, choć w większości były to raczej wyeksploatowane dowcipy.

„Poza konkursem odbędą się koncerty: — „KABARETON — OPOLE 87 — PRZESTROJENIE” — Koncert „PIOSENKI BOGUSŁAWA KLIMCZUKA” — Koncert finałowy „MIKROFON I EKRAN”.

Koncert z utworami Bogusława Klimczuka i finał mieli możliwość obejrzeć telewizywnie. Na antenie — jak podejrzewam — pójdą też fragmenty „Kabaretonu”, na którym raz jedyny, mimo późnych godzin, był full na widowni amfiteatru. Publikę do prawie wpół do trzeciej biła brawo i śmiała się z tego, co zawsze, choć w większości były to raczej wyeksploatowane dowcipy.

Zupełnie poza konkursem, podczas próby, na której zresztą z ciekawości byłam, zламаł nogę Rudi Schubert. Spiewał — notabene: właśnie z playbacku — i kilka nogami tak długo aż się pośliznął na szklanej podłodze i upadł. Lekarz zabronił mu udziału w koncercie „Mikrofon i ekran” — parę złotych przesyła „Wakowi Jagiellońskiemu” koło nosa.

Powszechne było narzekanie na brak podczas festiwalu bankietów, choć — jak twierdzi Dorota — od lat oficjalnie niczego takiego się nie organizuje. Nawet obchodząca dwudziestolecie pracy estradowej Marysia Rodowicz powiedziała, że szkoda, bo bankiet by się przydał. Na jej jubileuszowe spotkanie przybył nawet Daniel Olbrychski, który bierze obecnie udział w zdjęciach do amerykańsko-włoskiego filmu pt. „Przed sklepem jubilera” opartego o utwór Karola Wojtyły, który napisał to zanim jeszcze został papieżem. Zdjęcia są realizowane w Krakowie, a u boku Olbrychskiego występuje sam Burt Lancaster.

O tym, że jednak się bankietu mogłam się przekonać, gdy którejś nocy mąż Doroty zabrał nas na kolację do hotelu „Opole”. Na szczęście wcześniej zarezerwowałam stolik, bo o północy znalezienie jakiegokolwiek wolnego miejsca jest tu sennym marzeniem. W ogóle to mi się podobało, że nie wpuszcza się do restauracji nikogo spoza festiwalu. Nie masz plakiety — won. I słusznie, gdyż w środku jest na co popatrzeć. Oto czołowy polski aktor filmowy: włos zmierzwił, oko dzikie, piana na ustach, suknia plugawa — skarży się, że nikt go nie chce zrozumieć, a on chciał ufundować nagrodę w wysokości tysiąca dolarów dla Andrzeja Strzeleckiego jako wybijającego się młodego twórcy i ma tyle pieniędzy, że bądzie to robił i w latach następnych. W tej

nocnej tragifarsie towarzyszy mu popularny piosenkarz, który następnego dnia odczuwał skutki głębokiego kaca i nie wychodziło mu nawet śpiewanie z playbacku.

„Jury XXIV KFPF powołane zostało przez Komitet Organizacyjny festiwalu i zatwierdzone przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.”

(Z regulaminu XXIV KFPF)

Z tymi jurorami to było jakos dziwne. Niby jury liczyło czterech (po co aż tyle?) osób, ale później powołano inne jury — czterechosobowe. Nie koniec na tym: do czterechosobowego dokończono jeszcze dwie osoby. A nie wszyscy z tego sześciuosobowego byli w tamtym czterechosobowym. Widocznie za mało wiem o opolskim festiwalu, bo nie z tego nie rozumiem. Choć Dorota też nie mogła dojść sedna.

„W części konkursowej jury przyzna nagrody i wyróżnienia, w granicach sum oddanych do jego dyspozycji...”

(Z regulaminu XXIV KFPF)

Niestety, nie udało mi się dowiedzieć, jakie były wysokości poszczególnych nagród, za to wiem, kto je dostał i też powinnam się cieszyć. Samych nagród naliczyłam czterdzieści, a jeśli dodać do tego wyróżnienia, to można by trofeami obdzielić co najmniej pięć festiwalu. Z protokołu jury miało zatem wynikać, że festiwal opolski był w

roku — jak się zdaje — na festiwal i telewizyjnym obrazie się Zdzisława Sośnicka wyjeżdżając bez pożegnania.

„O żadną z nagród ani wyróżnień regulaminowych nie mogą ubiegać się członkowie kierownictwa artystycznego i realizacyjnego, członkowie Rady Programowej Festiwalu oraz członkowie jury”.

(Z regulaminu XXIV KFPF)

Taka — na przykład — Rada Programowa liczyła sobie siedemnaście osób. Są tutaj wymienieni z imienia i nazwiska reżyserzy koncertów, scenografowie, osoby sprawujące kierownictwo muzyczne i literackie, wreszcie — dyrektor festiwalu. A jednak nie bardzo jest to wszystko zgodne z regulaminem. Służę przykładami: Janusz Kondratowicz miał wprawdzie w koncercie konkursowym „Od Opola do Opola” zaledwie jedną piosenkę, która zajęła nie-regulaminowe trzecie miejsce, ale już Aleksander Maliszewski dyrygent i szef muzyczny „Debiutów”, startował z dwoma utworami i został laureatem. Antoni Kopff miał trzy swoje kandydatki, zaś co ciekawsze będąc członkiem Rady Programowej najzupełniej w niezgodzie z regulaminem festiwalu zdobył pierwszą nagrodę w „Premierach”, a ponadto współkierował muzycznie koncertem „Mikrofon i ekran”. Janusz Sławiński, prezes Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR, znany już wcześniej z telewizyjnych edycji „Od Opola do Opola”, gdzie — bynajmniej nie w ramach pracy społecznej — wraz z sekretarzem generalnym ZAKR-u Jackiem Korczakowskim kierował plebiscytem firmowanym przez jego Związek, w Opolu pojawił się jako przewodniczący składu jurorskiego. Ale nie tylko, bo sprawował również — uwaga — kierownictwo muzyczne koncertu „Od Opola do Opola”, w którym utwory prezentowane były z playbacku. W ostatniej chwili skreślono z listy plac kierownika literackiego. A pan Sławiński spokojnie kierował... odtwarzaniem piosenek z taśmy. Realizatorzy koncertu piosenek „W teatrze” — Andrzej Strzelecki i Jerzy Satanowski — też sobie pofolgowali i coś tam swojego wprowadzili do części pozakonkursowej.

Wszyscy z wszystkimi i na całość. Przede wszystkim, jak w lidze piłkarskiej, liczą się pieniądze, które można zarobić. Stąd właśnie wielość sprawowanych funkcji w tym towarzyszyście wzajemnej adoracji. Piosenka? Piosenka w tej sytuacji, jako utwór sam w sobie, staje się jakby mniej ważna.

Nie bardzo mi się to podobało, że podporządkowuje się festiwal własnym interesom. Dorocie wcale się to nie podobało, ale też biła brawo. Jej mąż nie chciał ze mną rozmawiać na ten temat. Na szczęście, tuż przed końcem finałowego koncertu, dowiedziałam się, że specjalna nagroda podczas tegorocznego festiwalu w Opolu otrzymał (chyba dla wyrównania) także ci, którzy tutaj w ogóle nie przyjechali, nie śpiewali, ani nie mieli jakichkolwiek piosenek w konkursie i poza nim, jak — dla przykładu — Seweryn Krajewski. Usatysfakcjonowana tym faktem zdrzemnęłam się trzy godziny śniąc, że jest jednak sprawiedliwość na tym świecie.

Zbudził mnie telefon z recepcji. Wracalam „Opolaninem” i spóźniłam się do pracy. Miałam fart, bo kierownik akurat też się spóźnił. Okazało się, że oglądał do późna w nocy koncert w telewizji. Wywiązała się dyskusja, ja jednak nie brałam w niej udziału, tylko czasem uśmiechałam się ukradkiem. Bo przecież ja byłam w Opolu naprawdę.

**APOLONIA ZADZIORNA**

(Z regulaminu XXIV KFPF)

PS. Panie redaktorze, celowo napisałam ten list w formie artykułu, bowiem jeśli uzna pan, że nadaje się do druku, to być może znajdzie go na łamach „Odgłosów”, pisma, które czytuję stale od czasu „Skirólak” Gduby rzeczywiście wydrukowano ten mój tekst, to bardzo proszę o wynagrodzenie mnie wedle obowiązujących stawek, co — choć w części — zrekompensuje mi wydatek na akredytację. Nie mogę podpisać się swoim imieniem i nazwiskiem, bo by się w pracy dowiedzieli, a dyrektorowi powiedziałam, że chcę na te dni jechać do chorej siostry i dlatego dał mi urlop bezpłatny. Swoje personalia przekazuję wyłącznie do wiadomości redakcji. Łączę pozdrowienia. A.Z.

## III Mistrzostwa Polski w powożeniu zaprzęgiem Walewice

WITOLD WERNICZ



# Jak tam naprawdę było?

Spotkanie z Dorotą było punktem zwrotnym mojego pobytu w Opolu. Pomogła mi załatwić przyzwoite miejsce w hotelu i praktycznie we dwie — jako że jej mąż pracował podczas prób i koncertów — spędziłyśmy tych kilka dni.

„W programie festiwalu mieszczą się imprezy konkursowe oraz pozakonkursowe — towarzyszące. Te ostatnie poszerzają przegląd zdarzeń artystycznych z dziedziny piosenki.

Część konkursowa festiwalu obejmuje:

— koncert „PREMIERY — OPOLE 87”

— koncert „Debiuty — OPOLE 87”

— Część I koncertu piosenki „W TEATRZE”

— koncert „OD OPOLA DO OPOLA” — plebiscyt telewizyjny POPRZEZ OSRODKI TV.”

(Z regulaminu XXIV KFPF)

Zawsze słyszałam i czytałam w relacjach prasowych o tym, jak wiele odbywa się różnorodnych imprez poza głównym nurtem festiwalowym. A tu w Opolu — nic podobnego. Jedyną imprezą towarzyszącą festiwalowi były zorganizowane na rynku i w uliczkach „starego miasta” jarmarczki „Dni Opola” nie mające jednak wiele wspólnego z piosenką. Zresztą teraz, po długich latach przerwy, publiczność telewizyjna może na bieżąco śledzić przebieg festiwalu opolskiego, bowiem TVP transmituje na żywo większość koncertów. W trakcie festiwalu mówilo się jednak, że większość znacznie się zmniejszyła, gdyż z konkursowych koncertów na antenie bezpośrednio poszły jedynie „Premiery” i „Od Opola do Opola”.

Ten ostatni koncert wzbudził wiele kontrowersji z tego powodu, iż posłużono się w nim pełnym playbackiem. (Choć ja uważam, że nie pełnym, bo przecież konferansjerzy zapowiadali na żywo.) Był to podobno ewenement na skalę festiwalową, bo jeszcze nie zdarzyło się, żeby oceniano podczas festiwalu... nagrania. Znany komentator „Interpressu” — Janusz Atlas powiedział, że to wygląd, taka pantomima przed mikrofonem. Dorota od początku stawiała na zespół „Papa Dance” i rzeczywiście wygrał. Ja też bardzo lubię piosenki tego zespołu, ale byłam rozczarowana ich występem w koncercie finałowym, kiedy to śpiewali na żywo. Dosłownie — fałsz na fałszu. Poza tym — to beznadziejnie płaskie brzmienie. Gdyby w tej wersji słuchano ich podczas koncertu konkursowego, nie miałiby żadnych szans.

Dopiero później dotarła do mnie plotka, że chłopcy z „Papa Dance” są marionetkami, a



Reporter przypomniał sobie świetną powieść australijskiego noblisty, Patricka White „Oko cyklonu”. Marla powoli w domu bogata kobieta, spowiewana i opuszczona mimo swoich pieniędzy, mimo licznej służby, czterech płatnych pielęgniarzek, które doglądały jej okragłą dobe oraz syna lorda i córki księżnej, którzy przybyli z Europy, żeby podzielić się majątkiem.

Brak doprawdy lekarstwa na samotną chorobę i śmierć.

3.

Znajomi przestrzegali reporter przed tematem:

- Jaką ona ma emeryturę?
- Dwadzieścia pięć tysięcy złotych.
- Dostaje, krótko mówiąc, więcej niż wielu pracujących lekarzy.

biedne, biurka są biedne, archiwa są biedne; patrzysz na to wszystko i zadajesz sobie pytanie, jak biedak może pomóc biedakowi.

Była to druga wizyta reporter w PKPS. Niedługo, przed wieloma laty, kiedy pisał dla „Polityki” tekst o nędzarach z ulicy Wschodniej, a oddział śródmiejski komitetu graniczył jeszcze przez ścianę z oddziałem wojewódzkim w ruderze Piotrkowska 14, przyszedł tam akurat w chwili dramatycznego meldunku, iż powiesił się na Włókienniczej pewien samotnik, wykształcony, utalentowany artystycznie, „plastyk” na niego mówili sąsiedzi, u których oglądał telewizję. Odcinał go z drewnianego pręta w szafie młody milicjant. Reporter asystował w tym ponurym akcie i był poruszony czystą koszulą oraz nieskazitelnie wypucowanymi butami nieszczęśliwca, który musiał podjąć się, aby zrealizować swój samobójczy plan.

Co za straszliwa determinacja! Też nie głodował za

- Już wiem. Dzwoniła do mnie.
- Kiedy?
- Chyba przed rukiem.
- Też o niej słyszałam — przyznała druga urzędniczka.
- Pomagacie jej?
- Nie.
- Czemu?
- Bo nam nie podlega.
- Co trzeba zrobić, żeby wam podlegać?
- Teraz są bardzo zastrzeżone rygory. Zajmujemy się tylko tymi, których zgłasza do nas asystent socjalny z Przychodni Rejonowej po przeprowadzeniu szczegółowego wywiadu. O co jej chodzi?
- Między innymi o sporządzenie testamentu. Nie może jakoś dogadać się z Biurem Notarialnym.
- Odwiedzę ją i postaram się jakoś to załatwić — przyrzeka urzędniczka.
- Reporter podziękował i zapytał, na czym polega podział kompetencji pomiędzy PKPS, PCK i Przychodnią Rejonową.

- Mógłbym z nią porozmawiać?
- Przebywa obecnie na urlopie.
- Do kiedy ma urlop?
- Do piątego lipca.
- Czemu chora nie została zgłoszona przez panie do Komitetu Pomocy Społecznej?
- Została zgłoszona do PCK, na jedno wychodzi.
- Skarży się na brak opieki.
- Nie tylko ona.
- Poinformowano reporter, że zarówno Czerwony Krzyż, jak i PKPS mają ogromne trudności z kadrami. Nikt nie chce pracować tam długo: miesiąc — dwa i starczy. Zarobki są małe, a obowiązki żmudne i nieprzyjemne. Co dzień człowiek ociera się o zniechęcenie, kalectwo, i śmierć, o nędzę i opuszczenie. Trzeba mieć powołanie i dobre serce, aby na to przystać.
- Mniej etatów, więcej pasjonatów — jak oświadczył przez telefon reporterowi mężczyzna, który chciałby zaktywizować trochę walkę z alkoholizmem — pozorną przecie, bo woda płynie strumieniami, pijacy przysparzają skarbowi państwa miliardów, a miejsce do leczenia brak.

(2)

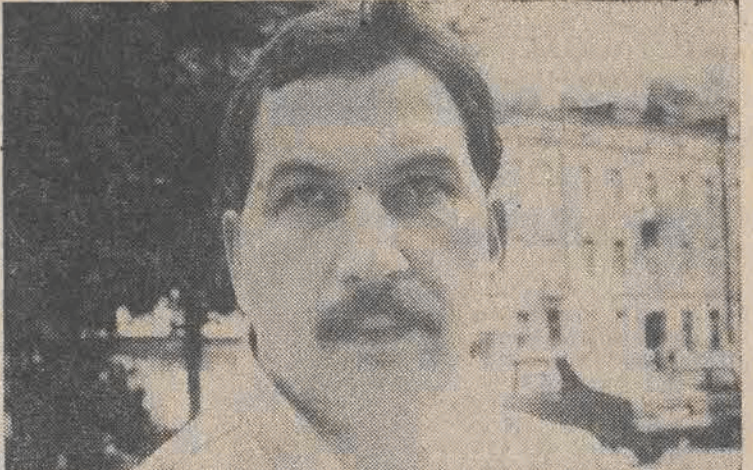
# Najpiękniejsza ulica świata

— I co z tego?  
 — Nic. Narazisz się ludziom, którzy wegetują i umierają w znacznie gorszych warunkach.  
 — Ale ja nie chcę pisać o warunkach. Ja chcę pisać o dramacie opuszczenia i nie-  
 możliwości, o tym, że kiedy człowiek dobiega kresu, powinien mieć przy sobie kogoś bliskiego. Pies, choćby najwierniejszy, nie potrzy-  
 ma cie za rękę.  
 — Życzeń żadnych nie mam. Filip po mojej śmierci da sobie jakoś radę, jest samodzielnym — powiedziała chora.  
 Reporter pożegnał ją i złożył wizytę w Polskim Komitecie Opieki Społecznej Łódź-Śródmieście. Trudno zrozumieć, co sprawia, iż owo Stowarzyszenie Wyższej Długoletności, zajmujące parterowy lokal przy Piotrkowskiej 118, pełni swoją działalność w kondytcji biedaczej — izby są

życia, wypuszczał się nawet na krótkie spacerki. Był zdrowy mniej więcej, ale toczył go wirus osamotnienia.  
 Patrząc w perspektywę dnia albo w mrok długiej, bezsennej nocy, nie znajdujesz dla swoich myśli żadnego oparcia i nagle sięgasz po truciznę albo po sznur, gdyż brakuje ci człowieka, który mógłby cię powstrzymać.  
 Przedstawił się reporter tej pani, co urzęduje w Komitecie przy Piotrkowskiej 118. Powiedziała, że chciałby się dowiedzieć czegoś bliższego o chorej i wymienił jej dwuczłonowe nazwisko. Pani przewertowała kartotekę, po czym wezwała jakąś kobietę i poleciała przewertować inną kartotekę. Wynik był negatywny.  
 — Nikt taki u nas nie figuruje.  
 — Jest lekarka — powiedział reporter i uściślił adres chorej.

Dowiedział się, że Przychodnia Rejonowa jest między innymi od zastrzyków, których nie wolno robić siostrą z Czerwonego Krzyża — te są od masażu, gimnastyki rekreacyjnej, spacerów i zakupów, a Komitet Pomocy Społecznej zajmuje się przede wszystkim sprawami socjalnymi.  
 Reporter odwiedził Przychodnię Rejonową przy Piotrkowskiej 102. Było to w piątek, 19 czerwca o godzinie 14.40. Wymienił nazwisko chorej. Nikt jej nie znał.  
 — Była lekarka — powiedział reporter.  
 — Z Piotrkowskiej?  
 — Owszem. Mieszka parę kroków stąd.  
 — Jest taka.  
 — Kto się nią zajmuje?  
 — Nasza koleżanka, asystent socjalny.

Zapytał reporter w Przychodni Rejonowej, kto robi chorej zastrzyki.  
 — Zapewne siostra srodowiskowa.  
 — Jak to sprawdzić?  
 — Niech pan zjedzie do gabinetu zabiegowego na pierwszym piętrze.  
 Reporter wszedł. Pod drzwiami gabinetu zabiegowego było parę osób. Reporter wytłumaczył się przed nimi i poprosił, aby pozwolono mu poza kolejnością na krótką rozmowę z siostrą.  
 Pozwolono.  
 Siostra przekartkowała zeszyt wizyt domowych, znalazła nazwisko chorej i oświadczyła, że toczona rakiem płuc lekarka otrzymuje zastrzyki codziennie. Nie wypadła reporterowi pachą nosa w zeszyt, ale jeden rzut oka w grafik wystarczył, aby stwierdzić, że otrzymuje zastrzyki MNIEJ WIĘCEJ codziennie.  
 Zapytał, jak to było w poprzednich tygodniach. Siostra odwróciła stronę. Zmarszczyła brwi i powiedziała, że poprzednio otrzymywała je co drugi dzień. Reporter zerknął w grafik i przyznał, że jest to mniej więcej zgodne z prawdą. MNIEJ WIĘCEJ.  
 Pożegnał siostrę i wrócił na zalaną słońcem najpiękniejszą ulicę świata, przy której mieszczą się wszystkie instytucje charytatywne.  
 W sumie nic z tego reportażu nie wynika poza faktem, iż każdy w końcu musi umrzeć i że zdarza się, że człowiek musi umrzeć w samotności. Często, bardzo często tak jest.  
 Pocieszał reportera znajomi, iż lekarka nie stanowi bynajmniej wyjątku — z nią pewnością umiera w tej chwili w Łodzi tysiące osób, które były kiedyś znane i cenione. Dokąd pracowały i świadczyły usługi na rzecz miasta, ludzie kłaniał się im z drugiej strony ulicy, potem jednak wypadły z obiegu i pokrył je kurz zapomnienia.  
 Zegar czasu jest nieubłagany. Bywa, że młodzi śmieją się ze starych, a zdrowi z chorych. Ale wskazówki odmierzyły już kolejną godzinę.  
 Byliśmy czym jesteście, będziecie czym jesteśmy — głosi napis na kamieniu cmentarnym.  
 Trzeba mieć trochę wyobraźni, żeby zrozumieć, że jest to głos w sprawie godnego życia, godnej śmierci i godnego spoczynku, do czego każda ludzka istota powinna mieć prawo bez względu na zawód i stan posiadania.



Mówi: Michał Fajbusiewicz

- Imię?
- Michał.
- Nazwisko?
- Fajbusiewicz. Co to, przesłuchanie?
- Nie, wywiad. Zawód?
- Pedagog, politolog, kelner, instruktor KO, „lekarz”...
- A ten kto za jeden?
- „Leikarz”? To taki facet, co na plaży robi zdjęcia...
- Kto jeszcze?
- Instruktor i zastępca kierownika Domu Kultury Milicjanta, działacz partyjny (swego czasu odpowiedzialny byłem za handel), działacz młodzieżowy, dziennikarz.
- To wszystko?
- Chyba tak. „Nie! Byłem jeszcze kierownikiem ośrodka wczasowego.
- Wzrost?
- Sto osiemdziesiąt trzy.
- Waga?
- Pewnie ze sto...
- Znak zodiaku?
- Byk. A nie widać tego?
- Bo ja wiem... Palisz?
- Nie.
- Pijesz?
- Nigdy! Bez powodu — nigdy!
- Używasz?
- Jak się uda...
- Stan cywilny?
- Dziewczyny i tak nie mają szans...
- Twój ideał kobiety?
- Niektórzy mówią, że sporo miejsca na antenie dlatego poświęciłem prostytutkom, że lubią typ kobiety „ostrej”. Pewno coś w tym jest...
- Hobby?
- Nie mam na to czasu. Ale na wszelki wypadek wpiszę: film. Jeszcze nie dał Boże ktoś się przycepi, że nie mam żadnych zainteresowań...
- A teraz bardziej serio. Otrzymałeś ostatnio nagrodę artystyczną prezesa Radiokomitetu...
- Mhm.
- Za co?
- ???
- To nie jest zarzut, tylko pytanie!
- To co innego. Za co? Przy każdej nagrodzie jest sentencja, za co się ją przyznaje. Jeśli chodzi o ocenę mojej działalności antenowej, sentencja jest bardzo przewrotna: nagrodę otrzymałem za prezentację problematyki prawnej, ze szczególnym uwzględnieniem programu „997”. Tak tam stoi napisane.
- Gdzie tu widzisz przewrotność?
- Jeszcze nie tak dawno krytykowany byłem na łamach prasy — że wymienię tylko „Prawo i Życie” — za swoją działalność. Niektórzy żądali nawet odebrania mi prawa wykonywania zawodu, bo taki facet jak ja przynosi ponoć szkodę nie tylko całemu dziennikarskiemu środowisku, ale także i ludziom, których od czasu do czasu prezentuje na antenie.
- I co?
- I nic. Jak widzisz nadal pracuję, na złość moim wrogom. A ocenę mojej działalności zostawię tym, którzy mój program oglądają.
- A oglądają?
- Myślę że tak. OBOP wyliczył nawet, że w marcu program „997” oglądało ok. 30 proc. widzów, czyli ponad 8 mln. telewidzów. To chyba nieźle, skoro prawie za każdym razem byliśmy „przykrywani” albo filmem, albo meczem emitowanym w programie I.
- Wierysz OBOP-owi?
- Nawet gdybym nie wierzył, to i tak sygnały, które otrzymuję po emisji, świadczą o pewnej popularności. I dzięki owym sygnałom, milicji udało się zatrzymać trzech zabójców, dwie nieletnie zabójczynie, ustalić personalia pięciu osób — w tym jednej, która już od 10 lat przebywała w domu opieki społecznej, ujawnić dalszych kilkanaście osób uszkodzonych przez oszustów oraz zatrzymać kilkunastu przestępców, związanych w mniejszym stopniu ze sprawami, które prezentowaliśmy. Mało?
- A masz coś jeszcze w zanadrzu?
- Mam. Szukaliśmy kiedyś zabójcy właściciela „Poloneza” oraz samego samochodu. Ani jednego, ani drugiego wprawdzie nie znaleźliśmy, ale za to — niejako przy okazji — znaleźliśmy 11 innych kradzionych „Polonezów” i kilkanaście nielegalnych warsztatów samochodowych.
- Czy zdarzyły ci się przygody, związane z wykonywaniem zawodu?
- Przyjemne czy nieprzyjemne?
- Na początek może być przygoda nieprzyjemna.
- Kiedyś robiliśmy materiał do „Stanu krytycznego”. Wchodziliśmy „na żywca” — czyli bez uprzedzenia — do mieszkania narkomana, będącego już na krawędzi życia. Pierwszy wchodził operator z kamerą, za nim elektryk z „Sungunem” — takim oświetlaczem na baterię, dwóch funkcjonariuszy i ja. Narkoman leżał na łóżku bez oznak życia do chwili, gdy nas zobaczył. Na nasz widok zerwał się jak sprężyna, złapał nóż i rzucił się na operatora. Gdyby nie błyskawiczna akcja milicjantów, operator miałby spore kłopoty...
- A przyjemna?
- Nic mi nie przychodzi do głowy... Może być śmieszna?
- Może.
- Pod Krasnikiem graliśmy scenę bójki. Cała akcja w pewnej chwili przenosi się przed dom i tam jeden z uczestników ginie. Podczas kręcenia zdjęć, nagle pozapalały się światła w oknach okolicznych domów — działo się to nocą — i ludzie w pidżamach i nocnych koszulach zaczęli wolać milicję, choć ta nawiąsem mówiąc, była na miejscu. Świadczyło to o ogromnej wiarygodności tej sceny, skoro była tak dobrze i tak mocno zagrana, że nikt — pomimo włączonych reflektorów — nie zorientował się w mistyfikacji.
- Czy twoja twarz jest rozpoznawalna?
- Tak. Szczególnie na meczach. Już nieraz słyszałem pod swoim adresem: „BUNIO TY... (ingerencja autocenzury)!!!”.
- A w sklepie?
- Też. Nawet w mięsny. Ale nie powiem ci w którym, bo zrobisz z tego materiał o patologii społecznej.
- Czego ci życzyć?
- ???
- No to dziękuję za rozmowę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Rozmawiał: WITOLD WERNER



Foto: Witold Werner



### Syn marnotrawny

— Na szyję zawiesz medalik miedziany  
 W gardle ją feiska gdy jej dłoń całuje  
 Ojciec za stołem słowa w myśl snuje  
 Mileży już dawno w siebie jest wsłuchany

Przyszło się przebrać na jesienną modę  
 Listopad zgasił wrzosowisk pożary  
 Na doskonałość nie dopełnił miary  
 Znow drzewi skrzypnęły w twarz powiale  
 chłodem

Poszedł nie pierwszy raz zawrócił z drogi  
 W czas marnotrawny godnie był szalony  
 Jak zawsze słowem chciał wymościć progi

Przez brudzy twarzy spiwa strumień stony  
 On zmieruchomiał w na wpol snemnym bycie  
 Zaa szyby widzi jak mijają go życie

### Długie Szyje

Nikt mu nie wierzył — On jest w oczach chory  
 I stąd w nim słabość do spraw bez znaczenia  
 Widać dla niego w miejscu stoi ziemia  
 Blednak z dnia na dzień schodzi w boczne tory

W samo południe z zadymioną głową  
 Wlece przez miasto nie zamkniętą trumnę  
 Mleczoniem pytań odpowiada dumnie  
 Ze się na stałe zaprzyjaźnił z sobą

Ładnie chcą wiedzieć co w trumnie się kryje  
 Otwarte wieko on w spojzeniu hardy  
 Śmiejąc się mówi — Pogrzeb awangardy

Tym co są obok rosła Długie Szyje  
 Z każdą godziną są zakłopotani  
 Czy miejsca w trumnie nie przeznaczył dla  
 nich

### Zostanę gwarkiem

Odpowiedz dlaczego z jakiej przyczyny  
 Masz lek o lata co pogodę kradną  
 Chcesz to przypomnę jesteś jeszcze ładną  
 My ludzie w sobie co chcemy widzimy

Jak przypływ morza lawą powracają  
 Rozmowy-baranki krzykiem spienione  
 By nagie odejść chwilą wyciszone  
 Co dla nich była jakby wilczą zgrają

Ja w dół schodami ze świecy ogarkiem  
 W mroczne pokłady czasu mnie prowadzą  
 Jeszcze na oślep i ze zgiętym karkiem

Dawno dla siebie sam nie jestem władzą  
 Zanim pożary niebo zaczerwieniła  
 Już będę gwarkiem co drąży pod ziemią

### Koniec uroku burżuazji

Droga odwrotu kurczy się w płomieniach  
 Uciekających widać jak na dłoni  
 Słysząc już blisko wściekły krzyk pogoni  
 Chęć między sobą twarze pozamieniać

Choć od żywiołu było w kraj czerwono  
 Już zapomniano o powadze bieli  
 W paradnym marszu słowa nie słyszeli  
 Ze przed czasem chwilił ich ostrzeżono

Pogoni szkieletów dzwoni piszczałami  
 Kruki na oścież ostrą długie dzioby  
 Droga odwrotu straszy zakrętami

Ostrość zakrętów znaczą liczne groby  
 O ich tablicy które czas rozjaśni  
 Ostry się topór narodowych waśni

### Nie uwierzę

W spokój nagrobków nigdy nie uwierzę  
 Bo zawsze krwawo ploną na nich znicze  
 Czas tylko zakrył otwory strzelnicze  
 Z obu stron muru są zbrojni żołnierze

Dwie autostrady obok 16 nie mogą  
 Nikt się przed nikim nie chce zgłazić w pokorze  
 Na drogę rozstaju ostrą na mnie noże  
 Usnąć ich czujność pójdę połą drogą

Twarz za welonem nie wychodziś z cienia  
 Myślisz — milczenie bezpieczeństwo daje  
 Jednak masz ludziom coś do powiedzenia

Spójrz w tobie dymią stare obyczaje  
 Dziś jestem przy nich i wyznaje szczerze  
 W spokój nagrobków nigdy nie uwierzę

Autor m. in. za wyżej publikowane sonety otrzymał II Nagrodę oraz Nagrodę Specjalną w XII Ogólnopolskim Konkursie Literackim „RUBINOWA HORTENSJA”.

**T**rudno pisać o poezji Artura Daniela Liskowackiego, tak jak trudno jest nazwać częstokroć nie nazwane zdziwienia, wzruszenia i nagłe oświecenia. Rodzi się przecież ta liryka na styku wrażliwości i mądrej zadumy nad otaczającą poetę rzeczywistością. Rodzi się jednak także — czuć to wyraźnie — głęboko w sercu autora. Jest zarazem zewnętrzna; zakorzeniona w świecie postrzeganym i opisywanym, i wewnętrzna; penetrująca własne wnętrza, własne stany ducha i świadomości. Nie widać w tych utworach, tak częściej ostatnio w młodej poezji, skłonności do budowania rozległych ciągów lirycznych, połączonych ze sobą, bądź osobą głównego bohatera wierszy, bądź opisywaną sytuacją czy stanem. Są to wy-

ści do ostrej chropowatości, od aforystycznej mądrości do metaforycznej otwartości. Liskowacki nie spieszył się z publikacją swoich utworów. Od daty debiutu prasowego, do momentu wydania pierwszego poważnego zbioru wierszy minęło dziesięć lat z okładem. To jakby wskaźnik, jak ważna jest poezja dla autora „dzikich kotów”, jak ważny był dla niego ten długo oczekiwany zbiór. Trudno się temu dziwić i należy podziwiać autora, że nie uległ presji druku. Tytuł już poetów przepadło, drukując swoje „wierszyki” gdzie się dało. Tytuł poetów osmiezyło się publikując jak leci cieniutkie tomiczki, nie wyposażając ich nawet w autokorektę składniową. Przykład Liskowackiego świadczy o tym, że warto jednak czekać, warto pamiętać o słowach Młosa, który będąc

przed na zawsze wrażliwość, mogłaby wnieść do życia chłód i skostnienie. Zatem jednak należy burzyć wszelkie zastane struktury, trzeba być wiecznie żywym i wciąż od nowa wznosić niemożliwe wieże, które — bohater wie o tym już na początku budowy — i tak się zawała: „najpierw zapanuj nad sprzętami/ zetrzyj kurz wytrzępdywany ustaw krzesła/ umyj okna poukładaj książki podlegkwiaty/ wyrzuć popiół wynieś śmieci zaterperuj ołówki/ staraj się być sumienny i konsekwentny/ a wszystko nabierze innego sensu/ będziesz miał dom czystszy/ niż mleczny obłoczek/ niż pani zima/ niż opłatek/ dopiero wtedy/ wypuść przez okno/ huragan.” Oto najpełniejsza wykładnia filozofii Artura Daniela Liskowackiego z jego tomu wierszy-skarg i wierszy-epitalamiów.

Niezwykle istotną dla poety sprawą jest też ukazywanie czy też demaskowanie wszelkich sztuczności, grymasów, malowanych na zaróżnionych ustach, szminkowych uśmiechów. Nie ma prawdy na tym świecie, tak jak nie ma prawdziwych, nie podszytych ironią, bólem czy nienawiścią, uczuć. Wszystko przecież jest względne, na wszystko spojrzeć można z innej perspektywy. Wszystko ustawić można w opozycji do innych, być może istotniejszych wartości. Prawda i fałsz nie muszą być synonimami dobra i zła. Poeta, w jednym z wierszy, wyraża nawet pragnienie by owo zło było zawsze w zasięgu ręki, by pozostawało w zawieszaniu, powodując skupienie i nie dając powodów do rozluźnienia, powolnej entropii. W takiej perspektywie nawet najbardziej prozaiczne, codzienne czynności urastają do rangi i miana obrzędu: „Przed nocą/ pijemy herbatę/ grzeją ręce o szkło/ ufnie że się powiększa/ ciemna dobra/ szczelina/ w obejmującej nas/ zimnej bryle/ światła”. W takiej perspektywie całe nasze życie urasta do rangi jakiegoś tajemniczego sakralnego obrzędu. Jest więc ciągle Artur Daniel Liskowacki małym chłopcem — tak często pojawiającym się w tych wierszach — służącym w skupieniu i nabożnym oddaniu do tej przedziwnej, przerażającej mszy, jaką jest nasze życie...

### DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Artur Daniel Liskowacki, Autoportret ze szminką, Wydawnictwo Literackie, Kraków — Wrocław 1985.

## Wrażliwość, mądrość, sacrum

rażnie wiersze osobne, choć oczywiście z drugiej strony — połączone w tomik, sczeplone w trzy książkowe cykle — są niezwykle wyrazistym „autoportretem”. Niemniej jednak owa osobność często wyraźnie wychodzi na plan pierwszy i czytelnik raz po raz musi zmieniać swoje nastawienie do tej poezji, musi — zmuszony przez autora — reagować żywo na jego słowo. Czytając musi jakby współuczestniczyć w procesie tworzenia, musi co chwilę przestrajając swój aparat wrażliwości, odtwarzać procesy twórcze, jakie miały miejsce na samym początku aktu kreacji. I dobrze, że tak się dzieje, gdyż naczelną zasadą, ideą tego tomiku, jest niezwykle otwarcie na otaczający autora świat, na wszelkie przejawy nadużyć w zakresie szeroko pojmowanej wrażliwości. Nie wiem, czy to tylko przelotne wrażenie, czy też rzeczywista zasługa poety i jego poezji, ale po przeczytaniu całej książki odniosłem wrażenie, że owa wrażliwość — ta najbardziej widoczna wspólna część tomu — zdaje się falować pomiędzy poszczególnymi wierszami, raz to narastając, innym razem opadając — gasnąc prawie do zarzącego się leciutko pośród nocy węgielka. Momenty ciszy są także w tym zbiorze wyraźnie obecne, po nich jednak następują nagłe wybuchy światła, nagłe fajerwerki metafor, obrazów, sensów. To wielka umiejętność, umieć oscylować w swoich wierszach od delikatno-

w Polsce namawiał młodych, by zbyt szybko nie publikowali swoich utworów. Słowo drukowane zastęga w przedziwnej obcy kształt i na zawsze już odchodzi od poety. Tym bardziej musiało to być istotne dla takiego poety jak Artur Daniel Liskowacki, dla którego wszelkie przejawy obcości, alienacji są jakby codziennością jego poetyckiego świata. Jego bohater czuje się osaczony, jakby postawiony ciągle w sytuacji wyboru. Jednocześnie czuje wyraźnie swoją inność i stara się w niej schronić, stara się przeciwstawić ją światu. Nie zawsze jednak to się udaje. Nie zawsze możliwe jest hermetyczne odgróźenie się od świata. Bohater Liskowackiego zdaje się żyć w ciągłym, niesłuchanie intensywnym, napięciu, zdaje się stawać ciągle od nowa na progu wrażliwości. A każda sekunda, godzina, dzień przynoszą coraz więcej sygnałów negatywnych, świadczących o tym, że nie najlepiej jest z tym światem i z ludźmi, którzy go tworzą. Alternatywa, oprócz zamknięcia się w sobie, staje się miłość, choć i ta — jeśli przyjrzymy się bliżej źródłowym metaforom mającym ją oddać — ma w sobie częstokroć więcej gorzkości niż miłości. Bohater tych wierszy wyraża często nieprzetrętą potrzebę, pragnienie, żądę harmonii. Jednocześnie czuje, że taka harmonia jest niemożliwa i na dłuższą metę, dla osobowości takiej jak jego, nawet niepożądana. Mogłaby przecież wy-

ra, zupełnie nowego elementu, będącego nie tyle jego uzupełnieniem, co przydaniem mu nowego znaczenia, innej wymowy.

Dlaczego tłumacz zmienia tekst oryginału? Odpowiedzi może być wiele: własny sposób interpretacji utworu innego artysty, inny sposób widzenia świata poetyckiego, rygor, narzucający określone schematy organizacyjne wiersza, a zwłaszcza karkołomny zamysł zachowania rymów męskich — na przestrzeni sześćdziesięciu stron, a więc w tyluż bez mała utworach, we wszystkich strofach, we wszystkich wersach parzystych. Przy niewielkiej w polszczyźnie ilości wyrazów jednosylabowych (podobnie jest ich około 600), konieczność „dopasowania” takiej ilości rymów musi prowadzić — co sugerują same prawa zależności statystycznych — do powstawania skojarzeń nie oczekiwanych w danym miejscu i mało wspólnego mających z propozycjami samego Jesienina. Trzeba jednak podkreślić te niezwykłą dbałość o formę (choć swoiście pojmowaną, zwłaszcza w aspekcie odmiennej roli rymów męskich w polskiej i w rosyjskiej tradycji literackiej), o czystość współbrzmienia rymów, o nie zakłócony tok metryczny.

### EWA-KATARZYNA NOWAK

Sergiusz Jesienin — Poezje. Wybrał i przetłumaczył Tadeusz Nowak, posłowiem opatrzył Stanisław Balbus, Wydawnictwo Literackie Kraków, 1984, stron 140, cena 220 złotych.

## Własne i cudze

O ile problem wątpliwości co do autorstwa dzieła występuje w literaturze bądź w ogóle w sztuce, pojawia się on zwykle w postaci plagiatu — zapożyczenia, występującego we wszelkich możliwych formach, we wszelkich warstwach utworu. Plagiaty zdarzały się od początku... literatury i chociaż oburzają, to nie dziwią, czy, powiędziały inaczej, bardziej oburzają niż dziwią. W takim postępowaniu widać pewien rodzaj miłości — trzeba przecież kochać coś tak niematerialnego, jak watek literacki, postać czy styl, żeby przenieść je do własnego utworu. Lecz czy zdarzają się sytuacje odwrotne, to jest — jak gdyby — przeciwieństwo plagiatu? Sytuacje, kiedy ktoś swoje zamysły twórcze przypisuje innemu artyście? Czy jest to „organizacyjnie” możliwe? Na wszystkie te pytania odpowiedź brzmi „tak”. Jest taka sfera działalności literackiej która to umożliwia i sankcjonuje od wieków: przekład. Ten rodzaj miłości też pozwala na utożsamienie się z wybranym autorem lub z ukochanym bohaterem. W konkretnym przypadku — z poezją.

Nie będę rozważać, czy i co łączy twórczość Tadeusza Nowaka i Sergieja Jesienina, czy mają taki sam rodzajowy czy nie i jaką rolę pełnią motywy więkskie w twórczości jednego i drugiego poety, bo trzeba by mi było wyjść poza ten tomik Jesienina, w tłumaczeniu Nowaka, który ostatnio pojawił się na półkach księgarskich i do któ-

# Z półki recenzenta

### PORTRET W CZERNI I BIELI

Kiedy czyta się tę książkę — a zawód jej autorki nie jest tu bez znaczenia — ma się wrażenie, że jest to autentyczny pamiętnik kogoś, kto znalazł się na krawędzi dwóch światów: rzeczywistego i tego spoza drzwi szpitala psychiatrycznego. Autorka — pielęgniarka z wieloletnim stażem — w imię szlachetnych wartości humanitarnych broni ludzi uważanych przez otoczenie za „nienormalnych”, którzy „choć inaczej myślą — to przecież czują tak samo”.

Polecam tę napisaną bez pretensjonalności książkę, zawierającą w sobie coś więcej niż kronikarski opis.

Danuta Górkiewicz: Portret w czerni i bieli. Iskry 1987. Str. 164. Cena 90 zł.

### SZLAKI W NIEZNANE

Nieczęsto mam okazję chwalić Wydawnictwo Łódzkie, ale książki wydawane w serii „Podróże, przygody, odkrycia” zasługują na słowa uznania. Ostatnio otrzymaliśmy „Szlaki w nieznanne” Erica Rackwitz. A więc opisanie dziejów odkryć geograficznych poczynając od epoki prehistorycznej po wiek XX. Jest to opis zmagania człowieka z niewiadomym, podejmowanie ryzyka, które nie zawsze kończy się sukcesem. Książka jest pełna dramatycznych opisów, niezwykłych zdarzeń i nazwisk sławnych podróżników i odkrywców.

Przekład Teresy i Leona Sikorskich.

Eric Rackwitz: Szlaki w nieznanne. WŁ 1987, Str. 304. Cena 350 zł.

### POŻEGNANIE KARNAWAŁU

Polecam czytelnikom książkę piękną i mądrą: obszerny wybór wierszy Jerzego Wilmańskiego będący przeglądem całego dotychczasowego dorobku poety. Jestem przekonany, że liryka Wilmańskiego — tak bliska życiu — może dostarczyć wzruszeń, przeżyć, a także wywołać refleksje nie tylko u znawców i smakoszy pięknego słowa. Jest to bowiem poezja niezwykle komunikatywna, działająca na wyobraźnię i niosąca w sobie głębokie humanistyczne treści. Jest to poezja dla każdego.

Jerzy Wilmański: Pożegnanie karnawału. WŁ 1987. Str. 188. Cena 150 zł.

### WIERSE O TORUNIU

Barczo starannie przygotowało Wydawnictwo Łódzkie zbiór wierszy poświęconych Toruniowi. To piękne miasto od wielu wieków przyciągało ludzi sztuki, którzy stawili je w swoich dziełach. Do sławy miasta przyczynił się także jego najslawniejszy obywatel — Mikołaj Kopernik.

Wiersze o Toruniu pisali m.in. Wawrzyniec Korwin, Józef Czechowicz, Jan Kasprzowicz, Władysław Broniewski, Stanisław Grochowiak... Zebrano je w trzech działach tematycznych: pierwszy — to opis miasta, drugi — to Wisła, a trzeci — to Kopernik. Polecam tę książkę.

Wiersze o Toruniu. WŁ 1987. Str. 216. Cena 300 zł.

Oprac. E. I.W.



Rys. Janusz Szymański-Głanc



**W** dniach 16-19 czerwca 1987 r. odbyła się w Finlandii w Lahti międzynarodowa konferencja pisarzy na temat: „Literatura i ekshibicjonizm”. Wzięło w niej udział ponad 120 pisarzy niemal ze wszystkich zakątków świata poczynając od Jamajki, Kamerunu, Republiki Południowej Afryki, poprzez USA, Anglię, Kanadę, Holandię, Szwajcarię, RFN i NRD, Hiszpanię, Japonię, aż po licznie reprezentowane delegacje z krajów socjalistycznych, w tym delegację pisarzy ZSRR z Czynnym Ajmatowem na czele. Oprócz znaczących autorów, których z racji ich licznej obecności wymienić nie sposób, uczestniczyli także teoretycy literatury, profesorowie z takich uniwersytetów jak np. Nowy Jork, Campe Town, Manitoba, Oregon, Eichi w Japonii czy Tartu w Estonii, profesorowie o ogromnym dorobku, którego wymienić także nie starczyłoby miejsca. Najliczniej — rzecz jasna — reprezentowali byli pisarze skandynawscy. Z Polski uczestniczyli niżej podpisany oraz Wilhelm Szewczyk, autor znanej książki o Finlandii i kulturze fińskiej.

Temat konferencji podobno wybierano bardzo długo. Zdecydowano się na tak kontrowersyjny jak „Literatura i ekshibicjonizm”, gdyż — jak twierdzili organizatorzy konferencji — jest to obecnie trend wiódący w literaturze światowej, dążący do mówienia pełnym głosem o człowieku i jego najintymniejszych sprawach. Jeśli więc kogoś razi samo słowo „ekshibicjonizm”, może sobie pod to pojęcie podłożyć nie tylko literaturę przełamującą tabu w dziedzinie erotyki i seksu, ale także wszelkich tabu i zahamowań, czyli literaturę — jak ją nazwalibyśmy — „otwartą” i niczym nie skrepowaną. Podkreślam to szczególnie dla naszych znanych „moralistów” w rodzaju Passenta, Grońskiego, Koźniewskiego czy Seleckiego, którzy ciągle i obsesyjnie, na sposób komputerowy zajmują się wyliczankami, który to z polskich autorów, ile razy i w jaki sposób, na jakiej stronie — polo-

współzależność między rozwojem literatury ekshibicjonistycznej i rozwojem demokracji i wolności. Kraje, gdzie brakuje demokracji, takie, które zmierzają ku totalitaryzmowi — z całą bezwzględnością tępią literaturę ekshibicjonistyczną (choć ten lub ów kacyk czy dyktator sam prowadzi rozwiąże życie), ponieważ literatura ta pokazuje społeczeństwo jako zbiór zindywidualizowanych jednostek, odbierających w najgłębszy sposób sygnały z otaczającego ich świata. Zindywidualizowanym społeczeństwem trudno jest manipulować, narzucać mu jednolite gusta i upodobania, a także narzucać oceny innych ludzi i wszelkich zjawisk w świecie. „Wszyscy powinni odczuwać i myśleć tak samo” — oto dewiza kulturowej działalności wszelkich form władzy totalitarnej, która wymaga od swych obywateli akceptacji i posłuchu w każdej dziedzinie. Dla systemów antydemokratycznych przestępstwem wydaje się już sama myśl, aby jakaś jednostka ludzka czuła inaczej i miała prawa wyrazić siebie w sposób odrębny od innych. To, co jest „złe” lub to, co jest w człowieku „dobre” nie ma określać pisarz, ale władza.

Specyficzne miejsce zajmuje w tej sprawie Polska i jej literatura, w zasadzie nieskrepowana, poza kilkoma politycznymi „tabu”. O człowieku i jego wnętrzu można u nas mówić swobodnie wszystko, co odczuwa i w jaki sposób odczuwa. W odróżnieniu jednak od demokracji burżuazyjnej istnieje u nas zakaz, na przykład, publikowania pornografii. Pisarz zachodni, a także zachodni czytelnik, który ma niemal w każdym dworcowym kiosku dostęp do pornografii, bez trudu więc odróżnia artystyczne dzieło ekshibicjonistyczne od pornografii. U nas jednak z powodu niedostępności do pornografii, jako pornograficzny może teniów mało wyrobiony krytyk czy felietonista uznać każdy utwór ekshibicjonistyczny, otwarty na ludzkie wnętrza. Pisarze usiłujący uprawiać literaturę ekshibicjonistyczną mniej lekają się ołówka urzędowego cenzora niż owych samo-

głosem i do tego celu jest im potrzebny własny nierzeczywisty ekshibicjonizm. Pod koniec dyskusji Swift wycofał się częściowo ze swych stwierdzeń, szczególnie, gdy w sukurs pani Kincaid przyszła amerykańska murzyńska pisarka Gloria Naylor, przeciwstawiająca się ostro dominacji literatury białych pisarzy.

**EKSHIBICJONIZM LITERACKI MA RÓŻNE OBlicZA**

Ekshibicjonizm literacki ma głębokie i prastare korzenie. Za jego ojca chcieliby niektórzy uznać św. Augustyna i jego „Wyznania”, inni widzą ojca w „Wyznaniach” J. J. Rousseau, a wspólnie — w Fiodorze Dostojewskim. Niektórzy gotowi są podzielić ekshibicjonizm literacki na mroczny i jasny; jasny — to byłoby właśnie „wyznanie” Rousseau, a mroczny — utwory Dostojewskiego. W istocie jednak, jak się zdaje, ekshibicjonizm to po prostu metoda twórcza, której jedynym celem jest powiedzenie pełnej prawdy o człowieku i jego wnętrzu. Można tę metodę zastosować w utworach literackich, powieściach czy nowelistyce, ważna jest także w autobiografiach i biografiiach oraz wszelkiego rodzaju pamiętnikach.

W konferencji, jak to wspominałem na wstępie, brali udział nie tylko pisarze, ale i profesorowie literatury z rozmaitych uniwersytetów. Stąd też wiele miejsca w dyskusji zajęły zakłamanie autobiografie i biografii, a także pamiętnikarstwo. Zdaniem owych znawców literatury autobiografie i biografii zbyt rzadko dają literaturoznawcom wgląd w psychikę ich twórców czy bohaterów, unikają pełnej prawdy, która może okazać się kompromitująca lub zbyt obnażająca autora, brakuje w nich odwagi przyznania się do czysto ludzkich słabości. Mówiono, że niekiedy właśnie poprzez owe objawienie w pamiętnikach czy autobiografiach słabości ludzkie, dzieło i jego bohater staje się pełnym człowiekiem i zbliża się do czytelnika. Pomniki ze spiżu i brązu odstraszą czytelników, którzy podejrzewają, że autor nie powiedział czegoś, co było w jego życiu najważniejsze.

Nie są to sprawy nowe. Tadeusz Boy-Zeleński przed laty toczył zaciętą walkę z brązownikami, szkoda, że bezskutecznie, gdyż w dalszym ciągu szerzą się u nas autobiografie i biografie zawierające prawdy szczątkowe, albo zgola tylko półprawdy czy ćwierćprawdy. Takie odczuwione książki odstraszą czytelników, nie pozwalają ani lepiej zrozumieć jakiegoś człowieka ani też jego dzieła.

Pamiętam z jakim niedosytem czytałem „Dzienniki” Witolda Gombrowicza, spragniony poznania prawdy o tym wielkim pisarzu. Tak naprawdę zaś dowiedziałem się o nim więcej z tego, czego nie domówił mi z tego, co powiedział; z jego upodobania i zabiegów literackich wokół swojej twórczości. Oczywiście, różnego rodzaju „Dzienniki” to jeszcze nie autobiografie. Niekiedy, jak w przypadku Jerzego Putramenta „Pół wieku”, służą w gruncie rzeczy ukryciu prawdy o sobie niż jej obnażeniu.

**CZAS REFLEKSJI**

Przysłuchując się wypowiedziom i głosom w dyskusji takich pisarzy jak amerykańska poetka Ingrid Wendt, szwedzka nowelistka Sun Axelsson, fińskiego pisarza Claesa Anderssona lub Roberta Kroetscha i wielu innych, trudno się było oprzeć refleksji o polskiej literaturze. Z jednej bowiem strony czytelnik polski wydaje się być niezwykle znaklony owej ekshibicjonistycznej literatury i wykupuje, a także zapisuje się do bibliotecznych kolejek po tak stare książki ekshibicjonistyczne jak „Kompleks Portnoya” czy „Świat według Garpa”, z drugiej zaś strony lansuje się wciąż u nas model literatury pełnej przemilczeń o człowieku, bohaterowie literacy — to w gruncie rzeczy nosiciele jakichś koncepcji politycznych, narodowych lub społecznych, a nie żywe istoty człowiecze. Na książki te małe popyt uzasadniany najłatwiej — zwykłą ceną książki, a nie względami literackimi, to jest po prostu brakiem artystycznej prawdy. Ekshibicjonizm został przez część krytyki niemal wyklęty, rozszalał się ekshibicjonizm polityczny, staroświeckie obnoszenie ran prawdziwych i domniemyanych, zadanych pisarstwem przez socjalizm w jego dawnym wydaniu.

Zalewają nas książki-interviu o wszystkich niedoskonałościach socjalistycznego ustroju, próby obrony postaw politycznych w książkach takich jak „Pamiętniki moich książek”, „Krakowskie Przemilczenia pełne deserów” lub „Nowy Świat i okolice”, tytuły mógłbym mnożyć. Jest u nas moda na mówienie o sobie i własnej twórczości, ale przecież tylko półgębkiem, bez autoanalizy siebie samego, bez całkowitego obnażenia własnego ja, swej najgłębszej prywatności. I na tego rodzaju twórczość, jeśli będzie dalej rozwijał się tak bujnie, wkrótce też zmaleje popyt, gdy czytelnik zorientuje się, że jednak gdzieś indziej pisze się już o sobie zupełnie inaczej, bez przemilczeń i niedomówień, bez wstydu i skrepowania, łamiąc wszelkie tabu. Podobnie po jednym sezonie znacznie zainteresowanie powieściami tak dziś okrzykanymi i nagradzonymi, gdyż zawarte w nich półprawdy zniechęca czytelnika, jedynie bowiem pełna prawda o człowieku nigdy się nie starzeje, jak się nie zestarzały „Wyznania” św. Augustyna czy „Wyznania” Rousseau lub „Biesy”.

Część krytyki literackiej wciąż obarcza pisarzy różnego rodzaju powinnościami wobec społeczeństwa i narodu, zapominając, że być może jedyną wielką powinnością współczesnego pisarza jest powiedzenie nagiej prawdy o istocie ludzkiej, o sobie samym lub o innych. Jeśli bowiem ktoś decyduje się zostać pisarzem, musi mieć świadomość, że nie ma prawa do prywatności, wszystko musi być objawione i podane do oglądu innym. Tak więc pisarz — jeśli chce zażywać na to miano — nie powinien mieć tajemnic przed swoimi czytelnikami.

Pisarz nie może mieć żadnych tajemnic przed czytelnikami.

**Literatura i ekshibicjonizm**

ZBIGNIEW NIENACKI

żył bohaterów do łóżka lub zaprezentował jakąś intymną obsceniczną sytuację. Muszą oni w końcu zrozumieć, że poprzez swoją felietonową czy pseudocenzurką działalność chcieliby pozostawić polską literaturę w zaścianku i prowincjonalizmie, oderwać ją od zasadniczego trendu całej światowej literatury.

Dobitnie powiedział to Czynnig Ajmatow, charakteryzując obowiązki literatury radzieckiej w okresie „przebudowy” i „jawności”. „Prawda o człowieku i jego intymnym życiu musi być powiedziana do końca, bez żadnych zahamowań, pełnym głosem. Mało tego, pełnym głosem i bez żadnych zahamowań należy mówić także o całym społeczeństwie, a nawet o władzy”.

W podobnym duchu przemawiał Juri Lotman z estońskiego uniwersytetu w Tartu:

„Bez obnażenia pełnej prawdy o człowieku nie ma mowy o intelektualnym kontakcie i psychicznej komunikacji nie tylko między ludźmi, ale także i między poszczególnymi społeczeństwami o różnych przecież tradycjach kulturowych. Kontakt zaś czyli komunikacja między ludźmi prowadzi do zbliżenia ludzi, do ich pokojowego współżycia. Tak więc literatura ekshibicjonistyczna nie jest jakąś tam „intelektualną pornografią”, ale próbą zrozumienia człowieka przez człowieka, dotarcia do jego najgłębszych warstw psychicznych. Słusznie rozumieniu, a tym samym zbliżeniu, wzajemnemu poznaniu, które umożliwia pokojową koegzystencję między społeczeństwami. Wszystko co kryje się w człowieku, czy to dobre czy zło, winno być obnażone i ujawnione, gdyż tylko w ten sposób ludzie mogą sobie wzajemnie zaufać. Literatura, która chciałaby ukryć pełną prawdę o człowieku, intymnym życiu obywateli swoich narodów, odczyt je tajemnicą — budzi podejrzliwość, a podejrzliwość jest matką wrogości”.

Ekshibicjonizm literacki ma właśnie służyć przełamywaniu owej nieufności i wrogości. Jak to określił J. M. Coetzee, pisarz i profesor literatury w Campe Town, pisarze muszą zdobyć się na odwagę całkowitego obnażenia wnętrza ludzkiego na podobieństwo Stawrogina z „Biesów” Dostojewskiego, który spowiada się mniuchowi ze swych potwornych myśli, uczuć i czynów. I wola, „jestem grzesznikiem” i jednocześnie pisarze winni też próbować odpowiedzieć na pytania, które mniuchowi zadaje Stawrogin, a na które mniuch nie potrafi odpowiedzieć, albowiem nie mieszczą się one w jego chrześcijańskiej moralistyce.

**KTO SIĘ BOI LITERATURY EKSHIBICJONISTYCZNEJ?**

Literatura ekshibicjonistyczna ma bardzo wielu wrogów na całym świecie. Mówił o tym wiele szwedzki profesor Olaf Lagerantz oraz pisarz z Kamerunu — Francis Babey, a przede wszystkim i niezwykle dramatycznie hiszpański pisarz Andres Sorel, nazywający pisarzy uprawiających tego rodzaju twórczość „działaczami literackiego podziemia”. Dla wielu dyskutantów i referentów było oczywiste, że istnieje ściśle

związanych z tygodnikiem „Polityka”, od lat przyzywanych do manipulowania społecznymi sędziami, bezwzględnie tępiących każdy przejaw „Inności” czy niezgodności z ich sądami. Czynią to sami lub przy pomocy pism satelickich nazywanych przez nich „zaprzyjaźnionymi”. Błada pisarzowi, który zechce przeciwstawić się sądom „Polityki”; zostanie odsadzony od czci i wiary. Artykuł podany do publikacji przez skrzywdzonego będzie okrojony lub przeznaczony albo nie wydrukowany. Ludzie przyzwyczajeni od lat do manipulowania opinią społeczną nie chcą bez walki oddać prawa do „Inności”, do „otwartości”, do ekshibicjonizmu literackiego. Tylko ich upodobania mają być obowiązujące.

Innym ciekawym zjawiskiem specyficznie polskim jest niezwykle bujne rozwijające się ekshibicjonizm polityczny w literaturze tzw. drugiego obiegu. Mnożą się w tym obiegu książki w rodzaju Trznadzia „Hańba Europy”, czy „Kadencji” Jana Józefa Szczepańskiego albo „Pół wieku czytacza” S. Nowickiego, w których z ekshibicjonistyczną dokładnością autorzy pokazują swoje rany, drobniagowo tłumaczą się ze swego dawnego przywiązania do stalinizmu. Literatura ekshibicjonistyczna nazywana jest w Polsce literaturą „obracunkową”, choć jak to określił angielski pisarz David Lodge — „pokazywanie swoich ran, to stara forma ekshibicjonizmu, nikomu dziś już niepotrzebna”.

Interesująca jest także u nas postawa społeczeństwa w zasadzie katolickiego oraz pism katolickich. W swej masie akceptują one ekshibicjonizm szczególnie, gdy dotyczy on spraw grzechu. Doktryna katolicka zakłada niejako a priori, że każdy człowiek jest grzeszny i skłonny do upadku, dlatego ukazywanie w literaturze tego upadku i wyzwala się z grzechu, a więc swoista „spowiedź pisarza” nie tępi ani się nią nie gorszy, jeśli wynikają z niej jakieś wnioski moralne. Dlatego — mimo istnienia samozwańczych cenzorów z tzw. lewicy laickiej — w Polsce istnieje duża szansa na rozwój literatury ekshibicjonistycznej, na wejście tej literatury w trend ogólnoswiatowy. Kto wie jednak, czy sojuszników nie będzie musiało szukać nie u lewicy laickiej, ale u lewicy chrześcijańskiej.

Swoistą burzę na konferencji spowodował głos angielskiego pisarza Grahama Swifta, autora głośnej ongiś książki „Waterland”. Wypowiedział się on zdecydowanie przeciw ekshibicjonizmowi w literaturze, uzasadniając swoje stanowisko angielskim inhibicjonizmem, jak to określił. Zadaniem pisarza, jak twierdził Swift, nie jest obnażanie siebie, ale innych ludzi, a poza tym pewne sfery życia ludzkiego powinny być objęte, jak to nazwał — „sferą ciszy” dla uratowania godności ludzkiej. Bardzo ostro przeciwstawili się mu przede wszystkim pisarze z krajów trzeciego świata. Pisarka z Jamajki, pani Kincaid, wręcz obraźliwie odniosła się do głosu Swifta, stwierdzając, że Anglicy zbyt długo już wypowiadali się „za innych” i w „imię innych”; teraz jest pora, aby i ci „inni”, przede wszystkim pisarze z krajów trzeciego świata mogli przemówić o sobie własnym

**RADA SPOLECZNA łódzkich uczelni artystycznych omówiła perspektywy rozwoju Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w najbliższym dziesięcioleciu.**

Obrazy prowadził przewodniczący Rady Społecznej, wiceprezydent Łodzi — Jan Nosko. Zaakceptowano model kształcenia, który daje możliwość wszechstronnego przygotowania warsztatowego absolwentów w nowych technikach i technologiach.

**WYROZNIĄJĄCY się twórcy programów telewizyjnych i radiowych otrzymali 8 bm. w Warszawie nagrody przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji.**

Wśród laureatów 70 nagród indywidualnych i zespołowych znaleźli się trzej łódzianie.

Nagrody indywidualne otrzymali: Michał Fajbusiewicz (ośrodek TV — Łódź) za osiągnięcia w publicystyce telewizyjnej podejmującej zagadnienia prawne, szczególnie za cykl „997” i Tadeusz Junak (ośrodek TV — Łódź) za reżyserię spektaklu Teatru TV „Gniazdo głuszcza”.

Jerzy Woźniak (ośrodek TV — Łódź) otrzymał nagrodę zespołową za współpracę w zespole realizacyjnym widowisk dokumentalno-fabularnych „Reduty września” oraz „Pamięć i legenda”.

Naszym kolegom z telewizji łódzkiej przekazujemy z tej okazji serdeczne gratulacje!

**JERZY WILMAŃSKI**, znany łódzki dziennikarz i literat, został laureatem nagrody IV stopnia Ogólnopolskiego Konkursu imienia Adama Polewki pn. „Poza schematami”.

Na konkurs wpłynęły 182 prace. Jury przewodniczył prezes ZG SD PRL — red. Klemens Krzyżagórski.

**PIOTR NOWACKI**, solista łódzkiego Teatru Wielkiego, absolwent Akademii Muzycznej w Łodzi, laureat Konkursu Wokalnego im. Jana Klepury w Krynicy, wystąpi w przyszłym roku, w słynnej mediolańskiej La Scali. Zaspiewa w operze Rimskiego-Korsakowa pt. „Baśń o carze, Sattanie”. Gratulujemy tak udanego startu w karierze artystycznej!

**DOWIADUJEMY SIĘ**, iż syn znanego dyrygenta Henryka Debiha, Mariusz, który poszedł w ślady ojca, ukończył dyrygenturę w Akademii Muzycznej w Warszawie i tytułem wyróżnienia wykonał swój koncert dyplomowy z orkiestrą Filharmonii Narodowej.

W Pałacu Sztuki TPSP w Krakowie otwarta została 30 czerwca br. wystawa zorganizowana z okazji 30-lecia „Piwnicy pod Baranami”.

Tutaj rozpoczęła artystyczną karierę tacy wybitni artyści, jak Krzysztof Penderecki, Leszek Długosz, Ewa Demarczyk, Zygmunt Chrońcy.

By kabaretowej tradycji stało się zadość, w otwarciu wernisażu, obok zaproszonych gości, uczestniczyli... wąż boa i kanarki!

**PO 4 x Paryż**, stołeczna „Zachęta” sprowadza wystawę „Aktualność brytyjskie”, zorganizowaną przez Museum of Modern Art z Oxfordu, przy współpracy z British Council.

Wystawa składa się z rzeźb i obrazów 26 artystów trzech pokoleń. Poprzednio była ona eksponowana w macierzystym muzeum, Pradze i Budapeszcie.

Otwarcie wystawy przewidziane jest w połowie września.

W warszawskim Muzeum Narodowym została otwarta interesująca wystawa sztuki polskiej dwudziestolecia międzywojennego.

Eksponowane są prace artystów różnych kierunków m. in. Leona Chwiłka, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Andrzeja i Zbigniewa Pronaszko, Władysława Strzemińskiego, Katarzyny Kobro, Henryka Szańskiego, Tytuza Czajewskiego, Józefa Czapskiego, Tadeusza Makowskiego.

Po zakończeniu remontu Muzeum Narodowe zamierza utworzyć stałą Galerię Sztuki Polskiej.

**ANDRZEJ WAJDA**, który już trzykrotnie zmierzył się z Dostojewskim w teatrze („Biesy”, „Nastazja Filipowna”, „Zbrodnia i kara”) pracuje obecnie nad filmową wersją „Biesów”. Film powstaje na zamówienie francuskiego producenta.

Role Szatrowa zagra ulubiony aktor Wajdy — Jerzy Radziwiłowicz.

Część zdjęć do tego filmu, z udziałem francuskich aktorów, kręcona była w Polsce.

W Krakowie odbyło się spotkanie Sławomira Mrożka ze studentami teatrolgii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Znakomity dramaturg, od lat mieszkający poza granicami Polski, odczytał kilka scen z najnowszej swojej sztuki pt. „Portret”. Zamierza ją wystawić w Warszawie Kazimierz Dejmek.

W drugiej części spotkania pisarz odpowiedział na liczne pytania dotyczące warsztatu twórczego.

**NAKLADEM** wydawnictwa „Sowietski Pisatel” ukaza się książka o życiu i twórczości radzieckiego pisarza Borysa Pasternaka. Książkę napisał syn pisarza — Jewgienij.

W Leningradzie odbył się Wszechzwiązkowy Festiwal Sztuki „Białe Noce”.

W Jalcie odbyła się sesja Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Stowarzyszenia Autorów Powieści Detektywistycznych i Politycznych, skupiającego ok. 2 tys. pisarzy.

**PO RAZ** pierwszy przebywał w NRD wybitny pisarz zachodniemiecki Günter Grass.

43 stare fotografie przekazała Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego p. Irena Kwiatkowska. Wśród nich znajduje się zdjęcie kuzynki p. Kwiatkowskiej, łódzkiej działaczki robotniczej — Ireny Barjasz.

Liczba ofiarodawców cennych pamiątek zwiększa się każdego dnia.

**TRADYCYJNY** Festiwal Polskich Filmów Fabularnych odbywał się będzie w tym roku w dniach 11-18 września w Gdyni.

Festiwal zainauguruje film Zbigniewa Koźmińskiego, „Między ustami a brzegiem pucharu”.

Wśród zakwalifikowanych przez Komisję Selekcyjną 26 filmów rywalizować będą o laury m. in.: „Anioł w szafie” Stanisława Różewicza, „Magnat” Filipa Bajona, „Pociąg do Hollywood” Rafałowa Piwowarskiego, „Małka Królów” Janusza Zaorskiego, „Przypadek”, „Krzysztofa Kieślowskiego”, „Luk Erosa” Jerzego Domaradzkiego.

Jednym z ważnych wydarzeń festiwalu będzie forum dyskusyjne, poświęcone problemom polskiej kinematografii.

Imprezie towarzyszyć będzie przegląd filmów krajów socjalistycznych, nagrodzonych na krajowych konkursach.



I tu Sasza dowiedział się, że Kriworuczka to były członek opozycji, ale jakiej konkretnie — Sasza nie rozumiał. Zajęła wspomnienia o XI Zjeździe partii, o „opozycji robotniczej”, potem o zbiorowym liście do KC, który Kriworuczka podpisał, ale co to był za list — nie powiedziała. Potem podkreśliła, że w swoim czasie Kriworuczka został wykluczony z partii za to, że nie zerwał kontaktów. O jakie kontakty chodziło, z kim, kiedy, też nie powiedziała. Wyjaśniła jedynie, że po jakimś czasie Kriworuczka ponownie przyjęto w szeregi partii, ale ukarano go nagana. Drugą nagana otrzymała Kriworuczka za zamieszanie koleji elementami społecznie obcymi i klasowo wrogimi. O jaką kolej chodziło i co tam robił Kriworuczka Zajęła również nie powiedziała. Potem Kriworuczka ponownie usunięto z partii tym razem za szkodnictwo w budownictwie. Chociaż lista wykluczeń i nagan dotyczyła wyłącznie Kriworuczki, Zajęła mówiła o tym tak, jakby to ona sama wyprowadziła go na czyste wody, wstrząsnęła tym, że udało się jej wykryć człowieka zamieszanego w urzędostwa, o jakich czytała jedynie w podręcznikach.

Słuchając Zajęcej Sasza rozumiał, że sprawa Kriworuczki wcale nie jest taka prosta. Kriworuczka obciąża przeszłość. Nie mógł tylko pojąć, jaki związek może to mieć akurat z nim.

Stolper wziął teczkę ze sprawą Saszy, pobieżnie przejrzał papiery. Wszyscy milczeli. Słychać było jedynie szelest przewracanych kartek.

— Co tam się u ciebie wyrabia, Baulin? Baulin wstał i rzucił ostro:

— Kriworuczka został przez nas usunięty z partii.

— Akademia nie zbudował — podchwycił Stolper — a tę jego robotę widzieliście? — uderzył dłoń o teczkę. — Polapaliście się, kiedy wypuścił u was antypartyjną ulotkę.

— Nie mamy dowodów na powiązania Pankratowa z Kriworuczka.

— Nie mają dowodów! — skrzywił się Stolper. — Pankratow występuje przeciwko marksizmowi w nauce, i po tym powierza mu się redagowanie świątecznego numeru gazetki, a on robi z tego ulotkę antypartyjną. Pankratow broni Kriworuczka, a ten dziekan, jak mu tam?

— Janson — szybko odpowiedziała Zajęca, podkreślając jak dobrze wykłada sprawę.

— Janson broni Pankratowa. Przecież to kłębek! Gdzie jest ocena polityczna? Może wyjaśnicie, dlaczego właśnie Pankratow wystąpił w obronie Kriworuczki?

— Pankratow został usunięty z uczelni również za to — pospieszył z odpowiedzią Baulin.

— Nie, nie za to! — zaczął krzyżeć Stolper.

— Wyrzucono go dopiero wtedy, gdy wystąpił z otwartą przybitką. A to, że bronił Kriworuczki, was nie zaniepokoiło? Członkowie egzekutywy proponowali podjęcie decyzji, a wy, towarzyszu Baulin, nie chcieliście. Towarzysz Łozgaczew proponował. A wy, Baulin, zbagatelizowaliście sprawę i daliście Pankratowowi możliwość wypuszczenia antypartyjnej ulotki.

Pod samym waszym nosem Kriworuczka demoralizował studentów. A może uważacie, że Pankratow z własnej inicjatywy wypuścił te gazetki, że tam sam z siebie wystąpił przeciwko marksizmowi w nauce? Kto za nim stoi? Nie chcecie wnikać w sprawę? Kogo się boicie?

— Nikogo się nie boimy — odburknął Baulin, mając na myśli samego Stolpera. I Stolper to zrozumiał. Popatrzył uważnie na Baulina i nieoczekiwanie spokojnie powiedział:

— Trzeba będzie przyjrzeć się sytuacji w Instytucie.

— Proszę bardzo — odparł Baulin.

— Co to znaczy „proszę bardzo”? — znów wybuchnął Stolper. — My was o zgodę nie prosimy, towarzyszu Baulin. Dlaczego nie ma Jansona?

— Jest chory.

— Chory... A gdzie dyrektor Instytutu? Baulin wzruszył ramionami.

— Nie przysła.

— Nie ma co, ładna organizacja — uśmiechnął się Stolper — Nic dziwnego, że owitła was sobie wokół palca. A tu jeszcze towarzyszu Malow się rozczula, rozdaje pochwalne opinie. Wiedziacie Malow, do czego Pankratow potrzebuje tej opinii?

Malow podniósł się ze swojego miejsca, wysoki, barczysty, przygarbiony bojowicie w garniturze. Siedział pod ścianą niemal obok Saszy, ale dopiero teraz Sasza go zauważył.

— Wiedziałem.

— Mówił ci, za co go wyrzucono?

— Mówił.

— Tak mówił, jak tu dziś słyszałeś?

— Właśnie tak.

— I mimo to wydałeś mu opinię?

— I mimo to wydałem.

— Jak to rozumieć, towarzyszu Malow?

— Napisałem, co było cztery lata temu.

— A może on i wtedy oszukiwał partię?

— On wtedy partii nie oszukiwał, on wtedy nosił farbę na plecach.

— Jaką farbę?

— A taką — Malow wskazał stół — taką wasze sukno barwią.

— Co to znaczy „wasze”? — spurpurowiał Stolper.

— Bo na waszym stole leży.

— I co z tego wynika?

— Chłopak, komsomolec, pracował, fabrykę budował. Co miałem napisać? Było jak było.

— Było jedno, a wyszło drugie — powiedział Stolper pojednawczo, po ojcowsku. — Gdyby Pankratow zwrócił się tylko do ciebie — to jedno, ale kiedy człowiek biegnie po narkotykach, kiedy wykorzystuje powiązania rodzinne, to co innego. A tego nie wzięliście pod uwagę, towarzyszu Malow.

— Może i nie wzięłem — uparcie bronił swego Malow — ale ja go widziałem przy robotcie i trudno mi uwierzyć, że to wróg partii.

— Nie tacy stawali się wrogami partii — powiedział Stolper. — No cóż, posłuchamy Pankratowa...

Sasza wstał. Przegra, to jasne. Wszystko co tu zostało powiedziane, nie ma sensu, ale im dalej toczy się sprawa tym bardziej obrasta w oskarżenie, a on w żaden sposób nie może wyrwać się z tego zakłętą kłębka. Nie zdoła ich przekonać. Głupie wierszki incydent z Azizjanem, Kriworuczka — to fakty. Działa nieubłagana siła. A jednak trzeba się bronić.

— Co do Kriworuczki — powiedział Sasza — to na egzekutywie mówiłem o tym zdarzeniu z łopatami.

— Z jakimi łopatami? — przerwał mu Stolper.

— Łopaty, na budowie, nie było magazynie...

— Nie udawajcie dumnia! — krzyknął Stolper. — Odpowiadajcie: dlaczego wystąpiliście w obronie Kriworuczki?

— Nie występowałem w jego obronie. Powiedziałem tylko, że naprawdę nie było materiałów budowlanych.

— A więc nie tylko łopat nie było, ale i materiałów? — ironicznie uśmiechnął się Stolper. — No to mówcie tak od razu. Dobrze, dalej — dodał zmęczonym głosem, dając do zrozumienia, że wypytwanie Saszy mija się z celem — kręci.

— Nie znałem Kriworuczki, nigdy w życiu z nim nie rozmawiałem.

Stolper pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

— Odnośnie wykładów ekonomiki, to prowadził zajęcia byle jak.

— A więc marksizm — to byle co? — Stolper nie odrywał wzroku od Saszy.

— No nie, ale...

— To wszystko, Pankratow, dosyć! — Stolper wstał, obciągnął bluzę, leżała na nim niezgrabnie jak mundur na chudełlawym cywilu. — Wystuchaliśmy was. Nie chcecie złożyć broni przed partią, nawet tu próbujecie nas oszukiwać. Jesteście wolni, idźcie sobie!

Byłoby lepiej, gdyby mama płakała. Ale mama zastygła, oniemiała, nie pytała nawet o szczegóły. Saszy przydarzyło się nieszczęście. To było najważniejsze.

Jej zneruchomiałe spojrzenie rozrywało Saszy serce. Wieczornia czytała nie widząc liter, mechanicznie przewracała kartki, dniem i nocą myślała tylko o jednym: przy Saszy nie ma mężczyzny, nie zdołała utrzymać rodziny, ich

mała, tęga, słwa, samotna. Sasza odgrzewał sobie obiady, czasem nie odgrzewał — obiadu nie było. Gdzież ona przepada? Dzwonił do siostr mamy — nie było jej tam. Chodził po urzędach, próbuje go ratować, szuka wpływowych znajomych? Nie, nie ma takich, zna przecież wszystkich znajomych mamy.

— Gdzie byłaś, gdzie ty się podziewasz? Zbываła te pytania milczeniem albo wykręcała się — nigdzie nie była, spacerowała po Arbacie, siedziała na podwórku...

Sasza również błakał się po Arbacie, po znajomych z dzieciństwa zaułkach wzdłuż starych pańskich pałacików; kolumny, sztukaterie, jaszkrawozłote dachy, białe zdobione fasady. W Kriwoarbackim, na dawnym boisku szkolnym architekt Mielnikow zbudował dziwny okrągły dom. Jak dawniej świeciły okna suterenu szkoły; mieszkali tam pracownicy obsługi technicznej.

Sasza przypomniał sobie, jak będąc drużynowym pionierów jeździł na obozy letnie do Rublowa: „Wyjeżdżamy do Rublowa, cała wioska już gotowa, już wakacji nadszedł czas, brak w Rublowie tylko nas...”. Na obozie utrzymywał żelazną dyscyplinę, pionierzy bali się go, nie mógł sobie tylko poradzić z Kostią Szabrinem, synem szkolnego stolarza, chłopcem psotnym i nieposłusznym. Po kolejnym wyskoku Kostia Sasza postanowił odesłać go do domu.

Kucharka powiedziała wtedy:

— Nie rób tego, Sasza, ojciec go zabije.

Co to znaczy „zabije”? Nikt nie ma prawa zabijać. Sasza żał było Kostię, pionierzy wstawiali się za nim, ale zmienić decyzję oznaczało podważyć własny autorytet.

Wrócili z obozu, zaczęły się lekcje. Ojciec

ANATOLIJ RYBAKOW

## Dzieci Arbatu

(5)

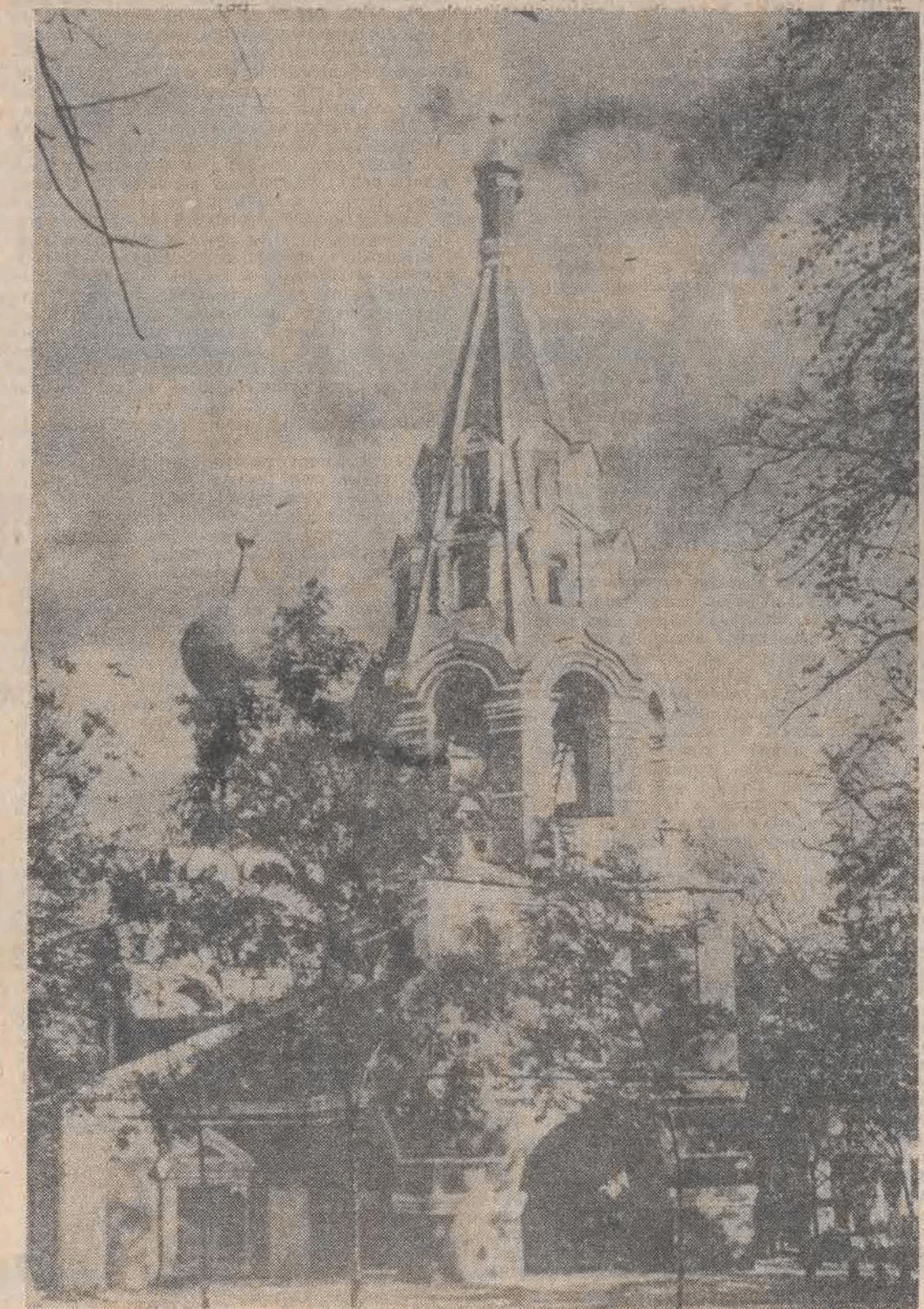
nieszczęsne życie kaleczyło go od dziecka.

Paweł Nikolajewicz zawiadomił, że przyjeżdżie jak tylko będzie mógł się wyrwać, za jakieś półtora miesiąca. Zofia Aleksandrowna znalazła męża — liczył na to, że przez półtora miesiąca wszystko jakoś się ułoży samo — bez niego. Pytał „Czy Mark nie może nie zrobić?”. Wieczny zarzut pod adresem jej krewnych! Napisała do Marka. Odpowiedział, że wkrótce przyjedzie na Zjazd i ma nadzieję, że wtedy wszystko jakoś załatwi. Listy te nie uspokoiły Zofii Aleksandrowny, Sasza nadal był bezbronny.

Zaczęła na długo wychodzić z domu, Sasza patrzył z okna, jak idzie przez podwórce —

pamiętał na zawsze. Jak głupio i okrutnie wtedy postąpił! Interes kolektywu wymagał dyscypliny, dla niej poświęcił maleńkiego Kostię Uważał, że karze chłopca dla jego własnego dobra. Czy pomyślał jak Kostia stanie przed ojcem?

Z zaułka Piatnikowa skręcał w Mogilewski, potem w Martwy. Tu, w willi leżącej naprzeciwko ambasady duńskiej, mieścił się kiedyś Chamowniczejski komitet rejonowy Komsomolu, w nim osiem lat temu przyjmowano go do organizacji. Nosił wtedy skórzaną kurtkę, nienawidził elegancji, o nic nie dbał z wyjątkiem książek, które zresztą po przeczytaniu ofiarowywał bibliotece, próbował nawet swo-



Kostia nie nie powiedział, raz tylko zatrzymał się w korytarzu i popatrzył na Saszę długim uważnym spojrzeniem. Spojrzenie to Sasza zarzyć szkolną komunę — sam nie wiedział, co jeszcze może podsunąć mu wyobraźnia.

Dlaczego właśnie jemu musiało się to przytrafić? Może powinien jednak przyznać rację większości? Ale Baulin, Łozgaczew, Stolper — to jeszcze nie większość. Napisać do Stalina? Stalin rozumie, że kraj potrzebuje specjalistów, a nie niedouczone ignorantów, Stalin gardzi gadulami, a Azizjan to gaduła. Stalin nie lubi karierowiczów, a Łozgaczew jest karierowiczem, Stalin nienawidzi dzierżymordów, a Baulin to przecież dzierżymorda. Ze swoim poczuciem humoru Stalin właściwie ocenilby te niewinne epigramaty. Ale zwracać się do Stalina w sprawie osobistej oznaczałoby brak skromności.

Ktoregogo dnia wracając do domu Sasza zobaczył mamę. Stała w bramie i kogoś wypatrywała.

Dochochząc z nim do drzwi powiedziała:

— Idź, ja jeszcze trochę pospaceruję.

— Zamarzniesz.

— Jeszcze trochę pochodzę — powtórzyła i jej twarz przybrała uparty, krótki wyraz, który dawniej zapowiadał nową awanturę i kłótnię z ojcem.

Kiedy indziej znów spotkał ją na Arbacie. Przeszła powoli obok bramy ich domu, zatrzymała się przy witrynie zegarmistrza, zaczęła udawać, że ogląda wystawione zegarki, zawróciła, wpatrując się w przeciwną stronę ulicy, doszła do apteki, przystanęła, poszła z powrotem. Kogoś wypatrywała, kogoś śledziła, tak samo jak śledziła ojca, gdy podejrzewała, że spotyka się z ich sąsiadką Milicją Pietrowną. Ale ojca przecież nie ma, nie ma domniemanych kochanek, nie ma zazdrości, a mimo to mamą znów owładnęła jakaś natrętna myśl, znów patrzy w jeden punkt tym samym skupionym, upartym, pełnym napięcia wzrokiem. Przeszła przez ulicę ze spuszczoną jak zawsze głową, nie rozglądając się, jak gdyby nie chcąc widzieć zagrażających jej samochodów. Kierowcy hamowali, wychylali się z szoferek i kleli, a ona nie odwracając głowy śpieszyła ku zbawczemu chodnikowi.

Spytał ją:

— Kogo ty wypatrujesz?

Zmieszła się, nie chcąc powiedzieć tego, w co Sasza i tak by nie uwierzył.

— Co przede mną ukrywasz?

Popatrzyła na niego oczami pełnymi przeczucia.

— Śledzą cię.

Zdwił się:

— Kto mnie śledzi?

— Jeden w czapce z opuszczonymi nausznikami, drugi malutki w sukiennym palcie, trzeci w walonkach, wysoki, zły, jest ich trzech, śledzą cię po kole.

— Prawidłowo! Po co aż trzech naraz! — roześmiał się Sasza.

— Z twarzy znam każdego — ciągnęła — mogę poznać ich po plecach, po głowie. Stałam w piekarni, a ten w walonkach stał za mną. Nie oglądałam się, ale wiedziałam, że on tam jest. Wzięłam chleb, wyszłam i on też wszedł, ale chleba nie kupił, stał za mną, żeby pokazać mnie drugiemu, to ich sposób. Domyślił się, że ich znam i kiedy się oglądam — znikają, skręcają w Nikolski, a potem wychodzą z Dnieżnego. A ja od razu idę na Dnieżny i tam go spotykam, odwraca głowę, ale ja wiem, że to on.

— Kogo więc śledzą, mnie czy ciebie? — spytał Sasza z uśmiechem.

— Śledzą nasz dom. Kto do nas przychodzi, kto wychodzi, kiedy ty wychodzisz, z kim rozmawiasz. U rzeźnika przez pomyłkę oderwałam odcinek rybną, a tamten stoi z tyłu i mówi: „Potrzebny czwarty odcinek”. Obejrzałam się, a on odwrócił się do mnie plecami, ale poznałam go po palcie.

— Tak powiedział: „Potrzebny czwarty”? — spytał całkiem już rozbawiony Sasza.

Kiwając rytmicznie głową, mówiła dalej:

— Dyżurny milicjant na Smoleńskim też jest z nimi. Szłam kiedyś za tym wysokim, on oczami wskazał milicjantowi jakiegoś człowieka, milicjant podszedł do tego człowieka i zapytał go o dokumenty, a wysoki zawrócił zobaczył mnie, popatrzył tak groźnie, a potem nie pojawił się przez dwa dni, a ten mały powiedział, że tamtemu dostało się od naczalstwa.

— Komu powiedział?

— Mnie. Mówi do mnie kiedy stoi z tyłu, tak, żebym tylko ją słyszała. A kiedy się oglądam, odwraca się plecami. Więc się nie oglądam, żeby nie stawiać go w głupiej sytuacji, przecież on nie ma prawa ze mną rozmawiać. Dobrze znam jego głos.

Sasza popatrzył na matkę z przerażeniem. W ich życie wpełza coś strasznego. Wyrósł w tym pokoju, każdy znajdujący się tu przedmiot był częścią jego życia, wszystko stoi i będzie stać na swoim miejscu, ale już bez niego. Wpadł w wir, który ciągnie go na dno. W tej chwili myślał tylko o jednym, żeby wir nie wciągnął również mamy, dobrej, najbliższej mu istoty.

— Kiedyś czuję, że stoi za mną — ciągnęła dalej — więc nie odwracając się pytam: „Nie zabieracie Saszy?” On milczy, nie odpowiada. Nie wytrzymałam, obejrzałam się, a on przyłożył palec do ust, cofnął się i zniknął w tłumie.

— To tylko twoja chora wyobraźnia — powiedział Sasza. — Nikt nie śledzi ani mnie, ani ciebie, nikomu nie jesteście potrzebni, przestępcy polityczni, myślałby ktoś. To śmieszne! Gdyby mieli mnie zabrać, to zabrałby już dawno, nie tracąc czasu na idiotyczne śledzenie. I pamiętaj! Przyjmij mnie z powrotem. Teraz wszyscy zajęci są Zjazdem, nie mają dla mnie czasu, ale po Zjeździe wyjaśnią. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Nie zatruwaj nam życia.

Milczała, patrzyła w jeden punkt, garbiła się, kręciła głową jak w nerwowym tiku. Sasza przekonywał, perswadował, a Zofia Aleksandrowna wciąż twierdziła to samo — jest tak, jak mówi ona. Tak było dziś, i wczoraj, i jutro też się powtórzy: widzi na ulice, zobaczy jednego z tych trzech, a jeśli służbę będzie mieć ten mały, to znów jej coś powie, może nawet to, czy zabrają Saszę, czy nie.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIELLO



# Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

## JAN KIEPURA ŚPIEWAŁ DLA ŁÓDZIAN

W niedzielę dnia 2 lipca 1939 r. mieszkańcy Łodzi doznali wielu, do dziś dla niektórych niezapomnianych, przeżyć natury kulturalnej i artystycznej, a nade wszystko utrwalił swoje uczucia patriotyzmu, wobec groźby zbliżającej się wojny.

W dniu tym gościł w Łodzi i wystąpił Jan Kiepura. Na długo przed występem znakomitego, światowej sławy tenora, bilety, choć drogie, zostały wyprzedane. Dochód z występu miał być przeznaczony na Fundusz Obrony Narodowej, a konkretnie na zakup przez społeczeństwo łódzkie ścigacza, tj. małego szybkiego okrętu wojennego przeznaczonego do zwalczania nieprzyjacielskich łodzi podwodnych. Występ Jana Kiepury odbył się na boisku Łódzkiego Klubu Sportowego, na którego płycie wybudowano makietę ścigacza, z którego mistrz koncertował. Stadion zapelniony jak na międzypaństwowy mecz piłkarski. Publiczność zniecierpliwiona, gdyż godzina rozpoczęcia już dawno minęła, a mistrza nie widać. Później dopiero okazało się, że spóźnienie nastąpiło z powodu tego, iż cała trasa od Grand Hotelu do boiska ŁKS-u wypełniona była przez publiczność domagającą się zaimprovizowanych występów na ulicach miasta. Wreszcie jest! Od strony ul. Karolewskiej, w odkrytym samochodzie, ubrany na biało, wspaniale prezentujący się. Wśród wiatów staje na makiecie ścigacza. Wszyscy stojąc witają mistrza, jak gdyby witali go co najmniej męża stanu lub władzę państwa. Kwiaty, wiaty i oficjalne powitania, nastrój uroczysty. Naraz mistrz podnosi rękę, znak, że chce mówić i nakazuje aby publiczność od strony al. Unii zbliżyła się w stronę ścigacza, od którego była oddzielona liniami i kordonem porządkowych o dobre 30 metrów. Jan Kiepura powiedział: „Śpiewam dla wszystkich, a przede wszystkim dla tych, którzy być może wydali ostatnią złotówkę, aby zasilił Fundusz Obrony Narodowej — rniech ci ludzie będą bliżej estrady.”

Pierwsze tony akompaniamentu prof. Ludwika Ursteina spowodowały zupełną ciszę na stadionie, w piękny, parny lipcowy wieczór. Popłynęła pieśń bliska sercu każdego Polaka. Każdy słuchał, i za kręciła się w oku i coś ścisnęło przy sercu. „Szumia jody na gór szczyt” słuchałem tak jak się słucha hymnu narodowego. Coś w tej arii jest tajemnego, że takie wrażenie wywołuje. Może fakt, że to takie bardzo polskie, przez Polaka skomponowane i przez Polaka po mistrzowsku dla Polaków zapiewane. Takie myśli krążyły wtedy po naszych głowach. Następnie: pieśni operowe, arie, utwory znane z filmów, nasze tańce ludowe, oberek, mazur, kujawiak, — wszystkie utwory nagradzane były spontanicznymi oklaskami. Jan Kiepura zapowiadał swoje utwory sam bez udziału konferansjera. Rozmawiał z ludźmi w sposób prosty, szczerzy i otwarty. Mówił że jedździ po świecie, by ludzimi śpiewami mimo gromotów zbliżającej się burzy, a swoim śpiewaniem służyć również Polsce. Mówił: „Trzeba zawsze pamiętać, że Polska to rzecz jedyna i najbardziej ukochana.”

Z widowni padło pytanie — A co z Martą, dlaczego nie przyjechała? — „Nie przyjechała, bo nie mogła, ale przywożę od niej najserdeczniejsze pozdrowienia. Ona, mimo, że jest Niemką jest nasza, tak samo jak ja myśli po polsku.”

Jak wiadomo Kiepura był ożeniony ze znaną niemiecką śpiewaczką i aktorką Martą Eggert i to, co wtedy powiedział było rzetelną prawdą. Marta nigdy nie poparła hitlerizmu, zawsze była dla naszych polskich spraw bliska i serdeczna.

W czasie koncertu Kiepura musiał często śpiewać na życzenie pań i panów, dla brunetek i blondynek, dla młodzieży i ludzi starszych, dla Balet, Chojen, Wdzewa i Karolewa, śpiewał dla wszystkich i biednych, i bogatych. Występ, który trwał do późnych godzin nocnych zakończył się znów koncertem nocnym przed Grand Hotelem. Popularność Jana Kiepury była przegromna, w czym zasługa nie tylko osiągnięcia w dziedzinie przez siebie prezentowanej najwyższego kunsztu, ale również dzięki osobistemu, naturalnemu wdziękowi, który zjednywał mu wielbicieli.

W ten niedzielny lipcowy wieczór 48 lat temu, nikt nie chciał wierzyć, że wojna tak szybko ogarnie nie tylko Polskę, ale cały prawie świat.

ZDZISŁAW PIASECKI

## CO JA MAM ZROBIĆ, BIEDNA SIEROTKA?

Jednym z kłopotliwych, dręczących nie tylko dziś problemów jest pijaństwo i jego skutki. Dotychczasowe przeciwdziałanie nadmiernemu spożywaniu alkoholu nie przynosiło pożądanych wyników. Przeciwnie, pijaństwo szerzy się w zaskakującym tempie, a jego rezultaty to często pospolite zbrodnie na ciele i do-brym imieniu spracowanego narodu.

Opowiadał mi niedawno znajomy: — „Zaproszono mnie na wesele do jednej ze wsi w Szczecińskim, abym zagrał na cymbałach. Zjechali się zewsząd weselnicy. Jedzono, pito, nadmierne pito, tańczono, a ja grałem od rana, przez dzień i noc. O świcie ktoś orzekł, że doś muzyki i tańca. Znalazł się inny, któremu jeszcze było mało. I obaj tuż przy mnie swarzą się. I za bary. Posypały się drzazgi. Tylko nie z podłogi, a z moich cymbałów. Zgasio światło. Poszły w ruch nakrycia stołowe i krzesła. Krzyk, wrzask, lament. Dwa trupy na miejscu. Jeden weselnik w drodze do szpitala...”

W konkursie literackim Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Łodzi wśród prac Wiesława Kopki napotkałem „Rozczarowanie”. Wstrząsający opis śmierci dwuletniego Marcinka, którym opiekowała się sześciolatnia siostra Magda, bo rodzice, oboje pijacy, przebywali w dzień i w nocy poza domem, zostawiając dzieci zamknięte często bez ciepła i bez jedzenia. Marcinek chory zmarł w gorączce na kolanach zatro-skanej, tułającej go, płaczącej siostrzyczki.

W zbiorze wypowiedzi — zwierzeń „Moje miejsce wśród ludzi”, stanowiącym pokłosie konkursu pod tym samym tytułem, a wydanym przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, w wypowiedzi — zwierzeniu nr 82, napisanym przez robotnicę z województwa krakowskiego, czytalem: — „Wszędzie więcej jest tych... polujących na łatwiznę, gotowy kęs. Zarozumiałych, pysznych. Tak! kiedy wypije, gaworzy: „Ja, panie kolego, mam wóz, co tam syrenka, zawsze urlop w Bulgarii, pochodzę z Warszawy... Słucha pan, panie kolego? Co tu piją za świętostwo. Ja, panie kolego, tylko francuskie koniaki, minister to mój kolega...” i buch pod stół od alkoholu i ciężaru własnej głupoty”.

Przez dziesiątki lat stroniłem od alkoholu, jeśli nawet były okazy, nie dodawałem sobie animuszu „kropkami”, co wcale nie znaczy, abym dziwił się innym, gdy piją w normie. Z moich obserwacji wyniosłem i taką: — W pewnej instytucji pracowało dwu różnych pozytywnych ludzi. Jeden mógł wychylić sporo toastów i był, jak mawiano „chłop na miejscu”, „chłop z głową”, — drugi po dwóch lub trzech przestawał mieć głowę i tracił też prowadzenie nad nogami.

Moją niejako obcość w stosunku do „witamin”, nie negującą ich spożywania przez tych, którzy spożywać umieją, używając nadto wypominali mi często, jako przyczynę niezalutwienia niektórych, określonych spraw własnych w środowisku czy w kraju. Może to i racja. Ale tego nie żałuję. Uważam, że każda sprawa można i powinno się zająć bez wódki.

Miałem okazję nieraz zaobserwować, jak skrzyżtne szafaraki czy szafarze, podawasz na stół goszczonemu gronu trzy butelki, meldowali gospodarzowi przyjęcia, że wydali pięć butelek. Widywałem też, jak obrotni gospodarze, już po ucztach za państwo pieniadze, zabezpieczali się w butelczyny na dzień następny dla innych potrzeb i dla innych sytuacji. A jak to wielu amatorów „Ignie” i „Ignie” do solenizantów, jubilatów i laureatów, jakoby z życzeniami. Ale przecież wcale nie o to im chodzi.

Kiedyś w pewnym urzędzie otrzymałem konkretną radę przyjęcia z czymś w rodzaju „do załatwienia”, a w ostatnich dniach jeden z przyjaciół mówił mi, że powitania z nim niektórzy ludzie zaczynają od obserwowania go „od stóp do głów”, patrzenia zwłaszcza, czy teckę ma dostatecznie wyłożoną.

Najboleśniejsze są jednak często spotykane na ulicach fakty, gdy zmarłwione, czasem placzące żony wiodą upadających mężów, najpewniej wyciągniętych z knajp, a obok rodziców drepczą małe dzieci. Dzieci!!!

Ale w „Delikatesach” w Łodzi „witamin” nie zajmują długo miejsca na półkach. Niejednemu raz obserwowałem, i nieraz nawet naliczyłem. Na 15 kupujących — 12 zwolenników „niebieskiego ognia” kupiło po 15 butelek, a tylko 3 po 12. I nie tłumaczono — sprzedajemy tylko po 1 lub po 2, jak przy produktach większej, pilniejszej potrzeby. A wiejskie „gazownie” — wtywnie bimbura i meliny w miastach „działają”.

Przeczytajcie tedy ze mną jeszcze coś.

W jednym z numerów „Wiadomości Skierniewickich” z roku 1985 jest rysunek Andrzeja Gruna — Latarnia. Pod nią wyciągnięty, rozchełstany pijaczyna. Rozzucone: butelka, kapelusz i tecka. Napis — „Osobiście jestem za prohibicją całkowitą, ale moja rodzina, przyjaciele, znajomi, koledzy z pracy i wszyscy inni ludzie, których znam, są jej przeciwni. To, co ja mam zrobić, biedna sierotka?”

Śmiać się czy płakać?

Do śmiechu jestem nieskory od urodzenia. A płakać? — Życie mnie tak tknęło, że już nie potrafię.

Więc napisałem.

WŁADYSŁAW STRZELECKI

## „PRZELEWANIA CIĄG DALSZY”

Korzystając z zaproszenia Jolanty Wrońskiej zamieszczonego w artykule „Przelewania ciąg dalszy”, „Odgłosy” nr 26/1526 z 27.VI.87 r. — aby wziąć udział w dyskusji na temat alkoholizmu i wydatowanych na niego społecznych (czyli ciężko przez ludzi zarobionych pieniędzy) hinczysmy chcielibyśmy zwrócić uwagę Autorce na niżej wymienione braki, jakie zauważyłem w jej artykule:

— przedstawiono Czytelnikom kwotę dotacji państwowych na „walkę z alkoholizmem” i przedstawiono ją — chcielibyśmy wierzyć — szczerze i prawdziwie. Zapomniano jedynie o „drobiazgu” — nie podano w tym artykule kosztu produkcji i butelki spirytusu bądź wódki. Ile wynosi taki koszt? A ile ten sam wyprodukowany już alkohol — po doliczeniu do niego kosztów produkcji — kosztuje w sklepie? Kto zabiera różnicę — i co się z tą różnicą dzieje?

Rozumiem, że te 1,5 proc. od zysku z alkoholu, które stanowią dotację na zwalczanie tego przykrego nalogu bierze się z kwoty całkowitego zysku z produkcji alkoholu w całej naszej PRL. Nasuwa mi się tu pytanie — a co z 98,5 proc. zysku? Gdzie podziwiają się te pieniądze i na co są one wydatkowane?

Krytyka działalności Centralnego Funduszu Przeciwalkoholowego przeprowadzona w artykule przez J. Wrońską jest słuszna i zasadna. Wyciągnięte wnioski są logiczne i sensowne. Ale... chodzi o to, że „tworzy administracyjno-państwowe” więziona w „działalność społeczną” po jakimś czasie istnieją już same dla siebie — zapominając o wadze problemu i zagadnieniach jakim miały służyć.

Dziwię się, że Jolanta Wrońska, która tak znakomicie zechciała zająć się tym (dla nas wszystkich) trudnym problemem nie poszperała głębiej. Pisze o ruchu „AA” (anonimowych alkoholików) i bardzo dobrze, ale dlaczego nie poruszyła tu problemu „BRAC-TWA OTRZEŻWIENIA” przy kościołach rzymskokatolickich w całej Polsce. Ta organizacja ma chyba prawo do świadectwa swego istnienia. Tu nikt nikogo ani niczego nie dotuje. Tu działa się tylko na zasadzie dobrowolności składek. Serce rośnie, gdy widać jak młodzi ludzie sami chcą składać przyrzeczenia odzeganania się od wódki. To jest chyba jedna z najważniejszych form walki z tym nagięciem i to walki twardej i zaciętej, bo opartej o własne sumienie.

Mam wrażenie, że w czasie, gdy w Związku Radzieckim stosuje się „pięciostojkę” stać nas na to, aby mówić całą prawdę o tym, tak dla Polaków trudnym, problemie. A zatem, dziękując Jolancie Wrońskiej za wspaniały artykuł — proszę o jeszcze — z odpowiedzią na zawarte w moim liście pytania.

JERZY BASIŃSKI

Każda redakcja, składając swoim Czytelnikom ofertę doskonała rozumie, że każdy z nich ma prawo wyboru. Jednych zainteresują te artykuły, innych inne, jedni skupią się na feletonach i sprawach lżejszych, inni sięgną po poważniejszą publicystykę. Niektórzy przeczytają wszystko.

Czytelnicy ze swej strony powinni zrozumieć, że autor musi mieć też prawo do wyboru tematu, a w tym i do pewnej selekcji faktów i problemów. Gdyby chciał pisać o wszystkim, byłoby to dla Czytelników niestrawne. Dlatego też Jolanta Wrońska pisała o sposobie powstawania funduszu przeciwalkoholowego i jego wydawaniu czy podziale — jak kto woli to nazwać. A nie pisała o „Bractwie otrzeźwienia”, bo to nie leżało w granicach jej zainteresowania. To chyba aż nadto oczywiste.

Jerzy Basiński czyta „Odgłosy” również w sposób selektywny. Trudno mieć o to pretensje. Z tym tylko, że jest to selekcja jakby podporządkowana określonym przez niego temom. Czego nie chce dostrzec, tego nie dostrzega.

Gdyby bowiem było inaczej, Jerzy Basiński nie zadawał tych pytań, które zadał. Musiałby przecież wiedzieć, że Dariusz Dorozynski w reportażu „Co robią za czerwonym murem?” dokładnie wyjaśnił tajemnice „alkoholowej kalkulacji”, podał dokładny koszt produkcji i litra spirytusu. Wystarczy zajrzeć tylko do numeru 19 „Odgłosów”, gdzie na stronie 13 znajduje się reportaż Dariusza Dorozynskiego, a na stronie 12 artykuł Jolanty Wrońskiej pt. „Przelewania”, będący jakby wstępem do publikacji „Przelewania ciąg dalszy”.

Gdyby więc Jerzy Basiński wiedział, że by tych pytań nie zadał, bo są one bezpodstawne i źle świadczą o ich autorze. Niewiedza niczego nie usprawiedliwia, a fakt, że odpowiedź na postawione pytania została już udzielona, pozwala domniemywać celowej selektywności. Dlatego zamiast prosić Jolantę Wrońską o odpowiedź i porwać do tematu, wystarczy zajrzeć do numeru 19 „Odgłosów”.

REDAKTOR DZURNY

## CMENTARNE HIENY

W pochmurne popołudnie odwiedziłem stary cmentarz katolicki przy ul. Ogrodowej w Łodzi. Celem mojego spaceru było odnalezienie śladów powstania 1863 roku, którego 125 rocznicę obchodzą będziemy w styczniu roku przyszłego. Ustaleniem tych śladów bezpośrednio zainteresowany jest szczerp harcerski im. Romualda Traugutta, działający przy I LO na terenie hufca Łódź-Polesie im. Harcerskiej Poczty Powstańczej. Szczerp ten rozwinął się z 3 ŁDH im. Romualda Traugutta, założonej w 1916 roku, jeszcze podczas okupacji niemieckiej miasta w czasie pierwszej wojny światowej. Grób powstańcy odnalazłem bardzo szybko. Jeszcze jako młody harcerz odwiedzałem go z moim zastępem przed 1939 rokiem. Znajduje się on w bocznej alejce. Na postumencie, pod wielkim orłem widnieje siedem tarcz herbowych z wrytymi na nich nazwiskami. W mogile tej leżą powstańcy wzięci do niewoli w lutym 1863 roku pod Dobrą k/Łodzi i zmarli z ran w carskich lazaretach. Są to: Rudolf Chelmiński lat 26, Bronisław Lisiecki lat 28, Wojciech Kołacki vel Truskowski lat 26, Stanisław Jaworski lat 25 oraz 19-letni powstaniec o nieznanym i nie ustalonym nazwisku. U stóp grobowca nieznaną ręką położyła wiązankę świeżych kwiatów. Kilkanaście metrów dalej w kierunku kaplicy cmentarnej jest jeszcze inny ślad wypadków roku 1863 na Ziemi Łódzkiej. Jest to grób Konstantego i Marii małżeństwa Piotrowiczów, poległych w dniu 24 lutego 1863 roku pod Dobrą. Przy porośniętym trawą grobie skromny pomnik z dwiema osadzonymi na sztorce kosami, symbolem ówczesnej bronii powstańczej. Jest jeszcze mała kamienna tabliczka z napisem „Gloria victis” (chwała zwyciężonym) — znak, że grobem tym opiekują się uczniowie XIII LO im. Marii Piotrowiczowej w Łodzi.

Kiedy wychodziłem z cmentarza usłyszałem krzyk. Okazało się, że jakiś młody człowiek porwał ze świeżo usypanej mogiły dwie wiązanki kwiatów i zauważony przez kobiety zaczął uciekać. Przeskoczył mur cmentarza prawosławnego. Tam starszy mężczyzna próbował go zatrzymać, uderzając go nogąch łaską. Złodziej przewrócił się, lecz po chwili kinąc i kuśkając porzucił kwiaty i zniknął na ulicy.

Czekając na przystanku na tramwaj przypadkowo usłyszałem rozmowę dwóch emerytek. Jedną z nich, aby uzyskać parę złotych na kupno kwiatów na grób zmarłego męża, nosiła zimną saszetkę węgla. Następnego dnia, kiedy poszła na cmentarz kwiatów już nie było.

Na cmentarzach łódzkich grasują całe gangi przestępcze. Kradną kwiaty, zniszczone, a nawet sporadycznie próbują dostać się do świeżych grobów. Nie pomagają przysypywanie kwiatów piaskiem lub kropieniem stearyną, czy atramentem. Kradzione kwiaty pokazują się potem przed cmentarzami. Kilka dni temu (koniec maja br.) widziałem osobnika o twarzy alkoholika sprzedającego kwiaty spryskane atramentem. Było to na rogu ulic Nowotki i Wschodniej. W Dniu Zwycięstwa społeczeństwo naszego miasta składało kwiaty na terenie byłego obozu koncentracyjnego na Radogoszczu i wieńce na grobach poległych żołnierzy radzieckich, które znajdują się w parku im. ks. Józefa Poniatowskiego. W dniach następnych niektóre z tych wiązanek pojawiły się w sprzedaży pod murami pobliskich cmentarzy. Wydaje się więc, że należałoby zwrócić bacniejszą uwagę na sprzedawców kwiatów, wleńców i wiązanek, na źródła ich pochodzenia. Kwiaty składamy tym, dla których zachowujemy pamięć, ale nie możemy pozwolić na to, aby stanowiły one źródło dochodu dla „hien cmentarnych”.

MIECZYSLAW KOZAK

## INFORMUJEMY O KONKURSIE

### „MIŁOWY SŁUP”

Zarząd Wojewódzki ZSMP w Koninie, Koniński Klub Literacki przy ZW ZSMP, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Koninie, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Koninie, redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego „Nur” w Poznaniu, redakcja tygodnika „Przegląd Koniński” oraz Fabryka Urzędów Górniczych Odkrywkowego po raz dziewiąty ogłaszają Ogólnopolski Konkurs Poetycki o Nagrodę „Miłowego Słupa”.

Celem konkursu jest popularyzacja młodej twórczości, rozbudzenie talentów, stworzenie warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji.

Konkurs jest imprezą otwartą, w którym mogą wziąć udział poeci niezależnie od miejsca zamieszkania, nie będący członkami ZLP.

Należy nadesłać zestaw trzech wierszy w czterech egzemplarzach. Utwory nie mogą być nigdzie publikowane. Ilość zestawów dowolna.

Każdy utwór winien być opatrzony godłem, do zestawu prac należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną tym samym godłem, zawierającą imię i nazwisko, dokładny adres autora.

Ostateczny termin nadysłania prac upływa z dniem 15 września 1987 roku.

Oceny nadesłanych prac dokona jury, w skład którego wejdą krytycy i poeci — członkowie Związku Literatów Polskich.

Organizatorzy nie zwracają nadesłanych na konkurs prac.

Ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród nastąpi w październiku, o czym narodzi autorzy zostaną pisemnie poinformowani i zaproszeni na koszt organizatorów.

Prace nagrodzone będą opublikowane w „Nurcie” i honorownie obowiązuje stawkami autorskimi.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

I nagroda 15 tysięcy złotych

II nagroda 12 tysięcy złotych

III nagroda 10 tysięcy złotych

ponadto: dwa wyróżnienia (nagrody rzeczowe), nagrodę za najlepszy wiersz autora debiutującego, Wiersze pretendujące do takiej nagrody winny mieć obok godła dodatkowy napis „Debiut”, każdy z laureatów ponadto otrzyma miniaturkę „Miłowego Słupa”.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Dodatkowych informacji udziela główny organizator konkursu ZW ZSMP w Koninie, Aleje 1 Maja 15, tel. 213-94. Pod tym adresem należy nadsyłać prace konkursowe.

## REDAKCJA — CZYTELNICY

TOMASZ MIKINKA, Łódź. List z 18 podpisami przesłany do redakcji otrzymaliśmy. Przekazaliśmy go reporterowi, który sprawę Łódzkiego Klubu Jeździeckiego interesuje się. Ze względu na chorobę jednego z rozmówców sprawa może się nieco przewlec.



**B**erliński Międzynarodowy Festiwal Filmowy, zwany Berlinale, organizowany był w tym roku po raz trzydziesty siódmy. Jest jednym z najstarszych festiwali na świecie i dopracował się własnej formuły — bardzo szerokiej zresztą i elastycznej, pozwalającej na prezentację bogatego wachlarza rodzajów i trendów filmowych. Obok właściwego przeglądu konkursowego organizowane jest Forum Młodego Kina, czyli debiutanci i twórcy niezależni mogą przedstawić się festiwalowej publiczności. Do imprez towarzyszących należy tzw. Panorama, czyli przegląd utworów jakiegos obszaru geograficznego lub gatunku filmowego, retrospektywa wybitnego twórcy, festiwal filmów dziecięcych i przegląd nowych filmów zachodnioeuropejskich. Kino popularne prezentowane bywało w ramach Panoramy lub retrospektywy. W przeglądzie konkursowym gościło rzadko. Dlatego zazwyczaj najciekawsze filmy obejrzać można było poza przeglądem konkursowym, zaś w samym przeglądzie — filmy pokazujące poza konkursem. W tym roku sytuacja zmieniła się diametralnie. W konkursie znalazły się filmy popularne i one zdobyły sporo nagród.

Jest to tym ważniejsze, że festiwal w Berlinie Zachodnim jest prestiżowym festiwalem, otwierającym ówczesny sezon filmowy, jako że odbywa się na przełomie lutego i marca. Stanowi więc z festiwalem

Najlepszym bowiem filmem festiwalu był bez wątpienia „Platoon” Olivera Stone’a. Stone nie jest debiutantem. Jest przede wszystkim doświadczonym scenarzystą. Pisał scenariusze do wszystkich swoich filmów („Platoon” jest jego czwartym filmem fabularnym) a także do „Midnight express” („Ekspres o północy”) Alana Parkera, „Conan The Barbarian” („Conan Barbarzyńca”) Johna Miliusa, „Scarface” („Człowiek z blizną”) Briana DePalmy i „The year of The Dragon” („Rok Smoka”) Michaela Cimino. Scenariusz do „Platoon” był gotowy już w 1976 roku. Stone jest bowiem weteranem wietnamskim i scenariusz ma charakter autobiograficzny. Po raz pierwszy powstał film o wojnie wietnamskiej zrealizowany przez człowieka, który tam był.

Trudno mówić o wierności realiom, o prawdziwości filmu kogoś, kto tego nie przeżył. Pozostaje zaufać reżyserowi i oglądając film „wysłuchać się” weń, czy nie zadźwięczy coś fałszywie. W filmie Stone’a nic fałszywie nie dźwięczy. Losy plutonu przeczesującego tropikalną dżunglę, gdzie nie tylko Vietcong jest wrogiem, ale i sama przyroda, przypominają „Pluton 317” Pierre Schoendorffera, oklaskiwany przez krytykę za wierność realiom i prawdę psychologiczną. Rozumiemy żołnierzy. Stone’a nawet wtedy, gdy strzelają do wietnamskich w leśnej wiosce, obok której znaleźli swego kolegę z poderżniętym gardłem. Zabijają, aby zabić swój strach. Wojna wietnamska Olivera Stone’a

## EDDIE MURPHY: Ma 26 lat i jeden film przynosi mu dochód 6 milionów dolarów

Ma 26 lat i dzięki trzem filmom — najbardziej znany to „Gliniarz z Beverly Hills” — stał się najlepiej zarabiającym aktorem w Stanach Zjednoczonych. W swej posiadłości w Alpine (New Jersey) kazał zbudować basen, kolekcjonuje samochody i przygotowuje trzeci album z piosenkami.

Kariera Eddiego Murphy („Gliniarz z Beverly Hills”) może przyprawić o zawrót głowy. Ma dwadzieścia sześć lat i odnosi sukcesy, zbiera najwyższe pochwały i... miliony dolarów. Jest najlepiej zarabiającym aktorem w historii kina (40 milionów dolarów za sześć ostatnich filmów) i ulubieńcem całej Ameryki. Jego bronią jest talent. Geniuszem — śmiech. Przy wrodzonej kociej złośliwości, wypróbowanej bezτροsco zaprawionej drwiną, Eddie, w swych gagach jakby z epoki kina niemego, jest równie pomysłowy jak Tintin. Ale bywa też złośliwie uszczyplivy, beczelnie pyskawy jak łobuziak, który żarzą swym śmiechem. Oczarowuje, ponieważ z niczym się nie liczy. „Jeśli o to chodzi — mówi — jestem autentycznym wytworem połowy lat 80-tych”. Jednak jego mocne słowa oszczędzają bezwiednie tradycje „reaganowskie”. Eddie woli używać sobie na feministkach („którym łuszczym się nie liczy. „Jeśli o to chodzi — mówią, mówiących przez nos Żydach, poborcach podatkowych, czarnych bezrobotnych i białych, — którym się nie powiodło”. „Nic nie jest święte — lubi powtarzać — z wyjątkiem bzdur o Bogu. Nawet jeśli on sam mi je podsuwa...”.

Eddie urodził się w kwietniu, miesiącu prymaprilisowych żartów, w Brooklynie jako syn Lillian, telefonistki, i Charlesa, dzielnikowego. Trzy lata później jego rodzice rozstają się. W roku 1969 umiera Charles a Lillian wychodzi za pracownika w branży lodów (firmy Breyer). Rodzina — wraz z Charlesem Juniorem, bratem rodzonym Eddiego, i Vernonem, bratem przyrodnim — osiedla się w Roosevelt, na Long Island, wielkim przedmieściu Nowego Jorku. „Odkąd skończyłem piętnaście lat, sam zajmowałem się własnym życiem”, mówi Eddie (odliczając co do minut — na zegarku za 6 tys. dolarów — czas rozmowy).

We wszystkich podejrzanych barach dzielnicy Roosevelt Eddie śpiewa pieśni gospel i odgrywa napisane przez siebie cierpkie skecze. Gdy ma

15 lat, dochodzi przypadkowo do występu w telewizji. Eddie zmusza do śmiechu. I pozostaje tam. Sondaże wskazują na niego. Ma wciąż nowe pomysły i naśladuje, wykreowuje zabawne postacie (zakatowany rocker, poeta w więzieniu, chytry wyzyskiwacz i mały oszust, który stał się wielkim oszustem). Jego skecze mają ulotny blask video-clipu, a Eddie instynktownie przeczuwa, z jaką siłą oddziałują. Przy nim nie ma czasu na zastanowienie — po prostu można pęknąć ze śmiechu. Rok 1982 przynosi pierwszy film, „48 godzin”. Rok następny — „Fotel dla dwojga”. Eddie obala wszelkie prognozy i wszelkie reguły. Te dwa sukcesy owocują złotymi płytami, mnóstwem kontraktów i wielką popularnością za Atlantykiem. „Miałem odtań tylko jeden cel w życiu: nadal być popularnym”.

Eddie Murphy, przy swym kpiarskim usposobieniu, ale silnym charakterze, uznany został księciem komedii: „Chcę przed trzydziestką, tak jak Chaplin, napisać scenariusz filmowy, zagrać rolę, być producentem i reżyserem, zaśpiewać w nim i być zeń dumny! Tak jak Chaplin, wybrałem rewolucję za pomocą humoru”.

Jego dobre samopoczucie, gdy śmieje się raz po raz ubrany w miękką skórę inkrustowaną diamentami układającymi się w jego inicjały daje złudzenie, że w USA problem czarnych został rozwiązany: „Jestem szczęśliwy, lubię szybkie auta, pokuszkujące klejnoty i kobiety, szczególnie te, które grzybią nylonem pończoch w odległości stu metrów ode mnie”. Posiada sześć znakomitych samochodów (m.in. Jaguar a i Rolls), wspaniały dom daleko od Hollywood (w Alpine, New Jersey) i basen, w którym kilka najeżdżających mu wypię szklanczkę koktajlu. Eddie ma też serce. Serce, które bije dla jednej — Lisy Figueroa, ślicznej Portorykanki, studentki biologii.

Wg „Paris Match”  
B. Ban.

## Berlin '87 — kino ma się nieźle

BRONISŁAW PUŁASKI

Łondyńskim jakby kłamrę sezonu, różni się jednak od tego ostatniego faktem przyznawania nagród. Te nagrody — Złote i Srebrne Niedźwiedzie — są wysoko notowane na światowym rynku filmowym.

Tradycyjnie najsilniejszą reprezentację wystawia kinematografia Stanów Zjednoczonych. „Platoon” („Pluton”) Olivera Stone’a był od początku kandydatem do głównej nagrody. Obok niego — w konkursie „Children of a lesser God” („Dzieci gorszego Boga”) Randy Haines i „Night, mother” („Dobranoc, mamo”) Toma Moore, zaś poza konkursem — „The color of money” („Kolor pieniędzy”) Martina Scorsese i „True stories” („Prawdziwe historie”) Davida Byrna.

Nieoczekiwanie w tym roku konkurencją dla Amerykanów stały się filmy radzieckie. Nowa polityka kulturalna Gorbaczowa dała rezultaty. Zdejęto z półek filmy leżące tam czasem od kilku lat i wysłano na festiwal. Towarzyszyła im silna reprezentacja Stowarzyszenia Filmowców Radzieckich z przewodniczącym Elemem Klimowem i sekretarzami — Wiktoorem Djominem i Andriejem Płachowem. Byli bardzo aktywni — brali udział w imprezach kulturalnych organizowanych — często ad hoc — i wypowiadali się publicznie w kwestiach dotyczących radzieckiego filmu wczoraj i dziś. Na temat wczoraj — bardzo krytycznie, wymieniając po nazwiskach odpowiedzialnych za błędy i niepowodzenia.

Związek Radziecki był reprezentowany w konkursie przez dwa filmy — „Temat” Gleba Panfilowa i „Skorobnoje bieszczuwstwie” („Smutna nieuczulość”) Aleksandra Sokorowa. Poza konkursem pokazano „Pożegnanie” Elema Klimowa. Film Panfilowa powstał w 1979 roku, zaś Klimowa w 1982. Sokorow nakręcił swój film w 1986 roku, ale gdyby nie zmiany w polityce kulturalnej, nikt by go nie oglądał, bo poprzednie filmy Sokorowa (dokumenty) wyładowały na półkach. Cała więc filmowa reprezentacja radziecka była żywym dowodem przemian.

Dodatkowo wielkie zainteresowanie wzbudził pokazywany w Panorami, w serii „Tematyka ekologiczna w kinie radzieckim” film „Kołokol Czernobyla” („Dzwon Czernobyla”) Rolana Siergiejki. Planowany na 28 lutego, oczekiwany był z niecierpliwością. Temperatura nastrojów wzrosła, kiedy w przeddzień projekcji ogłoszono, że film nie dojechał z Moskwy. Ozwwały się w delegacji radzieckiej głosy, że to określenie siły boja się ujawnienia całej prawdy o Czernobylu. Na szczęście tuż przed końcem festiwalu film dotarł do Berlina i wyświetlony został dwa razy, aby wszyscy chętni mogli go zobaczyć.

W tej sytuacji Amerykanie byli bez szans. Radziecka ofensywa propagandowa zaowocowała Złotym Niedźwiedziem dla „Tematu”. Oliver Stone musiał zadowolić się Srebrnym Niedźwiedziem za najlepszą reżyserię, Randa Haines również otrzymała Srebrnego Niedźwiedzia „za wrażliwe potraktowanie niezwykłego tematu” (bohaterami jej filmu byli głuchoniemi).

Naprawdę niezwykle było to, że wszystkie wymienione filmy można zaliczyć do kina popularnego. Tym razem gust jurorów pokrył się z upodobaniami publiczności. Naturalnie, nagród było więcej i sporo przypadło filmom tradycyjnie „festiwalowym”. Nie zmienia to jednak faktu, że na czoło prestiżowego festiwalu wybiły się właśnie filmy popularne.

„Temat” znany jest już naszym widzom z tegorocznych konfrontacji. Nie omawiając więc go szerzej wspomnę tylko, że potraktowanie ważkiego problemu politycznego jako materiału dla kina popularnego, kina żywej akcji, w dodatku z elementami komediowymi stanowi absolutne novum w kinie radzieckim (dotychczas na tego typu filmy mieli monopol Amerykanie), zaś kreacje Michaiła Uljanowa i Inny Czurikowej zasługują na osobne nagrody. Film zasłużył na Niedźwiedzia, choć w mojej opinii raczej Srebrnego niż Złotego.

jest realna. „Platoon” lokuje się między „Green berets” („Zielone berety”) Johna Wayne’a, będącym propagandową apologią interwencji amerykańskiej, a „Czasem Apokalipsy” Francisca Forda Coppoli, karykaturującego tę wojnę przy pomocy optyki wziętej z innoego miejsca i czasu. Wartość filmu Stone’a doceniła Amerykańska Akademia Filmowa, przyznając mu szereg Oscarów (m.in. za najlepszy film roku).

„Children of a lesser God”, debiut Randy Haines, porównać można z „Cudotwórczynią” Arthura Penna (film z 1982 roku, wyświetlany u nas w połowie lat sześćdziesiątych). Różni się jednak od filmu Penna pełnym humorem optymizmem. Bohaterami są młodzi ludzie dotknięci upośledzeniem słuchu i mowy oraz nauczyciel (doskonała rola Williama Hurta, nagrodzonego niedawno Oscarem za rolę w filmie „Kiss of the spider woman” — „Pocałunek kobiety-pajaka”) Hectora Babenco), uczący ich niebanalnymi metodami porozumiewania się z otoczeniem. Osłą dramaturgią filmu jest jego romans z głuchoniemą dziewczyną, która odmawia kontaktu z otoczeniem (debiutantka Marlee Matlin). Nauczyciel odnosi oczywiście sukces i następuje happy end. Słowem, love story w środowisku głuchoniemych. Tak, ale jak ta love story jest opowiedziana, a przede wszystkim jak zagrana! Dziewczyna jest rzeczywiście głuchoniema. Pozostali głusi grają również samych siebie. Poznajemy ich świat, świat wiecznej ciszy. Nic dziwnego, że do pierwszego zbliżenia nauczyciela i dziewczyny dochodzi pod wodą, kiedy oboje nurkują w basenie. Tam są sobie równi. Randa Haines wzięła rzeczywiście trudny temat, lecz poradziła z nim sobie bravurowo. Gra Marlee Matlin nagrodzona została Oscarem (za najlepszą rolę kobiecą).

Gwoli sprawiedliwości, wspomnieć muszę o jeszcze jednym nagrodzonym filmie, który również zaliczyć można do kina popularnego. Był to film francuski „Mauvais sang” („Zła krew”) młodego reżysera Leosa Caraxa. Wzbudził on spore kontrowersje. Młoda część widowni oklaskiwała film, starsza popatrywała na siebie z niedowierzaniem. Pisałem niedawno o tym, że film popularny przeznaczony jest właśnie dla młodej widowni, ale tym razem ta młodzież padła ofiarą oszustwa. Film jest manieryczny i pretensjonalny, ale to nie jest jego największą wadą. Przede wszystkim jest on bowiem nieudolnym plagiatem filmów francuskiej „nowej fall” sprzed lat dwudziestu pięciu. Carax poszedł tu drogą wytyczoną przez Spielberga, który również nie innego nie robi, jak eksploatuje znane i lubiane wątki. Ale jak to robi! Spielberg jest mistrzem, zaś Carax tandenciarzem. Film jest sensacyjny, zaś osadzenie akcji w przyszłości kwalifikujące go po prostu do nurtu science-fiction. Cóż, kiedy cała fantastyka pozostaje w dialogach, my zaś widzimy młodego bohatera o nieprzejmnej powierzchowności, który usiłuje zagrać Belmonda z filmu Godarda „Do utraty tchu”. Jedyną atrakcją filmu jest Michel Piccoli, dyżurny amant filmu francuskiego, który został tak potraktowany przez Caraxa, jak Jan Nowicki przez Sylwestra Chęcińskiego w „Wielkim Szu”, to znaczy ukazany w prawdziwej postaci, jako starszy, siwy pan. Ale nic nie szkodzi, kocha się w nim nieprzytomnie pewna nastolatka. Carax robi oko na obie strony, do młodzieży i starszaków. To mu wolno, ale szkoda, że wykorzystuje młodzieńczą ignorancję. „Zła krew” jest tytułem adekwatnym. Tego się właśnie doznaje oglądając ten film (choć Caraxowi chodzi o jakąś straszną zarazę, gorszą niż AIDS, która ma w przyszłości nas wykończyć).

Reasumując, festiwal berliński był jeszcze jednym dowodem przemian w kinematografii światowej. Kino popularne ma się dobrze (ale strzeżmy się nieudolnych naśladownictw).

## Filmy z kasy

### Sylwester Stallone — ciało bez duszy?

Sylwester Stallone, który dzięki takim filmom, jak „Rocky” czy „Rambo” uznany został za czołowego reżalę Stanów Zjednoczonych, udowodnił jednak, iż stać go na więcej.

Co prawda film „Cobra” (notabene S. Stallone jest autorem scenariusza) to znów nieustająca pałba brońi ręcznej i gdzieś tam eksplozja granatu, ale i Stallone ujawnia, ukryte jak dotąd, pokłady talentu, a przynajmniej szacunek do klasyki.

Sylwester jako porucznik Cobry jest policjantem do zadań specjalnych, a jego specjalność to eliminacja wszelkiej maści zboczeńców za pomocą ostatecznych środków perswazji. Przez większą część filmu tropi maniaka, który rozcina toporem statecznych obywateli w myśl programu: przetrwają tylko silni i okrutni. W rezultacie Cobra poświęca się ochronie modelki (w tej roli Brigitte Nielsen, żona odwórcy „Ramba”), która przypadkowo widziała człowieka z siekierą w akcji, a więc widziała za dużo. Finał to dewastacja motelu, w którym brońi się Stallone i turla po podłodze Brigitte, ścigana gradem kul, a zewnątrz wbić w skóry uczniowie maniaka w znaczących ilościach raz po raz roztrzaskują się na motocyklach, trafiając celnymi seriami Cobry.

Aktorskie emplot tego, jak dotąd, boksera i eksterminatora oddziałów wietnamskich wzbogaca się o zapalną, która bez przerwy grzyzie, przez co jego twarz nabiera wyrazu szlachetnej rezygnacji i odbija się na niej mądrość co najmniej stoickiego medrca.

Nasuwa się tu porównanie z „Billitem”, w którym jednak Steve McQueen musiał wystrzelnie zaledwie kilka razy, aby zdobyć sympatie widzów oraz z „Dzikim”, w którym Marlon Brando na czele bandy motocyklistów tułł się po Stanach, ale ani myślał używać siekiery.

Wszystko to jednak podporządkowane jest widowiskowi i być może odpowiada zapotrzebowaniu amerykańskich widzów, którzy w sądowy wymiar sprawiedliwości i kupują broń w dużych ilościach.

Być może w następnym filmie Stallone wyjmie zapalną z ust i podpali nią papierosa albo stację benzynową, ale to już opowieść na inną recenzję.

T. KUB.

„Cobra”, reż. George Cosmatos, USA, 1987

### Rydwany ognia

Kiedy stygły jeszcze zgłiszca I wojny światowej, a krew najlepszych użyłła pola Europy co światłeczki jednostki przebakiwały już o następnej wojnie.

Ale na razie ludzkość otrząsała się z koszmaru wojennego, a energia, którą zaozczędzono na bieganiu po okopach i obsłudze armat, przysłużyła się zwoleńnikom idei barona Coubertina.

„Rydwany ognia” to film o ludziach, którzy ucieleśniali te szczerne idee, a ich nazwiska były na ustach tysięcy. Losy dwóch olimpijczyków — Abrahamsa i Liddella — stały się kanwą tego na pół poetyckiego filmu.

Dla Abrahamsa, Żyda z pochodzenia, sport był źródłem udowodnienia swej „angielskości” i przynależności do elitarnej społeczności Cambridge. Jego zaciekłość i żydowska pasja każą mu dążyć do doskonałości i zbliżyć się do granicy 10 sekund na „setkę”.

Zupełnie innego rodzaju motywacja kieruje się Liddell, dla którego sport w konsekwencji jego fanatycznej i misjonarskiej wiary, jest głoszeniem chwały bożej.

Konfrontacja ich marzeń z rzeczywistością ma miejsce na Olimpiadzie 1924 roku w Paryżu. Abrahams jak rumak zaprzęgnięty w rydwan mknie do mety, aby dochrapać się „złota”. Liddell biegnie lekko jak żreback i gdyby nie głęboka koncepcja życia, którą głosił jako ksiądz i dowodził obfitością lekkoatletycznych osiągnięć, można by przypuszczać, iż jego główną pasją jest przerywanie taśmy końcowej na bieżni.

„Rydwany ognia” sa właściwie „Baśnia z tysiąca i jednej nocy” i tylko autentyczność opowiedzianych wydarzeń może nam uwierzyć w piękno sportu.

Muzyka Vangelisa i efektowne zdjęcia (zwolnione tempo akcji podczas treningów i rwaliwacji, kilka ujęć jakby za mgłą i dużo słońca) sprawiają, iż ma się wrażenie, że śnimy.

T. K. i M. M.

„Rydwany ognia” (Chariots of Fire), reż. Hugh Hudson, prod. W. Brytania.



mieścił się przy końcu eleganckiej Kings Road i na krańcu Chelsea. Ten klub jazzowy wziął nazwę od kolejnego numeru budynku, w którego piwnicach znajdują się jego pomieszczenia. Było już dobrze po drugiej w nocy, czyli — jak to Angliki mówią — rano, gdy stanąłem pod obwieszonym pnącym zielonym balkonem. przy drzwiach wyglądających jakby były jednym ocalonym z pożaru elementem domu.

„Tylko dla posiadaczy kart członkowskich” — straszło nad dzwonkiem.

Spotykamy się w 606, to jedyne miejsce gdzie można o tej porze w Londynie napić się drinka, pogadać, a do tego zakosztować trochę podziemnego, londyńskiego życia jazzowego — powiedział znajomy.

Mówi o sobie, że jest Szkotem, chociaż jego matka jest Zydówką a dziadkowie pochodzili z Rosji. Ale on twierdzi, że liczy się miejsce urodzenia, a tym jest w jego przypadku Glasgow. Hoduje psy, prowadzi knajpę, w której zatrudnia najwspanialsze, długonogie dziewczyny z krajów EWG i sąsiednich i jest stałym bywalcem 606.

Dotknąłem dionią drzwi, a te jak w horrorze wyświetlanym w sobotnie wieczory otworzyły się ze zgrzytliwym, szeptem i mogłem zejść krętymi schodami do piwnicy.

— Jak się tutaj do licha dostałeś? — przywitano mnie na dole schodów.

— Drzwi były otwarte.

— Do licha. Ktoś je zostawił nie domknięte. No dobra. Ale do picia dostaniesz tylko herbatę, albo kawę. Jest już późno i sam rozumiesz, nie mamy licencji...

— Niech będzie herbata.

Młody, krótko ostrzyżony zgodnie z najnowszą modą, chłopak, gospodarz klubu już odwracał się na pięcie, żeby mi przynieść herbatę, gdy padły słowa wypowiedziane przez mojego znajomego.

— On jest ze mną. Wszystko w porządku.

— Ano skoro tak, białe czy czerwone?

— Czerwone.

Po chwili wynurzył się z zaplecza z butelką czerwonego wina

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

Przy świecach w Klubie 606. Jeśli Jesteś miłośnikiem Jazzu możesz wybrać się w podróż do RFN. Jak jest na Jamajce?

mieszkanie, muszę jeść, ubrać się i tak dalej. Do tego potrzebuję funduszy, których dostarcza mi praca w knajpie.

— Jesteś Amerykanką?

— I tak, i nie. Większość życia spędziłam na Jamajce i w Stanach, gdzie się urodziłam. Ale uważam się za dziewczynę z Jamajki, mimo że mam paszport amerykański.

— Ale mówisz z silnym akcentem nowojorskim?

— To tak na co dzień. Bo ocierałam się o tyle różnych odmian angielskiego, że potrafię mówić i jamajską odmianą angielskiego i snobistycznym posh angielskim, gdyż nasza nauczycielka w szkole dla grzecznych panienek w Kingston chciała za wszelką cenę, żebyśmy mówiły tak jak Margaret Thatcher. Ale mogę też zaprezentować ci inne odmiany angielskiego.

I przez parę minut trwało przedstawienie.

— Urodziłaś się w Nowym Jorku?

— Nie. Na północy Stanów. Nad Jeziorem, nad samą granicą z Kanadą. Moi rodzice studiowali na tamtejszym uniwersytecie i tam mieszkałam przez cztery lata. Do śmierci matki. Ojciec, który ukończył wydział mechaniczny nie chciał dłużej siedzieć w Ameryce, bardzo go dobiła ta śmierć, chciał wrócić do rodziny, więc spakowałyśmy manatki i wróciliśmy na Jamajkę.

— Do Kingston?

— On tak, bo tam rozkręcił swój business. Ja pozostałam z dziadkami, na prowincji. Oni tam mieli plantację, wspaniały dom i to był raj dla dzieci.

— Tak! dom, jak widzimy na filmach o piratach z basenu Morza Karaibskiego.

— Coś w tym stylu. Białe, z marmurowymi posadzkami, kolumny przed domem, park tropikalny. Taki angielski dom kolonialny. Dziadek miał plantację trzciny cukrowej, warzyw i był na tyle bogatym człowiekiem, że mógł syna posłać do Stanów na studia, a to natychmiast po powrocie gwarantowało i doskonałą pracę, i perspektywę, i dostatnie życie. Bo oczywiście bieda na Jamajce nie brakowało i nie brakuje. Chodziłam do szko-

ły z dziećmi, które były naprawdę z bardzo ubogich rodzin.

— Dziadka było przecież stać na to, żebyś chodziła do ekskluzywnych szkoły?

— Tak, to prawda. Ale po co miałam chodzić do szkoły snobów, którym przewraca się w głowie i których wychowuje się na zarozumiałych cymbałach. W szkole, do której chodziłam, w jednej ławce siedzieli dzieci bogatych rodziców i biedaków, i wierz mi, były między nami, jak to dzieciakami różne afery, ale nikt nikomu nie wypowiadał pochodzenia i majątku i nie obnosił się z bogactwem. Chociaż ja wracałam do pałacu kolonialnego, a moja serdeczna przyjaciółka do domu z tektury i blachy. Była bieda, ale na Jamajce nigdy nie będzie głodu. I nie było. Tam każdy, najbiedniejszy człowiek ma chociażby mikroskopijne poletko, a ziemia jest taka, że patyk wsadzisz to urośnie. Więc to nie chodziło o jedzenie, ale raczej o dobra uznawane za luksusowe. Telewizor, lodówkę, pralkę — to wszystko można było dostać tylko po znajomości.

— Teraz jest inaczej?

— Jeszcze gorzej. To dosyć skomplikowana historia. Mnie się wydaje, że w historii nie można niczego przeskoczyć. Tak jak w rozwoju jednostki, tak i społeczeństw muszą istnieć kolejne fazy. Jamajka była kolonią brytyjską aż do późnych lat 60 i gubernator wraz z radą doradcą sprawował na wyspie władzę w imieniu Korony Brytyjskiej. Mój dziadek jako ogólnie szanowany obywatel też był w tej radzie. Po uzyskaniu niepodległości rada przekształciła się w rząd niepodległego kraju, ale forma sprawowania władzy była identyczna jak przed uzyskaniem niepodległości. Jedyną różnicę stanowiła samodzielność gospodarza, polityczna, podejmowanie decyzji w tych dwóch dziedzinach, no i to, że nie odprowadzono odpowiednich sum pieniędzy do skarbu Korony. Po pewnym czasie doszły do głosu siły radykalnej-

— Taka angielska Labour Party?

WYSPA, PEŁNA PARADOKSÓW.

— Coś w tym rodzaju. Zaczęli obiecywać ludziom, że dadzą wszystkim pracę, która ich usatysfakcjonuje pod względem finansowym no i zaczęło się. Nie było przemysłu. Główną gałęzią gospodarki, podobnie jak dzisiaj była turystyka, no i eksport warzyw i trzciny. Rozbudzono w ludziach ambicje, które okazały się bez pokrycia. Zaczęły się kłopoty. Rząd, który początkowo uzyskał poparcie narodu, tracił na popularność, bo nie był w stanie zaspokoić rozbudzonych oczekiwań. Zaczęła się korupcja i pograżanie się w coraz gorszą sytuację gospodarczą i społeczną.

— Rządowi nie udało się zmniejszyć liczby biednych?

— Ani bogatych, ani biednych. Zarysowała się natomiast jeszcze większa dysproporcja między obydwojema grupami. Nie było perspektyw ani dla kraju, ani dla młodzieży. Moja babcia, gdy miała 18 lat powiedziała mi: „Ewa zmykaj do Stanów, bo tam chociaż będziesz miała jakąś szansę osiągnięcia sukcesu; jakąś perspektywę życiową”. Bardzo dużo młodzieży wyjechało wtedy.

— Łatwo było dostać wizę amerykańską?

— Łatwiej niż teraz, ale też bardzo trudno. Z paszportem jeszcze nie było tak źle, ale z wizami tragicznie. Ja nie miałam problemu, bo urodziłam się w Stanach, ale moi koleżdy i koleżanki oszczędzali przez parę lat, żeby zaryzykować wyjazd przez Wenezuelę, bo tam wtedy było łatwiej.

— Studiowali w Stanach i wracali?

— Wyobraź sobie, że spora część wracała. Wiedzieli, że dzięki studiom w Ameryce mają dużo lepszy start życiowy, a poza tym chcieli pomóc w dewignie kraju, gdy nowy rząd doszedł do władzy. Mieli po dwadzieścia parę lat, entuzjazm, chcieli Jamajkę i odpowiedzieli na apel rządu, aby wrócić do kraju i pomóc w obywatelskich przemianach społecznych i gospodarczych.

— Używasz czasu przeszłego.

— Bo to było w przeszłości. Dwa lata temu odwiedziłam Jamajkę i ci sami ludzie mieli już zupełnie inne poglądy i żyli zupełnie inaczej.

— Co się zmieniło?

— Poobstrali w piórka. Wkrótce zorientowali się, że sam entuzjazm nie wystarczy, a polityka nowego rządu jest nierealistyczna. Totet każdy z nich starał się zorganizować swoje życie tak jak umiał, a że byli wykształceni i mieli różnorakie powiązania, to nie byli najgorzej. Wiesz, że teraz na Jamajce bez układow nie można jabłek kupić.

— Jabłek?

— A tak. O He warzyw jest pod dostatkiem, o tyle jabłka kalifornijskie są luksusowe. Idziesz na targ, znasz pana X-ńskiego i mówisz mu, że chciałbyś kupić trochę jabłek. On na to: „Oczywiście, proszę przyjść jutro” i następnego dnia jabłka są. Nie znasz pana X-ńskiego, to masz tylko rozłożone bezradnie ręce sprzedawcy i ze smutkiem wypowiedziane: „Niestety, drogi panie, ale jabłek nie mam i nie będę miał”. On wie, że jak on ci za-

łatwi jabłka, to ty mu załatwisz co innego i taka niewidoczna sieć oplata pół kraju, a druga połowa, ta bez znajomości, może sobie tylko o tych jabłuskach pomarzyć. Amerykanie już dawno to przewidzieli, że dojdzie do krachu i korupcji.

— To znaczy?

— Jak się chcesz dowiedzieć, jaka jest w świecie koniunktura i perspektywy rozwoju jakiegoś kraju to czytaj „Wall Street Journal”. Oni są najlepiej poinformowani, mają świetnych ekspertów, no bo zajmują się finansami i muszą wiedzieć jaka jest gdzie koniunktura.

— A jak żyją twoi znajomi?

— Wiesz, teraz to oni za nic na świecie nie zamieniliby Jamajki na inny kraj. Doszli tutaj do takiego dobrobytu, że wiedzą świetnie, że na przykład musieliby pracować dużo dłużej, ciężiej, a i tak nie osiągnęliby tego jamajskiego standardu. To paradoksalne, ale to wynika z kryzysu gospodarczego i istniejących możliwości wejścia w posiadanie przedmiotów luksusowych. Czy ty widzisz, w jakich warunkach żyją Angliki? Przecież to biedota w porównaniu do życia średnio zamożnych Jamajczyków.

— Ale takich jest pewnie niewiele?

— Przeciwnie. Bardzo dużo. To tylko dystans między nimi a najbardziej zamożnymi grupami zwiększył się drastycznie. Ci nawet średnio zamożni żyją w komfortowych domach, z klimatyzacją, bo w klimacie Jamajki to jest konieczne, mają telewizję satelitarną, są więc na bieżąco z tym wszystkim co dzieje się na świecie, są dobrze poinformowani, mają zmywarki i zamrażarki, o jakich „biednym” Anglikom jeszcze teraz się nie śni. To paradoksalne, ale tak jest. Przed paru laty, największym szpanem na Jamajce było zorganizowanie przyjęcia, w ogrodzie, eleganckie stroje, et cetera, no i ogromny ekran ustawiony w parku, a na nim programy satelitarne z całego świata. Dzisiaj to już norma.

— Rząd nie cenzuruje przepływu informacji?

— Na Jamajce cenzura funkcjonuje w dziwny sposób. Nie masz pełnej swobody wypowiedzi na forum publiczno-politycznym, natomiast to samo możesz wypowiedzieć publicznie we wszelkiego rodzaju działalności kulturalnej. Teatr jamajski istnieje przede wszystkim w formie teatru satyry i groteski i w tej właśnie formie rządowi obrywa się strasznie. Natomiast krytyka dziennikarska jest pod lupą.

TRZEBA BAĆ SIĘ VODOO

— A cenzura obyczajowa?

— Przejeźliśmy od Anglików purytanizm i on się zadomowił w naszym rozumieniu kultury, obyczajowości, moralności, ale z drugiej strony na Jamajce, mimo że też jest wyspa, to jednak i klimat, i mentalność ludzi spowodowały, że inna jest obyczajowość na scenie czy w literaturze, a inna w życiu codziennym mieszkańców. Jamajka jest miejscem trudnym do mieszkania, ale rajem turystycznym. Niedrogo, wspaniały klimat, morze, cudowne plaże — to nie budzą, co się pokazuje w folderach turystycznych. Do tego nie jest drogo. To wszystko sprawia, że wykształcił się u nas specjalny rodzaj „latin lover” i to płci obojga. Dziewczyny stawiają sobie za punkt honoru przespać się gdzieś na plaży z turystą, a chłopcy starają się uwieść każdą turystkę, w wieku od czternastu do czterdziestu lat, która postawi nogę na wyspie.

— Na plaży??

— Tak. W nocy jest bardzo ciepło, a do tego szum! morze i palmy nad głowami. To pomaga każdemu uwodźcielowi i uwodźcieli. Wiesz, jak nie masz innych perspektyw życiowych, to wyzywasz się chociażby w „zaliczaniu” kolejnych przygód miłosnych, rozróbach, pociąganiu z butelki i narkotykach.

— No tak, rum jamajka.

— I nie tylko. Many taki specjalny rodzaj bimbru; niebieski kolor, pędzony z trzciny, obrzydliwe, ale bardzo popularne. A handel narkotykami stał się bardzo poważnym źródłem dochodu większości młodzieży, która nie tyle nie może znaleźć pracy, bo o tę nie jest trudno, ile nie bardzo się może z wynagrodzenia za tę pracę utrzymać.

Rece Ewy po prostu uginają się pod ciężarem bransoletek, ozdób i pierścionków. Moją uwagę zwraca od dłuższego czasu coś, co Ewa nosi na wskazującym palcu lewej dłoni, a co w żadnym sposobie nie pasuje do nazwy — „pierzcionek”. To raczej kulka wielkości przepiórczego jajka, która przy gwałtowniejszym ruchu ręki rozjarza się różnokolorowymi błyskami niczym owe kule wirujące w dyskotekach.

— Co to za cudo?

— To nie żadne cudo — odpowiada nieco naburmuszona — ale sycylijski pierścień. Wiesz — dodaje po chwili — zawsze marzyłam, żeby kupić sobie pierścionek z trzcizną — no i mam.

— Jak to? — Mam niewyraźną minę, bo Ewie naburmuszenie miła i parska śmiechem.

— Przez pewien czas pracowałam u handlarza dziełami sztuki w Palermo, na Sycylii i tam to kupiłam. Podobno to bardzo silna trzcizna.

— A ja już myślałam, że voodoo.

Ewa poważnieje w okamgnieniu.

— Nie. To nie voodoo, — odpowiada po chwili. — Ale nie rób sobie żartów z voodoo.

— Ja nie żartuję, — tłumaczę się gesto — A czy ty, dziewczyna nowoczesna, obuczająca ze sztuką i wyedukowana w najlepszych szkołach amerykańskich, czy ty wierzysz w voodoo?

— Widział — Ewa mówi z ociąganiem się, jakby nie bardzo chciała o tym rozmawiać — są ludzie, którzy bardzo wierzą w voodoo. I to nie tylko na Jamajce. Bo w ogóle voodoo to raczej fenomen występujący w całym basenie Morza Karaibskiego. Ci ludzie tak bardzo wierzą, w voodoo, że rzeczywiście umierają w określonym przez nakładającego voodoo człowieka czasie. Od dzieciństwa ostrzegano nas, żeby nie pozostawiać nigdzie ostrzyżonych włosów, obciętych paznokci czy nawet włosów na grzebieniu. Bo właśnie paznokcie i włosy są znakomitą tworzywą dla zaklinającego. Konstruuje on laleczkę wielkości kilkunastu centymetrów, tak najczęściej koło 10 do 15. Orginalne strzępki odziedły, włosów i paznokci są niezbędnym materiałem do stworzenia takiej laleczki. Zresztą wiedziałam pewnie takie cuda w różnych filmach — horrorach. To wdzięczny temat dla reżysera, ale na Jamajce ludzie od tego umierają naprawdę.

— No dobrze, ale ja wciąż nie wiem, czy ty wierzysz w voodoo?

Ewa milczy przez dłuższą chwilę i o czymś intensywnie myśli nie patrząc na mnie.

— Tego się przecież nie da udowodnić, że nie istnieje, a ja sama na własnej skórze doświadczyłam działania voodoo.

— ???

— Byłam wtedy w Stanach i nagle nie wiadomo dlaczego zaczęłam chudnąć. Nic mnie nie bolało, nic mi nie dokuczało — ale spadałam na wadze dosłownie w oczach. Wreszcie, już bardzo osłabiona, zdecydowałam się pójść do lekarza. On tylko mi się przyjrzał i odpowiedział, że to jakaś mi bliska osoba stara się mi bardzo zaszkodzić. Powiedział mi, jak mam postępować, żeby się z tego wygrzebać. On sam też „działał”, no i uratował mnie przed wycieńczeniem.

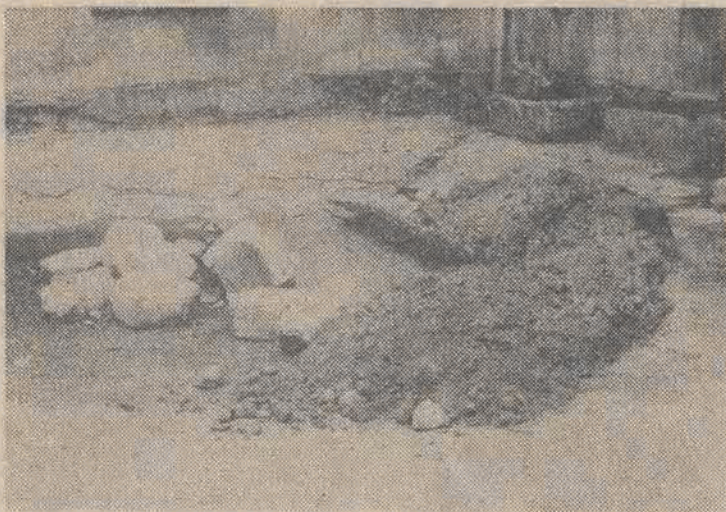
— To był lekarz z krajów basenu Morza Karaibskiego?

— Tak. Z Dominikany. Ale myślę, że nie powinienes mieć takiej miny pełnej wątpliwości. Nie wszystko da się zmierzyć, zwążyć i zaszkladkować, chociaż byś usłnisz się o to starym. A Jamajka jest ciekawym i bardziej skomplikowanym zjawiskiem niż to pokazują cukierkowane foldery turystyczne.

F.S. Dwutygodniowy pobyt na Jamajce dla jednej osoby wynosi tyle, co dwie przeciętne, miesięczne pensje przeciętnej Angliki.



**TO NAM SIĘ NIE PODOBA!**



Ulica Sienkiewicza 9 — kilka miesięcy temu ktoś (kto?) rozkopał część podwórka, przykrył wszystko starymi drzwiami — i zniknął. Chcielibyśmy się dowiedzieć kto, zrobił wykop, diażego oraz kiedy przywróci podwórko do poprzedniego stanu?

Foto: Witold Werner



**Masz temat dla reportera?  
Coś cię drażni, niepokoi,  
szlag cię trafia — podnieś  
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70**

Na twój telefon czekają redaktorzy:

16 lipca — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—16

20 lipca — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—16

23 lipca — JOLANTA WRÓŃSKA — godz. 10—16

Tak się składa, że nie zawsze możemy zgodzić się z naszymi Czytelnikami, choć wszystkim dziękujemy za telefony i ciekawe sygnały.

Pani Sierocińska, zamieszkała w pobliżu EC IV skarży się, że budzi ją śmigłowiec, używany do prac remontowych. Nie znamy szczegółów, ale sądymy, że prace remontowe trzeba wykonać możliwie szybko. Godzina pracy helikoptera jest tak droga, że na pewno wykonawcy remontu nie używają go bez powodu.

Co do psów, szczekających i wyjących w sąsiedztwie to zgadzamy się. Ale nie mamy na to żadnego pomysłu...

Także Leleń, Czytelniczka ze Zgierza, protestująca przeciwko suszeniu bielizny (nawet tej intymnej) na balkonach wywołuje tzw. mieszane uczucia. Ozdoba to nie jest, zapewne, ale przecież w blokach z reguły nie ma innych możliwości (suszarnie itp.).

Pan Stanisław Szuchalski z Gdańska (!) zwolnił się z pracy i zagroził mu eksmisją z mieszkania zakładowego. Być może w tym indywidualnym przypadku dzieje się naszemu Czytelnikowi krzywda, ale nie możemy negować słusznej zasady pozwalającej eksmitować byłych pracowników z mieszkań służbowych.

Pan Pasternak z dzielnicy Bałuty sygnalizuje nam żółwie tempo remontu przedszkola przy ul. Jana. Pracuje tam dwóch tylko robotników i Wydział Oświaty też podziela obawy Czytelniczki, że przedszkole nie będzie gotowe we wrześniu. Może zamiast tylko zgadzać się ze słuszną opinią, wydział spróbuje coś zrobić?

Na społeczny zasięg groźnej i nieuleczalnej (jak dotąd w Polsce) choroby Parkinsona zwraca uwagę pan Jan Agaciak z ul. Traugutta. Chwałac działania służby zdrowia w tej dziedzinie nasz Czytelnik postuluje szersze, ogólnospołeczne zainteresowanie sprawą pomocy dla chorych.

Skomplikowaną sprawę (oczywiście, mieszkaniową...) przedstawił pan Andrzej Kozłowski: od czterech lat stara się o mieszkanie zastępcze. Jak dotąd, żona naszego Czytelniczki z dwójkiem dzieci mieszka u rodziców, którzy nie chcą słyszeć o wspólnym zamieszkiwaniu z zięciem (i vice versa). Mieszkania mu nie przydzielono, za to teściowie... dostali dwa dodatkowe pokoje! Decyzję taką podjął odpowiedni wydział UML. Prokuratura Wojewódzka ją kwestionowała, wreszcie sprawa trafiła do Naczelnego Sadu Administracyjnego...

O nieporządkach, niszczeniu zieleni i chuligaństwie oraz dreczeniu zwierząt w osiedlu Chojny-Zatorze informuje nas czytelniczka z ulicy Chóralnej. Zarząd Spółdzielni nie reaguje, nie reaguje również posterunek MO zlokalizowany w pobliżu.

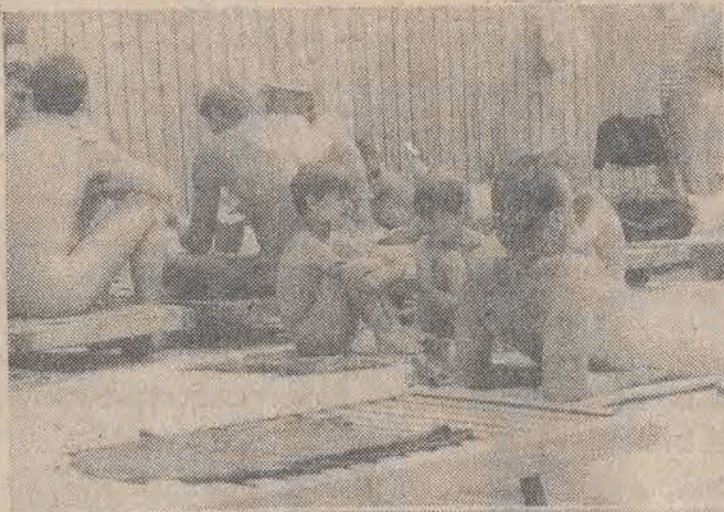
O zaśmiecaniu cmentarza na Kurczakach informowała nas (głosem drżącym z oburzenia) pani Halina Piłarska. Budowniczości nagrobków beztrząsco rozrzucają po cmentarzu piasek i worki po cemente, niedopałki papierosów i stare gazety. Niedługo na inne groby, min. grób matki naszej Czytelniczki. Kierownictwo cmentarza nie reaguje, ba! nawet odpowiednia komórka kurii biskupiej rozkłada ręce...

Działkowiec, pan Bogdan Szymański, postuluje, aby nowo uruchomiona linia MPK 256 była czynna również w wolne soboty, niedziele i święta. W interesie działkowców właśnie, którzy dni wolne od pracy spędzają pożytecznie na działkach.

Dyżurni reporterzy dziękują anonimowej Czytelniczce za komplementy i ciekawe uwagi o redagowaniu „Odgłosów” a panu Jerzemu Dębskiemu za pozdrowienia.

**REDAKTOR DYŻURNY**

P.S. Temat z ulicy Sobolewej, sygnalizowany przez Samorząd Mieszkańców (p. Kowalczyk) — „kupujemy”!



**„Fala”**

WITOLD WERNER



**SZANSA  
DLA ABSOLWENTÓW!**



**CHCESZ ZOSTAĆ:**

- kelnerem
- barmanem
- bufetową
- blokiem

zgłoś się niezwłocznie do „Spółem” PSS Oddział Gastronomii Łódź ul. Narutowicza 7/9 pokój 406, telefon 32-05-92.

Dla kandydatów zorganizowane zostaną 2—3 miesięczne kursy przygotowujące do wykonywania wymienionych zawodów. Po przeszkoleniu zapewniamy pracę.

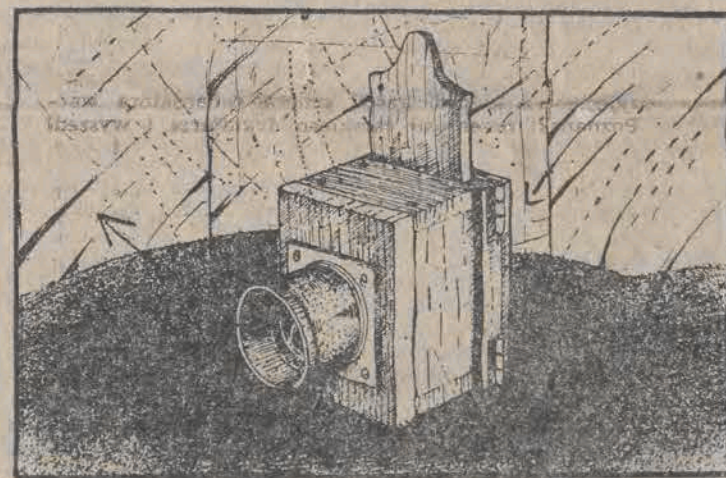
4143-k

**Konkurs**

**na całe lato!**

**Konkurs lipcowy**

**Konkursy dla każdego,  
kto lubi fotografować**



Wystarczy wyciąć kupon z „Odgłosów” i wysłać zdjęcia na adres redakcji:

**„ODGŁOSY”  
ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,  
90-113 ŁÓDŹ**

Przypominamy! Oceniane będą tylko te zdjęcia, które zostaną nadesłane wraz z kuponami!

A oto warunki konkursów. Wspólne dla obu:  
— mogą to być tylko zdjęcia czarno-białe,  
— nie powinny być mniejsze niż 13 cm na 18 cm,  
— powinny przedstawiać ludzi, zwierzęta, architekturę, sytuacje, wydarzenia, wszystko, co ciekawi fotografującego i może zaintrygować innych, mogą układać się w fotoreportaż.

**KONKURS NA CAŁE LATO** trwa do końca września. Zdjęcia należy — wraz z wyciętymi z „Odgłosów” kuponami — przesyłać do 31 lipca 1987 roku.

Na **KONKURS NA CAŁE LATO** można przysłać do 10 zdjęć. Na **KONKURS LIPCOWY** — do 6 zdjęć. Najlepsze prace zostaną nagrodzone i opublikowane na łamach „Odgłosów”.

**KUPON KONKURSOWY NA CAŁE LATO**

Imię i nazwisko .....  
Dokładny adres .....  
Zgłaszam na **KONKURS NA CAŁE LATO** zestaw . . . . . zdjęć . . . . .

**KUPON KONKURSU LIPCOWEGO**

Imię i nazwisko .....  
Dokładny adres .....  
Zgłaszam na **KONKURS LIPCOWY** zestaw . . . . . zdjęć . . . . .

Czekamy!  
Autorzy najlepszych prac — poza publikacją — zostaną uhonorowani cennymi książkami.



Wśród łódzkich „królów bawełny” obok Ludwika Geyera i Karola Scheiblera do najznacniejszych należał Izrael Kalmanowicz Poznański. Był to pierwszy przemysłowiec pochodzenia żydowskiego, który wpełchnął się w szeregi niemieckich fabrykantów-milionerów, i który mógł z nimi rozmawiać jak równy z równymi.

Podwaliny pod rozwój przedsiębiorstwa Izraela K. Poznańskiego położył jego ojciec Kalman Poznański. Pochodził on z Kowala koło Plocka. Od 1825 roku zamieszkał w Aleksandrowie Łódzkim, a w 1834 roku przeniósł się do Łodzi. Prowadził na Starym Mieście handel przedzimą i towarami bawełnianymi. Przedzimą oddawał też do przerobu tkaczom ręcznym, niektórym zaś wypożyczal własne krosna. W 1868 roku posiadał już własną fabrykę wyposażoną w 84 warsztaty tkackie, na których wyrabiano tkaniny bawełniane niższego gatunku.

Izrael Poznański, najmłodszy z sześciorga dzieci Kalmana, urodził się w 1833 roku w Aleksandrowie. Po ukończeniu niemieckiego progimnazjum w Łodzi, w grudniu 1850 roku, mając zaledwie 17 lat ożenił się z córką kupca łódzkiego Leonia Hertz. W 1852 roku ojciec przekazał mu swój sklep w rynku Starego Miasta. Izrael Poznański poza handlem prowadził także działalność na kładczą. Na posiadanych 20 krosnach zatrudnił 20 majstrów i 10 czeladników. W 1861 roku nabył murowany, piętrowy dom czynszowy, położony przy Starym Rynku, w którym zamieszkał.

Po śmierci Kalmana Poznańskiego fabrykę jego przejął syn Izrael. Odtąd można mówić o szybkim rozwoju przedsiębiorstwa. W chwili śmierci Kalmana, to jest w 1872 roku, fabryka posiadała 200 krosien, zaś w trzy lata później ilość ta wzrosła do 640 sztuk.

Szczytowy rozwój przedsiębiorstwa przypadła na lata 1872—1892. W tym czasie na stosunkowo niewielkim obszarze położonym nad rzeczką Łódką między ulicami Ogrodową, Zachodnią i Drewnowską powstały główne budynki produkcyjne: przedziałnia, tkalnie, farbiarnia i wykończalnia oraz odlewnia i warsztaty mechaniczne. Tkalnie mieściła się w czterech budynkach, z których

## ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

# Milioner z Ogrodowej

trzy były schedule. Przedziałnia zajmowała czteropiętrowy gmach zbudowany w stylu obronnym, istniejący do dziś przy ulicy Ogrodowej 17. Projektantem niemal wszystkich budynków był architekt miejski Hilary Majewski.

Po znacznych stratach spowodowanych pożarem, który zniszczył 600 krosien mechanicznych, przedsiębiorstwo przekształcono w 1889 roku w spółkę pod nazwą Towarzystwo Akcyjne Wyróbów Bawełnianych I. K. Poznański o kapitale zakładowym pięć i pół miliona rubli. W 1896 roku zakłady zatrudniały już 5000 robotników.

Izrael Poznański w pogoni za milionami nie uznawał żadnych ograniczeń. Zasłynął w Łodzi jako największy wyzyskiwacz robotników. Samowolnie wydłużał czas pracy, stosował najniższe stawki zarobkowe, zmuszał załogę do pracy w dni świąteczne. Stosując takie metody, w wyjątkowo krótkim czasie zbil jedną z największych fortun w naszym kraju.

Skąpstwo Poznańskiego nabierało niekiedy form groteskowych. Próbę tego przedstawił Wł. St. Reymont w „Ziemi obiecanej”, gdzie pod postacią Szal Mendelsohna naszkicował sylwetkę milionera z Łódki. Obok niezmiernie chciwości na pieniądzu, fabrykant ten wyróżniał się wielką pobożnością. Mówiono, że nawet w czasie przyjęcia, na którym gościł general-gubernatora warszawskiego, Poznański przeprosił carskiego dygnitarza i wyszedł na pół godziny, gdyż była to właśnie pora przepisanej rytuałem modlitwy wieczornej.

Wśród ubogiej ludności żydowskiej Łodzi przemysłowiec ten uchodził za wielkiego dobroczyńcę. Z fundacji małżonki Poznańskich powstał szpital dla izraelitów przy ulicy Nowo-Targowej 1/3 (Sterlinga). Fabrykant hojnie też wspomagał żydowskie instytucje dobroczynne. W tych jego poczynaniach było wiele snobizmu.

Izrael K. Poznański dbał o utrzymanie swego znaczenia w Łodzi. Jeżeli Karol Scheibler zbudował na Księżym Młynie osiedle robotnicze, to Poznański nie mógł być gorszy. Na skutek tego przy ulicy Ogrodowej, naprzeciwko fabryki, powstał zespół domów dla robotników. Jeśli Scheibler i inni przemysłowcy wznosili wspaniałe siedziby pałacowe, to Poznański również musiał mieć pałac i to jeszcze wspanialszy.

Właśnie w związku z budową pałacu Poznańskiego przy ulicy Nowo-Cegielnianej (Wiekowskiego 36) zrodziła się następująca anegdota: projektant budowlny, znany łódzki architekt Adolf Zeligson, zapytał Poznańskiego w jakim stylu żyć sobie miał pałac. Fabrykant wielce się zdziwił. „Co znaczy, w jakim stylu? Mnie stać na wszystkie style naraz...”

Okazałe pałace, wznoszone przez Poznańskiego, służyły jego licznemu potomstwu. Fabrykantowi wystarczała piętrowa willa, wzniesiona około 1880 roku przy ulicy Ogrodowej, obok głównej bramy prowadzącej na teren zakładów. Z okien jej rozciągały się rozległe widoki: z jednej strony na Stare Miasto z jego żydowską egzotyką, z drugiej zaś — na poczerńnię od dymu zabudowania fabryczne.

Podobnie jak wielu przemysłowców łódzkich, I. K. Poznański stał się posiadaczem dóbr ziemskich Nieznanowice w powiecie włoszczańskim. Nabył również 50 morgów gruntów w podłódzkich wsiach Brus i Karolew. Posiadanie ziemi zbliżało go bowiem do ziemiaństwa i dawało mu pewne uprawnienia zastrzeżone wyłącznie dla właścicieli ziemni.

Władze państwowe doceniły zasługi fabrykanta dla rozwoju łódzkiego przemysłu, odznaczając go orderami św. Stanisława i św. Anny. Uchonorowało go również miasto, powołując na członka Rady Miejskiej. Poznański piastował także stanowisko prezesa Gminy Żydowskiej w Łodzi.

Śmierć Izraela Kalmanowicza Poznańskiego nastąpiła w 1900 roku. Wywołała ona w Łodzi spore poruszenie. Odszedł bowiem z tego świata ostatni z trójki „królów bawełny”. Uroczystości pogrzebowe utrwały się na długo w pamięci ich uczestników. W dniu pogrzebu fabrykanta na trasie konduktu żałobnego wstrzymany został ruch pojazdów. Zamknięto również sklepy, a uliczne latarnie gazowe, w których płonęło światło, spowite zostały kirem. W pogrzebie Poznańskiego wzięła udział chyba cała załoga przedsiębiorstwa, każdemu bowiem z jej członków zależano na pracy. Zresztą rodzina Poznańskich wypłaciła robotnikom pełne pobyry za dwa dni.

Izrael K. Poznański pogrzebany został na cmentarzu żydowskim na Dolach. Następnego dnia we wszystkich łódzkich synagogach odbyły się ceremonie żałobne.

Spadek po zmarłym przemysłowcu przeszedł w ręce czterech synów: Ignacego, Hermana, Karola i Murycygo oraz dwóch córek: Anny i Joanny Natalii. Na czele przedsiębiorstwa stanął najstarszy syn Ignacy.

W 1902 roku rodzina Poznańskich wystawiła założycielowi zakładów wspaniałe mauzoleum, którego twórcą był prawdopodobnie łódzki architekt Dawid Lande. Do budowy mauzoleum użyto granitu sprowadzonego z zagranicy. Wzniesiono je rękami włoskich robotników.

WACŁAW PAWLAK



# Mieczysław Grydzewski w Londynie

Od wczesnej młodości fascynował mnie poetycki krąg Skamandra i cała formacja kulturowa jaką wytworzyli wokół siebie „Wiadomości Literackie”. Cóż za znakomite pismo! Nie wątpię, że najlepszy periodyk kulturalny w historii naszego piśmiennictwa. Redagował je od początku istnienia właściwie prawie że jeden człowiek: Mieczysław Grydzewski. „Wiadomości” stały się dziełem jego życia i pomnikiem jego chwale. Podczas wojny prawie wszyscy skamandryci i sam Mieczysław Grydzewski znaleźli się na Zachodzie. Redaktor „Wiadomości Literackich” założył podobne pismo w Londynie, wychodzące przez wszystkie lata wojny i przez kilkanaście lat powojennych, jestem w posiadaniu wielu jego numerów. Są równie świetne co do poziomu intelektualnego i literackiego jak tamte, przedwojenne, ulubione „Wiadomości Literackie”.

Mam oto przed sobą niewielki zbiór listów Grydzewskiego do Tuwima i Lechonia pisanych w latach 1940—1943. Tuwim jest w Brazylii, Lechoń i Wierzyński w Stanach Zjednoczonych, Baliński w Londynie, Hłakowiczówna na Węgrzech. Ogromny trójkąt: Rio de Janeiro, Nowy Jork, Londyn. Po ramionach tego trójkąta krąży listy drogą poczty dyplomatycznej, drogą przesyłek specjalnych. A co w tych listach? A w tych listach Grydzewski prosi o wiersze, chwali nadesłane fragmenty, zamawia artykuły, prosi o dalszą współpracę z piśmie. Cieszy się z każdego wydanego wiersza napisanego na drugim końcu świata przez jednego z poetyckich przyjaciół. Znowu jest prawie że jedynym redaktorem pisma, prowadzi je kontaktując się, jak widzimy, z całym światem. Podziwiam tę właśnie atmosferę zauroczenia poezją i całkowitego oddania się sztuce i kulturze.

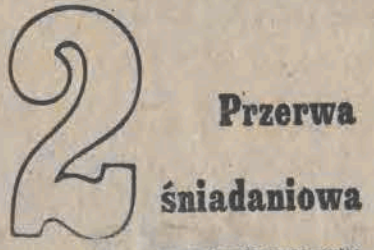
Dziś byłoby to nie do pomyślenia. Nie ma już takich redakcji, które by zamawiały u autorów wiersze, artykuły, eseje. W każdej redakcji siedzi tylu pisarzy etatowych, że całkowicie wystarczają, aby wypełnić łamy pisma, jeszcze nawet nieraz dla nich miejsca brakuje. Pisarz nie będący etatowym redaktorem przeprosza, że żyje, wysyła na pięć adresów słono przepłacone maszynopisy, nie otrzymuje odpowiedzi, nie czuje się nikomu potrzebny jak tamci ciągle nagabywani, ciągle inspirowani, dopinguwani do dalszej pracy twórczej, jakże to było ważne godne pozazdrożczenia.

W okresie, którego dotyczy omawiane listy Mieczysław Grydzewski był jeszcze tak jak przed wojną zwolennikiem pełnego eklektyzmu. Na łamach jego pisma spotykali się pisarze najróżniejszych autoramentów, a ich najważniejszą legitymacją był talent. Kiedy Julian Tuwim przysłał z Brazylii fragment „Kwiatów Polskich”, a w nim słowa „endecka morda nienawistna” Grydzewski zmienił ten zwrot na „koituniska morda nienawistna” i napisał Tuwimowi, że przedwojenni endecy także giną na frontach, także są torturowani, że podzielił przedwojenne przestąpiły się jakoś liczyć. W rok później sam Tuwim napisał ostry list do Grydzewskiego zawierający, że nie chce już drukować w jego piśmie właśnie przez ten eklektyzm. Tuwim zresztą jak to przeważnie czynił, nie bez głośnych oświadczeń i gestów, uznał za jedyną przyszłość Polski współpracę z Związkiem Radzieckim i postanowił tej idei oddać całą swoją twórczość.

Tolerancja Grydzewskiego mu nie wystarczała, sądził całkowitego oddania się sprawie, odwrócił się od londyńskich „Wiadomości”, co dziś możemy uznać za szkodę, bo tym samym ustąpił miejsca innym autorom mniej politycznie zdeterminowanym.

Jeszcze później sam Mieczysław Grydzewski stał się z kolei rzecznikiem sprawy polskiej stojąc na przeciwnym biegunie, otworzył swe łamy autorom antyradzieckim nie równoważąc ich wypowiedzi, nie dopuszczając do dyskusji autorów o nastawieniu takim jak Tuwim. Na takiej pozycji pozostał już Mieczysław Grydzewski do śmierci. Pismo przeżyło go jeszcze o parę lat pod redakcją Zygmunta Nowakowskiego, później Jerzego Stępowskiego (Hostowca). Ale wreszcie skończyło żywot z braku funduszy. Szkoda mimo wszystko bo była to placówka wrogiej wprawdzie naszej rzeczywistości, ale twórczej, pozostającej zawsze na wysokim poziomie dyskusji o polskich imponderabiliach.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



# Cywilizacja kolejkowa

— Byłam na „Fall” w niedzielę — panna Kalinka odstawiała szklankę z herbatą — straszny tiok!

— Może pani byłaś, dajmy na to, w solarium dla naturystów? Trzeba było mi powiedzieć, wybrałbyśmy się razem. Samotnych mężczyzn tam nie wypuszczają... dyskryminacja i tyle — pan Darczek nie ukrywał oburzenia — a naturysty ogłaszają po gazetach, że naturyzm jest najbardziej demokratycznym ruchem!

— Za żadne skarby bym tam nie poszła, a już zwłaszcza z panem — panna Kalinka zachwiała się jak zwykle — normalnie się opalałam nad basenem. Tiok był okropny nie tylko w całym kapieliisku, ale przede wszystkim przed kasami. Kilometrowa kolejka!

— No cóż, piękna pogoda, to prawda, dużo chętnych, żeby zażyć, prawda, odpoczynku i rekreacji ruchowej na świeżym powietrzu — pan Zenek używa zdań referatowo-gazetowych zgodnie ze swym statusem zastępcy kierownika sekcji.

— Rekreacja, prawda, ruchowej! owszem, ale przecież nie w kolejce! Ktoś, jak to zwykle u nas, nie pomyślał, nie zaprojektował odpowiedniej ilości kas, a jeśli nawet już są, to zatrudnił za mało ludzi, dajmy na to...

— Racjonalizacja zatrudnienia, panie Darczku, nie pozwala zatrudnić tylu ludzi do kas, iść, prawda, trzeba w upalną niedzielę. Trzeba zatrudniać tylu ludzi, iść potrzeba każdego dnia, a w niedzielę jest kolejka, trudno...

— Racjonalizacja, panie Zenku, to polega, dajmy na to, na tym, żeby w dzień pochmurny była tylko jedna kasa, w słoneczny pięć czy sześć, a w pogodną niedzielę może być nawet dwanaście, czy piętnaście!

— A co będzie robiło tych dwanaścioro kasjerów w dni pochmurne. Będą brać pieniądze za darmo?

— Będą robić coś innego, konserwować kapieliisko — dajmy

na to. A w ogóle to nie muszą być stałymi pracownikami, tylko angażowanymi doraźnie, na jedną dniówkę. Są studenci na wakacjach, są emeryci, którzy chętnie parę złotych dorobią. Tak się to robi na całym świecie, tylko u nas nie można!

— Co pan masz na myśli? Co to znaczy „w całym świecie”? Może pan proponujesz jakieś obce nam wzory, jakiś wyzysk kasjera przez kapieliisko? Jakis ucisk klasowy?

— Na razie, to mamy ucisk obywatela przez kolejkę. Może pan tak wolisz, ale ja nie. W ogóle, tośmy się do tych kolejek przyzwyczaili, że już żyć bez nich nie umiemy. Były w historii cywilizacji garnków glinianych i narzędzi brzozywych, a nasza epoka przejdzie do historii jako „cywilizacja kolejkowa”. Zgadza się pan, panie Heniu?

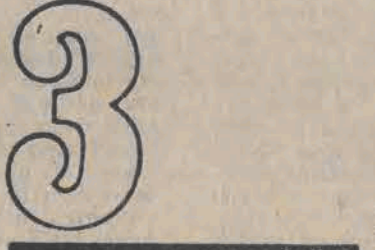
— Trudno się nie zgodzić, panie Darczku. Co rano obserwuję zakupy w moim osiedlowym sklepie samoobsługowym... — To pan przesadziłeś! W samoobsługowym akurat, prawda, kolejki są minimalne. Po to, prawda, wprowadziliśmy samoobsługę, jako wyższą formę handlu, prawda, uspołecznionego.

— No to posłuchaj pan: w tej „wyższej formie” najpierw stoi się w kolejce po drucianych koszykach, potem już w samym sklepie jest stoisko z warzywami. Trzeba te warzywa zważyć, więc nie ma mowy o samoobsłudze. Jest kolejka. Potem jest stoisko z garmażem, słodyczami itp. Kolejka! Potem tylko kolejka do kasy i już po zakupach. W czterech kolejkach trzeba stać w SAM-ie...

— Nie spodziewałem się po panu, panie Heniu, takiej niespołecznej, pesymistycznej postawy. Trzeba zrozumieć przejściowe trudności. Drugi etap niewątpliwie, prawda...

Dalsze słowa pana Zenka utoneły w szuraniu odsuwanych krzeseł. Po chwili pokój opuścił. Tylko pan Zenek został w pozie wiecowego mówcy z uniesionymi do góry dłońmi...

KAROL J.



# Każdemu wolno fałszować

Oczywiście jestem przeciw fałszowaniu pieniędzy, ksiąg handlowych i wszelkich innych dokumentów oraz życiorysów. To stwierdzenie, że każdemu wolno fałszować przyszło mi do głowy właśnie teraz, gdy siedzę przy maszynie, jest upalne popołudnie lipcowe, a jakiś zapoznany geniusz gra pod blokiem na trąbce. Boże, jak on przeraźliwie fałszuje!!! Toż to kategoria nawet dla mego ucha lekko tylko skażonego słuchem muzycznym. I repertuar ma szeroki: od „Pszczółki Mai” do „Pierwszej Brygady” przez „O, mój rozmarynie” i „Płonie ognisko”. Dla każdego coś miłego. Dla każdego jakieś szczypanie duszy. Ale dla większości jest to szczypanie ucha. To jakby ktoś szklkiem jeździł po blasze. A facet uparcie gra...

Ale każdemu wolno fałszować. Nikt nikomu nie może zabronić grać na trąbce, tym bardziej, że ten ktoś może pragnie w ten sposób... ludziom życie umilać i zarabiać tak na życie. Zdaże się, że posłyszal

stukot mojej maszyny, bo słyszał pod balkonem i gra coś, co przypomina francuską piosenkę o kaczkach. Poszedł. I bardzo dobrze!

Każdemu więc wolno fałszować, tylko dlaczego ja mam z tego powodu cierpieć? A już nie pierwszy raz cierpię z powodu muzyki. Bardzo lubię muzykę. Lubie też chodzić do restauracji czy kawiarni, aby posiedzieć, zjeść coś, napić się. Złośliwi koledzy znowu mi ekshibicjonizm zarzuca. Ale niech tam! Lubie sobie z kimś podyskutować przy kufku piwa, czy czymś innym. Ale diabeł mnie biora, gdy na estradzie wędą znakomici skądinąd muzycy i zaczną swoją hałaśliwą produkcję. Oczywiście oni grają dla tych, którzy tu przyszli na swawole i hulanki. Kto chce sobie pogadać, podyskutować, poplirtować, to niech idzie gdzie indziej.

Dobra to propozycja. Wybrałem się więc w gronie kilku kolegów do „Golonki” na golonkę. Tak się złożyło, że golonka była, ale akurat nie dozwolili piwa. Restauracja „Golonka” na ulicy Wschodniej jest ciekawym fenomenem. W oknie plansza informuje, że specjalnością zakładu są flaki i golonka. Ale kiedy przychodzi się na flaki, to ich nie ma, a kiedy na golonkę, też jej nie ma. Ostatnio jakiś cud się stał, czy co, bo była golonka. Nie było natomiast flaków. Ale myśmy przyszli na golonkę.

Podjedliśmy bo porcje golonki były ogromne. Pomoc poprzedniego dnia groch był niezbyt świeży. Tego dnia jednak wszystko było dobre. Moje tylko chrzan zbyt słaby. Ale nie wymagajmy cudów! Podjedliśmy więc golonki. Pogadał. Właśnie dyskusja jakby się rozwinęła. Temat był irapujący: dlaczego polska literatura nie może się przebić na świat? Toż to temat na seminarium polonistki na pracę magisterską, na doktorską i jeszcze na habilitację zostanie. A my tak, po golonce przy szklance pepsi-coli, bo piwa nie dozwolili. Już raczej swoje wyłożyliśmy, już poczuliśmy się, jakby to powiedział, niemal w kawiarni literackiej, choć otoczenie było zupełnie prozaiczne. Już każdy swoje racje wyłożył. Każdy miał koncepcję. Spór się zawiązał. Każdy sztykował nowe argumenty, sięgał pamięcią do lektur, nazwisk, tytułów książek przypominając, gdy nagle...

Zagrała orkiestra cygańska i wszystko zginęło w muzycznym hałasie. Zachowaliśmy argumenty na moment, gdy orkiestra cygańska grać skończy i sobie pójdzie. Ale oni nim to zrobili, zażądał kategorycznie... zapłaty i to w cenach umownych, co do których nikt się nie umawiał. Natarczywi byli i niemal groźni. — Nie zapłacisz — zdążył się mówić ich stanowcze wężerzenia i zdecydowanie nie proszący gest reki, w której już były jakieś pieniądze — to mycie zapamiętamy i ty nas pamiętaj!

Orkiestry cygańskie, to temat niemal artystyczny. W Rosji na przykład każdy szanujący się kupiec, nie mówiąc o szlachcicu, miał swoją cygańską orkiestrę, w której obok muzykantów Cyganów były też piękne Cyganki. Kochało się niekiedy w nich i z pół powiatu młodzieży. Ale taki pan, któremu to orkiestra głównie przegrywała, pilnie strzegł swego harmonium. Tylko, że to już historia.

Było też tak, że orkiestry cygańskie grały w radiu węgierskim lub rumuńskim, przegrywały w lokalach. Ale to były orkiestry z prawdziwego zdarzenia, dusza aż płakała, gdy się ich słuchało. A co dziś?

Fałszowali ci młodzieńcy okrutnie. Grałi w myśl zasady: „dla każdego coś miłego”. Była więc i „Pszczółka Mai” i bwi „Skrzypek na dachu”. Ale lepiej by tego nie grał, bo to był wstyd i hańba. Starzy, muzycyjni Cyganie powinni wziąć tych młodzieńców na kolano, dać im jak za dawnych lat pasem po siedzeniu, aby im się odedziało fałszować po lokalach i brać za to... ceny umowne. Już nie chodzi o pieniądze. Niech tam! Ale dlaczego main cierpieć tylko z takiego powodu, że każdemu wolno fałszować. Niech sobie fałszuje do woli, tylko nie w mojej obecności.

ZENON POROWATY



# Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

Staliśmy w karnym orydku za wrotami obozu, w oczekiwaniu wymarszu na roboty. Striełok zlustrował nas rutynowym spojrzaniem, sprawdził czy jesteśmy w komplecie, i beznamiętnym głosem obwieścił:

— Wniamanie! Szag w lewo, szag w prawo, szag w pieród, szag nazad, a budę przymienia! Orężnie bież predupreżdenia! Poniatno?

— Poniatno! — odrzekliśmy chórem.  
— Szagom marsz!

Formulke tę, ostrzegającą, że strażnik bez uprzedzenia użyje broni przy najmniejszej próbie ucieczki, znaliśmy już na pamięć. Tydzień minął od przybycia do obozu pracy przymusowej. Powitał nas komendant całego oboziska (podobno też zakładowy, resztę kary pozwolono mu odbyć na tym stanowisku).

— Przypadł wam w udziale nie lada zaszczyt uczestniczenia w historycznym dziele, w budowie elektrowni wodnej, która powstaje dzięki wysiłkowi całej armii ludzi pracy i służy będzie narodowi. Będziecie pracować w zdrowych warunkach, przy wycinaniu drzew, bo ten teren przed zatopieniem musi zostać oczyszczony i wyrównany. Czemu od was wymagamy? Karności, zdyscyplinowania i dobrej roboty. Kto nie będzie szedł z wysiłkiem, nie położę się głodny spać!

Prorab, prozodiciel roboty, czyli kierownik robót, w rozmowie z którymś z naszych ujął to doświadczenie:  
— Zit' budiesz, no jebat' nie zachociesz!  
Komendant nie wymienił nazwy miejscowości, dokąd nas zagnał los, nie określił ze zrozumiałym względem geograficznym położenia obozu. Ale już po paru dniach mieliśmy pełne rozeznanie gdzie się znajdujemy. Oboz odwiedzały w różnych sprawach „wojonajomni”, pracownicy z wolnego najmu, przeważnie inżynierowie, technicy, mieszkający w okolicy. Przyjeżdżały ciężarówki z materiałami budowlanymi. Wyciągaliśmy od kogo się dało słowo po słowie, resztę dopowiedzieli nam więźniowie z rosyjskich obozów pracy.

Ich i nas obowiązywał zakaz kontaktowania się. Nie wolno było opuszczać swych zon (na miłość boską, nie stawiając kropli nad „z”, tu o chodzi o strefy!), obie — polską i rosyjską, oddzielały zasieki, a dodatkowo stała służba pełniła wartownicę. Ale nasze i rosyjskie brygady pracowały w bliskim sąsiedztwie. W czasie pieriekurow, przerw na papierosa, ucinaliśmy krótkie rozmowy, a że nie brak było wśród nas lebskich facetów — szybko zorientowaliśmy się co i gdzie.

Miejscem naszej pracy był Rybiński, port nad Wolgą, w obwodzie jarosławskim (jeśli ktoś jest słaby w geografii — między Moskwą a Leninogradem). W pobliżu Rybińska znajdował się potężny zbiornik wodny, sztuczne jezioro powstałe w wyniku przegrodzenia Wolgi tamą. I właśnie wody z tego akwenu miały być skierowane na tereny, gdzie nas przywieziono, gdzie powstawała elektrownia wodna, a nasz uczestok nazywał się „Rybiński Hydrouziel”.

Dzięki niezapomnianej felczerce, a po trosze i hojności natury, przydzielono mnie do brygady, wyznaczonej do najcięższych prac. Razem z trzydziestoma byczkami z różnych stron Polski znalazłem się w brygadzie Eljana, którego wybraлиśmy za swego przywódcę. Polskich brygad było kilkanaście, na czele całej polskiej kolonii stanął Feichenfeld, krakus z nastroszonym, krótkim wąsem, w średnim wieku, o postawie zawodowego kaprala. Nominacja była trafna. Nasz szef trzymał w karchach swych podopiecznych, ale jak lew walczył o lepsze warunki bytowania, o większe pajki chleba.

Pierwszy dzień darowano nam na zaaklimatyzowanie się, drugiego wyprowadzono do karczowania lasu. Nawet sybrary, naród jak mało który zahartowany i zawzięty, wysiadali przy karczowce. Pnie drzew należało tak wykopywać, żeby w ziemi nie został najmniejszy pęd. I w efekcie wyrobiliśmy kilkanaście procent normy. A w obozie obowiązywały żelazne zasady: za wykonanie normy w stu procentach dostawało się kilogram chleba, za dziewięćdziesiąt — dziewięćset gramów, za osiemdziesiąt — osiemset i tak dalej. Jeżeli schodziło się poniżej 26 procent — pajki kurczyły się do trzystu gramów, zupełnie nalewano więźniom z najorszego kotła, wodnistą balandę, w dodatku na noc zamykano w karcerze. Tak karano otaczających, którzy wymigiwali się od roboty.

Tym razem do karceru nie powędrowaliśmy, no bo jak trzydziestu chłopów zamknąć w pomieszczeniu, przystosowanym na przyjęcie kilku osób?

**P**rzerzucono nas na liesopowal — do ścinania drzew. Piłowano się je ręcznymi piłami w dwóch. To też nie lada sztuka. Najpierw należy ustalić naturalny pochył drzewa, zrobić z tej strony od dołu nacięcie toporem, piłę wprawić w ruch z drugiej strony, żeby spadające drzewo nie wyrwało szczap. Często drzewo „siadało” na piłę, wtedy musieliśmy wbić kliny. Powalona sztuka obkakiwała inna grupa, jedni obcinali gałęzie, inni transportowali drzewa na piecach i układali je w piramidę — warstwa wierz, warstwa wzdłuż, żeby powietrze miało dostęp.

Robotę nadzorowali dziesiątnicy, a prorab przechadzał się od brygady do brygady, kontrolował jak się uwiązamy.

— Raz, dwa, wziali! — komenderował, a widząc, że nie możemy sobie poradzić, dodawał: chuj podniśli, po czym żeby nas zachęcić do dalszych wysiłków: raz, dwa, družno, jeszczeżużo!

Jakoś szło. Wypracowaliśmy po dziewięćset gramów chleba i talony do lepszego kotła, co gwarantowało głębię, zawieszając zaupę na śniadanie, taką samą na kolację po powrocie z pracy, do tego na drugie porcje prochu puree, kaszy czy okraszonych ziemniaków.

Za ponad sto procent normy mogliśmy wykupować po pięćdziesiąt kopiejek specjalne talony na priembiłudu. W czasie pracy przyjeżdżała ruchoma kuchnia z dymiącymi beczkami. Kucharz na każdy talon wydawał porcję tak gęstego prochu, że łyżka stawała, i po białej bulce. Na te bułki polowali więźniowie z rosyjskich brygad, sprzedawali je po kilka

rubli sztuka, grochem objadaliśmy się po uszy (priembiłudowych talonów można było kupić ile kto chciał), a po powrocie do obozu opylaliśmy normalne kolacyjne talony.

Nasze kosztowności — zegarki, obrączki, piennadze, oddaliśmy na przechowanie do obozowego magazynu. Wrecono nam pokwitowania i zapewniono, że gdy wyjdziemy na „wole”, wszystko otrzymamy z powrotem. Nie wzbudził w nas podejrzenia również fakt, gdy któregoś dnia do obozu wjechała ciężarówka i jacyś grażdzanie, chodząc od baraku do baru, namawiali nas do oddania w depozyt cywilnych ubrań, butów i innych części garderoby, która w obozie nam się nie przyda, a może paść ludem rzeźmieszków z innych brygad. Ja też oddałem swoje ubranie z pepity, to, które tak irytowało redaktora Ołtaszewskiego: „Panie Klepura, zrzuć pan z siebie tę pepitę, bo w oczach mi miga, nie mogę na pana patrzeć”. W zamian za swoje rzeczy dostaliśmy od przybyłych karteluszki z adnotacją: odin kostium, odna para sapogow, odin switier itp.

**N**a roboty wyprowadzono nas o szóstej rano. O piątej do baru wchodził Makutoni (chyba nie Włoch z pochodzenia?) i donośnym głosem zrywał nas z przyc:  
— Poidomi! Zbieraj się!

Makutoni był dniewalnym, jego obowiązki polegały na budzeniu nas, a gdy baraki pustoszały, na sprzątanu. Lukratywne zajęcie zawodziecał parze pięknych, głansowanych butów z cholewami (niemal identyczne miał na nogach mój Stefan!). Ofiarował je komu trzeba i zadowolony jak u pana Boga za piecem — ani razu nie wyszedł poza wrota.

Spaliśmy w długim baraku z dwupoziomymi przczami, gęsto, jeden przy drugim. Gołe deski pod plecami, głowy spoczywały na wor-

poszedł do łaźni, zawsze się jakoś wykrywał, choć naczałstwo pilnie baczyle, abymy co dwa tygodnie obmywali grzeszne ciała.

Właściwie nikt nie chodził tam chętnie. Bałiliśmy się brudu, to prawda, ale w bani czyhało inne niebezpieczeństwo. Nasza odzież wędrowała na druciane obręcze, po czym do działaniu wrzącej pary wracała do pomieszczenia, gdzie na golasa, nieraz godzinę, wyczekiwaliśmy po obmyciu się. Obręcze z odzieżą rzucano na kupę, ci co stali najbliżej łapali najlepsze bluzy i spodnie, a te sfatygowane dostawały się ostatnim. Raz i mnie przypadło w udziale poplamione, podarte odzienie. Mało tego: po kilku dniach odczułem potworne swędzenie w kroczu, w miejscu, które Niemcy nazywają figlarnie „Eierplatantz”. Złapałem mendoweszki, Maś sabbadyła nie pomogła. Poczciwy Józek scyzorykiem (ukrył go, bo ostrych narzędzi nie wolno było mieć) przy migotliwym świetle lampki elektrycznej wydłubował wstrętne insekty. Wessały mi się w ciało na głębokość kilku milimetrów.

W barakach zakwił drobny handelek. Sprzedawano i kupowano najróżniejsze rzeczy. Największym popytem cieszył się chleb. Już nikt nie wybrzydzał na zły smak. Rano przy rozdziale wykłocaliśmy się o garbuszki, przylepki, miały najwięcej twardej, wypieczonej skórki. Sprawdziła się przepowiednia komendanta z koszar w Lwowie. Za dodatkowy chleb gotowi byliśmy nie wiem co zrobić.

W cenie była też machorka. I ta ukraińska, z wiewiórką na opakowaniu, i „samosiejka” z prywatnych plantacji, zielona, tak ostro, że przy zaciąganiu się szarpała wewnętrznosci. Jednostkę miary stanowiło puste pudełko od zapalek. Za taką porcję machorki żądano pół pajki chleba! Nabywców nie brakowało. Patrzyli uważnie na rece sprzedającego, wołając:

— Do pełna, ubijaj, sknero! To nie puść na koldre!

O machorkę nie było trudno. Głównymi zaopatrzeniowcami byli więźniowie z rosyjskich baraków, otrzymywali „pieriedacze” od rodzin. Gorzej wyglądała sprawa z papierem na skręty. Czasem ktoś wybrał jakiś skrawek gazety od proraba czy dziesiątnika, częściej kreśliło się tytuł w skrawkach kartonu z porzuconych opakowań po cementach. Oddzielaliśmy mozolnie warstwy tej bumagi, sklejaliśmy je śliną i zaciągaliśmy się dymkiem.

O tym, żeby samemu wypalić nie było mowy. Na widok skręcanego papierosa (gdy zdobyło się gazetę, formowaliśmy „kozio nożki”) ustawała się kolejką: jeden przez drugiego zamawiał kilka cugów, skręcił wędrował z ust do ust, parząc wargi ostatnim.

Po wojnie żołnierz radziecki wrócił z Warszawy do rodzinnej wsi. Wypytywano go o to i owo.  
— Nu a kak na szcrot pieczati? Izdajut gaziety?  
— Konieczno. Oczen' charoszaja „Życie Warszawy”...

— Podobno wychodzi też „Słowo Ludu”? — wtrącił politruk.

— „Słowo Ludu”? Nie znaju, nie kuril...

Przy wyczytywaniu listy uczestników sąsiadującej z nami brygady usłyszałem znajome nazwisko.

— Czy pan jest lekarzem z Poznania? — zapytałem wywołanego.

— Tak...

— Bardzo mi przyjemnie — wyciągnąłem rękę i przedstawiłem się. — Przed dwoma laty poznałem na uroplu w Krynicy pańską żonę i synka...

— Ach, to pan? Żona wspominała mi często o panu. Co za spotkanie!

**T**o było latem 1937. Urlop spędzałem solo w pensjonacie pani Rubinstein, matki mojego kolegi Romka. Cóż to był za pensjonat! Na śniadanie stół zastawiony różnymi frykasami, do wyboru, ile kto chciał. Wędliny, jajka, sery, miód, pomidory... Na obiad też do wyboru zupy i drugie dania. Chyba osiem złotych płaciłem za dzienny pobyt z wyżywieniem.

Poznałem tam panią Elżbietę. W podwórzu na Piotrkowskiej 67, tam gdzie dzisiaj mieści się kino „Polonia” (wtedy „Casino”) znajdowała się wypożyczalnia książek, której właścicielką była świeżo poznana pensjonariuszka pani Rubinsteinowej. Ucieszyła się z zawarcia znajomości z tak sympatycznym partnerem do tańca i spacerów.

— Romek ma samochód, będziemy wyjeżdżać na wycieczki!

W tańcu prowokowała mnie poddając ciało do przodu. A gdy wysiliśmy ochłonąć, przytuliła się namiętnie.  
— Tak się cieszę, naprawdę, tak się cieszę... Nie pozostawałem jej dłużny w pieszcotach. Jak to Ordonówna śpiewała? „Tylko jabłoń to widziła, ilem się nacałowała z królówcem moich snów...” Topole w zacienionym zakątku krynickiego parku też niejednemu widziały tego wieczora i następnych. Pani Elżbieta odwiedziła mnie w moim pokoju, pozwoliła się rozebrać, ale gdy chciałem sfinalizować swe manewry, stawiała nieoczekiwane opór.

— Co to, to nie, mój maleńki...

— Na „nie” to ja mam Gretę Garbo! — oświadczyłem i postanowiłem zakrzętnąć się koło innej pensjonariuszki.

Jakoś okazała nadarzyla się szybko. Do Krynicy przyjechała z synkiem młodsza siostra pani Elżbiety, Irena, rodem z Poznania, żona lekarza, którego rękę teraz ściskałem. Z miejsca podbiłem jej serce. Mieszkała w innym pensjonacie, składałem jej wizyty, narzekała na złe pożyte z mężem, poświęcał jej mało uwagi. Gdy nieletnie dziecko zasnęło, zabrałem się do dzieła. Nie bronila się jak siostra, ale w decydującym momencie opadła... mnie strach i wyśiadłem o stację za wezwanie.

— Tak czasem bywa — pocieszała mnie. — Byłes za bardzo rozpalony, głowa do góry, następny razem będzie lepiej...

Bez specjalnych emocji rozpamiętywałem ten mój krynicki romans. Słowa proraba potwierdziły się: nie myśleliśmy o tamtych sprawach. Podobno do potraw dosypywano sodek, czy jakieś inne świństwo, co skutecznie hamowało naturalne popędy. To nasze desinteresement seksualne lapidarnie określił dwudziestoletni najlepszy drwal w naszej brygadzie:

— Nie mam głowy do dupy!

Zdarzało się, że i w nocy budzono nas do roboty. Przyjeżdżały pociągi z cementem, który trzeba było wyładować do obok stojących na rampie pustych wagonów. Mordega nie z tej ziemi! Cement wywoziło się taczkami po drewnianej, uginającej się kładce, przerzuconej z załadowanego do pustego wagonu. Na początku robota szła składnie, dopiero później, gdy wagon do połowy był już załadowany, gdy nogi grzeły w sykim cementcie, wdzierającym się do płuc, opadaliśmy z sił. Za taką ponadplanową nocną pracę podkarmiano nas dodatkowo, ale każdy wołałby zrezygnować z dodatkowych racji chleba, byle tylko nie gruzić cementu.

Stwierdziłem u siebie pierwsze objawy cyngi, szkorbutu. Działa obsuńcy się, obnażone kożenie zębów bolały. Wielu z nas zapadało na tę chorobę. Dostawaliśmy antidotum cyngutno-je, salatkę z surowych jarzyn, marchwi, pietruszki, porów, cebuli, buraków, niewiele jednak to pomogło.

Wydajność pracy zaczęła spadać, wraz z nią zmniejszyły się racje chleba. Nie wszyscy w brygadzie spisywali się jednakowo. Jedni harowali w pocie czoła, inni objali się. Ktoś zaproponował: wydajność obliczać indywidualnie, ten co więcej z siebie daje, niech otrzymuje więcej chleba, a ci co markirują muszą zadowolili się mniejszymi porcjami.

Wniosek przegłosowano. Ale nasz Eljan nie nosił głowy od parady. Wpadł na jeszcze lepszy pomysł.

— Zrobimy tak. Trzysta gramów dostaje zarówno ten, co dociągnie do 26 procent normy jak i ten, co palcem nie kiwnie na robocie. Tym mało wydajnym będziemy zapisywać „otkaz” od roboty, że nic nie zrobili, a ich procenty doliczymy tym najlepszym. W ten sposób najlepsi dostaną większe pajki i talony na priembiłudu, a tamtym każdy dorzuci kromkę ze swego przydziału! Wilk będzie syty i owca cała.

Mało wydajni zgodzili się, bo chcieli przychodzić im nocować w karcerze, to chociaż chleba nie brakowało.

Również i ja byłem przekonany. W bok od lasu rósł zagajnik brzozywy. Dwa rozległe pasy drzewek oddzielała duża polana.

— Panie Eljan — zagadnąłem brzydiera — a gdyby tak skłonił nariadczika, żeby nas zatrudnił przy wyrębie tych brzozek? Nanięsiemy gałzki na tę polanę, nariadczik zmierzy laufmetry, zaliczy kolankę polany i wyrobotka będzie na cacy!

— Dobry pomysł, tylko trzeba dać nariadczikowi rebuchera.

Któs zaoferował tweedową marynarkę, złożyliśmy się po kilka rubli dla właściciela kapoty, nariadczik przystał na naszą propozycję (najpierw przy mierzył marynarkę czy dobrze na nim leży) i ruszyliśmy do brzozywego gaju.

Na nogach miałem owe buty „Bata”, wygrane w pokera w koszarach. Uratowały mnie przed kalectwem. Bo gdy chwyciłem siekiere i zamachnąłem się, żeby ścinać brzożkę przy samej ziemi, ostre zawadziło o moją zbył do przodu wysuniętą kończynę i razem z brzożką poleciał szpie buta. Gdybym był w zwykłych kapciach, nie doliczylibyśmy się po powrocie do baru kawałka palca.

Wieczorem w kantorku zawrzało! Brygada Eljana wykonała normę w 130 procentach! Tego jeszcze nie było jak „Hydrouziel” istnieje. Za owe 130 procent przez kilka dni — tak długo udawało się pokrywać polanę gałzkami — wydzielano nam po kilogramie i trzysta gramów chleba, zupełnie i drugie z kotła dla „otliczników”. Tak nas nazywano, albo udarnikami. Miano stachanowców przysługiwało tylko wołnonajomnym...

A kiedy rozstaliśmy się, acz bardzo niechętnie, z brzozywym zagajnikiem, dziesiątnik poklepał Eljana po ramieniu.

— Mołodecy! Apia! poluczite charoszuzju robotu. Buditie relsy taskat!

Szyny, podobnie jak przedtem drzewa, przenosiłami na barkach. Dowcip polegał na tym, żeby wszyscy trzymali je na tym samym ramieniu, bo gdy zrzucano się je z rozmachem na ziemię, temu co pomylił ramię, mogło urwać głowę.

Ta praca nie odpowiadala mi. Co innego drzewa, lżejsze, pachnące żywicą, no i brak mi było owych mobilizujących komend proraba, który już do nas nie przychodził: „Raz, dwa, wziali!”

Wziali, bo wziali. Raz, dwa. Ale — nas...

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wziali” z pobytu autora w latach wojny w Związku Radzieckim.

## Muzy w obozie